

Polska Zbrojna

NR 10 (822) PAŹDZIERNIK 2014

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**NIEZBĘDNIK
OŚWIADCZENIA
MAJĄTKOWE**



**BŁAŻEJ
SAJDUK**

**OPERATORZY
DRONÓW
MOGĄ CIERPIEĆ
NA PTSD**

CZY LECI Z NAMI PILOT?

**NADRABIAMY OPÓŹNIENIA
W ROZWOJU SYSTEMÓW BEZZAŁOGOWYCH**



POLSKA ZBROJNA



PRENUMERATA
ROCZNA:
12 WYDAŃ
W CENIE
10

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 10 stycznia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002



WOJCIECH KISS-ORSKI

KTO WIE, CZY KRÓTKIE SŁOWO „DRON” W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE OKREŚLAŁO WSZYSTKICH URZĄDZEŃ LATAJĄCYCH, JEŹDZĄCYCH I PEŁZAJĄCYCH, KIEROWANYCH PRZEZ CZŁOWIEKA SIEDZĄCEGO GDZIEŚ DALEKO, W PUNKCIE DOWODZENIA?

Prawdopodobnie stanie się tak za sprawą mediów w ramach upraszczania pewnych pojęć, choć fachowcy wojskowi i analitycy będą się upierać przy precyzyjnych rozgraniczeniach dotyczących nazywania aparatów bezzałogowych.

W ostatnich latach drony zrobiły niezwykłą karierę i mają niebywale wszechstronne zastosowanie poza wojskiem. Warto wspomnieć choćby tylko to, że mogą dotrzeć tam, gdzie wielu ludzi nigdy nie zdoła, że zwiększają nasz odbiór rzeczywistości i mogą ratować życie. Według poważnych analityków zagadnień militarnych, a nas ten aspekt interesuje szczególnie, ich pojawienie się i rozwój nie oznaczają końca lotnictwa załogowego, lecz jego solidne wsparcie. Piszemy o tym w artykułach otwierających tę „Polską Zbrojną”. Dla pilotów myśliwców czy bombowców wprowadzenie aparatów bezzałogowych oznacza mniej indywidualizmu, który i tak procedury już ograniczają do minimum, ale na pewno nie zmierch lotnictwa załogowego. Nadchodzi czas bardzo ścisłej współpracy człowieka z dronem, szczególnie tym bojowym. W przyszłości więc, co już dziś można sobie łatwo wyobrazić, pilot, na przykład F-35, będzie w powietrzu komenderował dwoma czy trzema takimi aparatami, być może X-47 albo jeszcze nowszymi, towarzyszącymi mu w misji bojowej.

Optymistyczne jest to, że rasowy pilot (człowiek!) zawsze wygra z dronami, tyle że za kilka lat będą one już z pewnością jego równorzędnymi partnerami, bez których się nie obejdzie.

➤ Więcej o systemach bezzałogowych na str. 12–35

PONOWNIE RUSZA PROCES WDRAŻANIA BSP W NASZEJ ARMII.

12

U S A F



NORBERT BĄCZYK

82 POCHÓD ISLAMISTÓW



UN/DAVID MANYUA



70 NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA TEGOROCZNEGO MSPO

peryskop

12 | **W oczekiwaniu na start**

NORBERT BĄCZYK

18 | **Podwodny kwartet**

TADEUSZ WRÓBEL

Bezzałogowe pojazdy podwodne dla nowego polskiego niszczyciela min.

22 | **Licencja na zabijanie**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Rozmowa z Błażem Sajdukim o etycznym aspekcie użycia dronów i o robotyzacji pola walki.

26 | **Zerwane ze smyczy**

PAWEŁ HENSKI

Broń, która samodzielnie wybiera sobie cel? Niektórzy twierdzą, że to kwestia zaledwie kilku lat.

30 | **Strażnik nieba**

ROBERT CZULDA

Brytyjczycy mają wreszcie watchkeepera.

33 | **Gniazda dla dronów**

HENRYK SUCHAR

Nowe bazy dla amerykańskich BSP.

34 | **Latające torpedy**

NORBERT BĄCZYK

Samoloty bez załóg to nie wymysł naszych czasów.

armia

36 | **Skok milowy**

PIOTR BERNABIUK

W Leżnicy zaczęto wdrażać pilotażowy program szkolenia spadochronowego.

42 | **Latanie w słoiku**

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
PIOTR BERNABIUK

Każdy skoczek powinien zaczynać od tunelu aerodynamicznego.

44 | **Oczy szeroko otwarte**

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Czy wystarczająco dokładnie monitorujemy przestrzeń powietrzną nad Polską?

48 | **Barwy ochronne**

TADEUSZ WRÓBEL

Malowanie śmigłowców poszukiwawczo-ratowniczych naszej marynarki wojennej nie zapewnia im ochrony podczas działań wojennych.

50 | **Wyboista droga do pokoju**

TADEUSZ WRÓBEL

Polski kontyngent wojskowy w Republice Środkowoafrykańskiej.

56 | **Krwawe scenariusze**

MACIEJ MOSKWA

Dziennikarze wyjeżdżający w rejony konfliktów zbrojnych uczą się, jak udzielać pierwszej pomocy na polu walki.

59 | **Charyzma komandosa**

JAROSŁAW RYBAK

Opowiadaniem o trudach żołnierskiej służby można sobie zbudować pozycję w mediach, ale nie u podwładnych.

60 | **Głosy sprzeciwu**

PAULINA GLIŃSKA

Zmiany w ustawie o oświadczeniach majątkowych?

65 | **Badanie śmierci**

TOMASZ SANAK

Pierwszy z cyklu felietonów poświęconych ratownictwu pola walki.

arsenał

NORBERT BĄCZYK, TADEUSZ WRÓBEL
70 | Salon rekordów

PAWEŁ HENSKI
80 | Niezamierzony oblot
Pierwszy lot YF-16.

strategie

TOMASZ OTŁOWSKI
82 | Pochód islamistów
Czy granice kalifatu sięgną już niedługo wybrzeży
Morza Śródziemnego?

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
88 | Gorączka dżihadu
Patrycja Sasnal o scenariuszach, jakie pisze dla świata
Państwo Islamskie.

TADEUSZ WRÓBEL
92 | Sieć obronna
Podczas operacji „Protective Edge” Izraelczycy po raz pierwszy
wykorzystali wspólną cyfrową sieć dowodzenia i kontroli Tzayad.

MAŁGORZATA BARWICKA
94 | Zmiana kursu
Szczyt NATO w cieniu konfliktu na Ukrainie.

ANDRZEJ KOZŁOWSKI
98 | Dowodzenie w cyberprzestrzeni
Czy cyberdowództwo skutecznie chroni Amerykanów?

wojny
i pokoje

PIOTR BOCCOŃ
102 | Słowacki marsz ku wojnie
30 sierpnia 1939 roku ks. Jozef Tiso poinformował, że jego kraj
weźmie udział w wojnie z Polską wraz z wojskami niemieckimi.

PIOTR STOKARSKI
112 | Podwodny krążownik
Największy okręt podwodny lat międzywojennych.

horyzonty

PAULINA GLIŃSKA
116 | Lotnicze świry na polowaniu
W poszukiwaniu najlepszych ujęć samolotów przemierzają
pół świata.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
122 | Boję się dopiero teraz
Rozmowa z Marią Wiernikowską o pracy reportera na linii frontu.

PIOTR BERNABIUK
128 | Cywilny oddział specjalny
Obóz szkoleniowy „Commando 2014”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI
130 | Skazani na siebie
Jedna z kilku odsłon Biegu Katorżnika.

PIOTR BERNABIUK
142 | Militarny koniec Polski
Muzeum w Helu – obowiązkowy przystanek na trasie
militarnych wycieczek.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
145 | Przyszłość w zblizeniu
Podsumowanie zamojskiego przeglądu filmów historycznych.



DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Norbert Bączyk, Piotr Boczoń, Jerzy Eisler, Andrzej Fafara, Paweł Henski,
Włodzimierz Kaleta, Andrzej Kozłowski, Maciej Moskwa, Jakub Nawrocki,
Tomasz Otłowski, Bogusław Politowski, Jarosław Rybak, Tomasz Sanak,
Henryk Suchar, Lukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170
FOTOEDYTOR
Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), Aneta Kwaterowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
Northrop Grumman
Numer zamknięto:
22.09.2014 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta
„RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni
robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

kadr

ŚMIGŁOWCE MI-8 Z 1 DYWIZJONU LOTNICZEGO Z LEŻNICY WIELKIEJ opuszczają 23 Bazę Lotniczą po wykonaniu przelotu nad Warszawą z okazji Święta Wojska Polskiego.





Na czas wojny

Definicję czasu wojny, zadania naczelnego dowódcy i kompetencje kandydata na to stanowisko określa prezydencki projekt zmian w prawie, dotyczących kierowania państwem w czasie wojny. Dokument, który trafił do prac w sejmie, obejmuje nowelizacje kilku ustaw, w tym ustawy o powszechnym obowiązku obrony.

Zgodnie z proponowanymi rozwiązaniami czas wojny byłby określany przez prezydenta na wniosek Rady Ministrów. Naczelny dowódca, kierujący wojskami w czasie walk, miałby podlegać bezpośrednio prezydentowi, a do jego kompetencji należałyby wyłącznie kwestie związane z obroną państwa. Kandydata na to stanowisko wyznaczałby prezydent na wniosek rządu. Zadaniem naczelnego dowódcy w czasie pokoju będzie uczestniczenie w ćwiczeniach i grach strategicznych. Będzie też brał udział w planowaniu operacyjnym użycia sił zbrojnych i przygotowań wojennego systemu dowodzenia.

Nowelizacja przewiduje zwiększenie kompetencji szefa Sztabu Generalnego WP. Mają one obejmować wspieranie prezydenta w kierowaniu obroną państwa. Projekt nowelizacji trafił teraz do Komisji Obrony Narodowej. P.Z., J.T. ■



KONRAD KACZMARZ/DGW

Kawaleryjska Warszawa

Przejazd współczesnych ułanów i szwoleżerów ulicami Warszawy, apel pamięci przed Grobem Nieznanego Żołnierza, pokazy musztry parady, władania białą bronią i ujeżdżania, ewolucje woltyżerskie oraz rodzinny piknik – tak wyglądały tylko niektóre elementy obchodów Święta Kawalerii Polskiej.

Częścią uroczystości były kawaleryjskie mistrzostwa Polski Zawody Militari, w których triumfował wachmistrz kawalerii ochotniczej Grzegorz Wojtaczka ze Szwadronu Podkarpacie, występującego w barwach 20 Pułku Ułanów. Święto Kawalerii upamiętnia polskie zwycięstwo nad bolszewicką konnicą w 1920 roku. P.Z., A.D. ■



GEN. DYW. PIL.
JAN ŚLIWKA,
INSPEKTOR
SIŁ POWIETRZNYCH
DOWÓDZTWA
GENERALNEGO RSZ

GEN. BRYG.
KRZYSZTOF
ŻABICKI,
SZEFE ZARZĄDU
WOJSK RADIO-
TECHNICZNYCH
INSPEKTORATU SIŁ
POWIETRZNYCH
DOWÓDZTWA
GENERALNEGO RSZ

Drodzy Radiotechnicy!

15 października 2014 roku obchodzimy 64. rocznicę osiągnięcia gotowości bojowej przez 49 Samodzielny Batalion Obserwacyjno-Meldunkowy w Legionowie, z którego wojska radiotechniczne wywodzą swój rodowód.

Zgodnie z zarządzeniem nr 1 ministra obrony Narodowej z 6 stycznia 2005 roku dzień ten został ustanowiony Świętem Wojsk Radiotechnicznych.

Zaangażowanie i odpowiedzialność w służbie oraz profesjonalizm wielu pokoleń radiotechników, pełniących nieprzerwanie dyżury bojowe na straży polskiego nieba, powodują, że wojska radiotechniczne odgrywają bardzo ważną rolę w narodowym i sojuszniczym systemie obrony powietrznej i przeciwrakietowej, a także cieszą się wysokim prestiżem u przełożonych, w innych rodzajach wojsk i społeczeństwie. Dzięki Waszej pracy i poświęceniu w utrzymaniu w sprawności nowocze-

snego sprzętu i dzięki jego wykorzystaniu bojowemu Siły Zbrojne RP oraz NATO są w stanie zapewnić bezpieczeństwo i bezzwłoczną reakcję na szerokie spektrum zagrożeń z powietrza.

Z okazji Waszego święta składam wszystkim obecnym i byłym żołnierzom oraz pracownikom wojsk radiotechnicznych wyrazy szacunku oraz podziękowania za wzorowe i bezpieczne wykonywanie odpowiedzialnych zadań. Życzę, by podejmowanym przez Was wyzwaniem towarzyszyły optymizm, wiara i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Niech Wasza praca i służba upływa w atmosferze szacunku przełożonych, zaangażowania i wzajemnej sympatii. ■

Naukowe wsparcie

Predstawiciele środowisk naukowych, uczelni wojskowych, cywilnych i instytutów naukowo-badawczych oraz reprezentanci przemysłu obronnego zasiedli w nowo powstałej przy resorcie obrony Radzie Naukowo-Przemysłowej. Inicjatorem powołania tego 30-osobowego gremium jest wiceminister obrony Czesław Mroczek. „Aby zapewnić siłom zbrojnym nowoczesne wyposażenie, konieczne jest zaangażowanie środowiska naukowego i przemy-

słowego”, tłumaczył minister. Na jego wniosek rada będzie przygotowywać opinie o konieczności uruchamiania programów strategicznych i programów wdrażanych przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowe Centrum Nauki. Zadaniem tego gremium będzie też działanie na rzecz zwiększenia naszego udziału w projektach międzynarodowych realizowanych przez Europejską Agencję Obrony i Europejską Agencję Kosmiczną. PZ, KW ■

Grupa zbrojeniowa

Zwiększamy nasze wydatki obronne i chcemy jak najwięcej środków wydać w polskim przemyśle obronnym, jednak ten przemysł musi produkować rzeczy najlepsze”, mówił minister Tomasz Siemoniak w czasie inauguracji działalności Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA podczas XXII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach. Decyzja o powstaniu nowego narodowego koncernu zbrojeniowego zapadła w 2013 roku, kiedy fiaskiem zakończył się pięcioletni pro-

gram konsolidacji państwowych firm obronnych wokół Bumaru. Pierwszym etapem było przekazanie PGZ kontroli nad przedsiębiorstwami nadzorowanymi przez MON i Agencję Rozwoju Przemysłu. Teraz grupa skupia 30 spółek z branży zbrojeniowej, stoczniowej i nowych technologii. Kolejnym etapem ma być przekazanie do PGZ przedsiębiorstw należących do Polskiego Holdingu Obronnego. PZ, MC, KW ■

➤ Więcej o targach kieleckich na str. 70–76

Więcej dla wojska

Zwiększamy wydatki budżetowe na obronność.

Od 2016 roku Polska podniesienie wydatki obronne z 1,95 do 2% PKB. Jak zaznaczył prezydent Bronisław Komorowski po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, takie rozwiązanie poparli wszyscy uczestniczący w obradach politycy. „Polska musi dysponować pewną rezerwą finansową, która może być konieczna do realizacji decyzji ze szczytu NATO w Newport, istotnych z punktu widzenia polskiego bezpieczeństwa”, argumentował prezydent. Dotyczy to nie tylko programów modernizacji technicznej sił zbrojnych, lecz także kwestii związanych z budową infrastruktury natowskiej na naszych ziemiach. Zwierzchnik sił zbrojnych podkreślił, że dzięki polskiej aktywności na szczycie sojuszu udało

się zahamować niepokojący trend obniżania wydatków na obronność przez państwa członkowskie. Sojusznicy z NATO zostali zobowiązani do podniesienia w ciągu dziesięciu lat tych wydatków do 2% PKB.

Prezydent zapowiedział także rozpoczęcie prac nad zwiększeniem bezpieczeństwa Polski. Szef BBN Stanisław Koziej przypomniał, że w „Strategicznym przeglądzie bezpieczeństwa narodowego” kładzie się nacisk na zintegrowane bezpieczeństwo narodowe ogniw pozamilitarnych, w tym służb mundurowych. Prezydent chce także, aby w większym stopniu propagować postawy proobronne społeczeństwa. PZ, AD ■

➤ Więcej o szczycie NATO w Newport na str. 94–97

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



**WOJSKOWEJ BIBLIOTEKI CYFROWEJ
ZBROJOWNIA**

zaprasza do



Dzień polskich skrzydeł

Lotnictwo wojskowe świętuje i modernizuje swój sprzęt.

Nowoczesne lotnictwo to jeden z najważniejszych elementów gwarancji bezpieczeństwa państwa”, podkreślał wiceminister obrony Maciej Jankowski podczas apelu z okazji Świę-



A. ZAKRZEWSKI

ta Lotnictwa. Obchodzone jest ono w rocznicę zwycięstwa w 1932 roku w międzynarodowych zawodach lotniczych kpt. pil. Franciszka Żwirki i inż. Stanisława Wigury. W trakcie uroczystości dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych gen. broni pil. Lech Majewski mówił też o modernizacji sprzętu wojskowego lotnictwa. Wspominał o samolotach szkolenia zaawansowanego, śmigłowcach, symulatorach i bezzałogowych statkach powietrznych. Podkreślił, że wyszkolenie polskich lotników jest na coraz wyższym poziomie i dzięki temu lepiej współdziałają z sojusznikami. P Z, A D

Odnaczenia

Czterdziestu pracowników 22 Wojskowego Szpitala Uzdrawiskowo-Rehabilitacyjnego w Ciechocinku 19 września 2014 roku odebrało z rąk wiceministra Macieja Jankowskiego medale „Za Zasługi dla Obronności Kraju”.

Uroczystość wręczenia odznaczeń odbyła się w podczas obchodów 95. rocznicy utworzenia szpitala. Z tej okazji minister Tomasz Siemoniak przesłał pracownikom list gratulacyjny. Na ich zasługi w czasie uroczystości zwróciła też uwagę poseł Jadwiga Zakrzewska. M M



OGŁOSZENIE

Zespół organizacyjny obchodów

20. rocznicy

powstania Gdynskiej Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej z siedzibą w Gdyni (ul. Baczyńskiego 4D/5, 81-579 Gdynia)

na postawie decyzji ministra administracji i cyfryzacji nr 499/2013z 5 grudnia 2013 roku, przeprowadził do 31 sierpnia 2014 roku ogólnopolską zbiórkę publiczną w formie dobrowolnych wpłat na specjalne konto bankowe o numerze

09 2030 0045 1110 0000 0298 6670

w Banku Gospodarki Żywnościowej SA.

Podczas zbiórki publicznej zebrano łączną kwotę

22 682,00 zł.

Koszty przeprowadzonej zbiórki publicznej wyniosły

378,85 zł.

Zespół organizacyjny obchodów 20. rocznicy powstania Brygady Lotnictwa MW Gdynia, 17 września 2014 roku

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o nagłej śmierci

płk. Jacka Połujana,

zastępcy szefa Służby Wywiadu Wojskowego, wielkiego patrioty, oficera bezgranicznie oddanego sprawom Polski, odznaczonego m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Wojskowym Krzyżem Zasługi, Złotym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składam wyrazy głębokiego współczucia.
Tomasz Siemoniak, minister obrony narodowej

Z ogromnym smutkiem przyjąłem informację o tragicznej śmierci w Afganistanie

starszego chorążego Rafała Celebudzkiego,

żołnierza z Kompanii Zabezpieczenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składam serdeczne słowa współczucia.
Tomasz Siemoniak, minister obrony narodowej

Śmierć podoficera

Polski żołnierz zginął w Afganistanie. Plut. Rafał Celebudzki z kompanii zabezpieczenia Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie był jednym z trzech żołnierzy koalicji, którzy zginęli w wyniku ataku na wojskowy konwój w Kabulu. Żołnierze jechali drogą z lotniska do ambasady USA w stolicy Afganistanu, kiedy w wojskową kolumnę wjechał samochód prowadzony przez zamachowca samobójcę. Eksplodujący ładunek ranił kilkanastu cywilów i wojskowych. Lekko rannych zostało też dwóch innych Polaków. Minister obrony Tomasz Siemoniak awansował pośmiertnie plut. Celebudzkiego do stopnia starszego chorążego. Poległy żołnierz został przetransportowany z wojskowymi honorami do kraju i pochowany na cmentarzu w Szczecinie. A D

”



PIOTR
BERNABIUK

Dron z jasnego nieba

**PANOWIE,
DO DZIEŁA. STANOWISKA
OBRONNEGO NIE WYKOPIĄ
ZA WAS ROBOTY**

Dość tego, przecież nie jestem robotem!”, stwierdził głośno st. szer. Auguścik i rzucił łopatę. Jak na komendę, której nikt nie wydał, pół plutonu poszło w jego ślady. Żołnierze się rozsiedli w niedokończonym okopie. Ten i ów zapalił. Zamiast zająć się prozaiczną czynnością, jaką jest rycie w ziemi obronnego stanowiska, rozpoczęli dyskusję na temat robotyzacji wojska.

Temat zainicjował kpr. Okowa: „Amerykanie mają wielkiego psa robota. BigDog się wabi. W internecie widziałem, na YouTube, jak go tresowali. Robot dźwiga cały majdan na grzbiecie, w najgorszym terenie, a gość mu jeszcze dokłada z kopa, próbuje go obalić. A ten twardziel robi swoje i nie strzela fochów, tak jak pan st. szer. Auguścik”. „Jak to kopał robota?”, uniósł się Auguścik. „Przecież to zwykłe chamstwo i mobbing”. Kapral parsknął śmiechem: „Przecież to tylko bezduszna maszyna, do prostych czynności. Pan starszy szeregowy przed chwilą tak samo potraktował łopatę”. Auguścika aż podrzuciło do góry: „Proszę, podoficer, a taki nieoczytany. Otóż, panie kapralu, na uniwersytecie w Waszyngtonie przeprowadzono badania, z których wynika, że tamtejsi żołnierze traktują swoje roboty jak towarzyszy broni. Przypisują im ludzkie cechy, płęć, nadają imiona”. „Płęć?”, otworzył szeroko oczy szer. Lubik. „W plutonie mamy już dwie kobiety. Spróbuj je objuczyć, a do tego kopać”. Auguścik kontynuował, ignorując fobię Lubika, biorąc się stąd, że obie panie pokonały go na sprawdzianie z wuefu: „Kiedy jeden z robotów »poległ«, zorganizowano mu pogrzeb wojskowy z honorami. Koledzy żegnali go jak bohatera pola walki”. „Może jeszcze płakali?”, ktoś rzucił. Żołnierz odciął się, nie bacząc na szarżę: „Pan kapral też miał łzy w oczach, jak mu pod jednostką rower ukradli”.

Była to właściwa chwila, by do gorącej dyskusji włączył się plutonowy. Plut. Jarosik, magister, gość po kilku misjach, do zjawisk przyziemnych podchodził z dystansem: „Panowie, maszynę można obdarzyć głębokim uczuciem. Wiem to doskonale, bo mam motocykl. Problem jednakże jest gdzie indziej. Wyobraźmy sobie, że wraz z wami w szyku bojowym staje humanoid. Regulamin ma w jednym palcu, w taktyce jest mistrzem, z wuefu szóstka albo i lepiej, bo ktoś go zaprogramował tak, że nie miał żadnych wad ani słabości. Patrzą tak na panów...”. „Pan plutonowy to zawsze się mnie czepia, żołnierz jest tylko człowiekiem, nie może być idealny. A jakby ten robot został wcielony do naszego plutonu i awansował na dowódcę?”. „Panie Auguścik, wówczas z pewnością musiałby podejmować decyzje. Odróżnić kto jest swój, a kto obcy, wyznaczyć sektory ognia, poprowadzić panów do walki”.

„No i wyobraźmy sobie, że w wyniku zawiłgocenia następuje zwarcie w procesorach”, nie odpuszcza Auguścik. „I niech wtedy taki robot dowódca wpakuje swoich ludzi pod ogień przeciwnika. Albo, jeszcze lepiej... na zajęciach pojawia się niespodziewanie dowódca batalionu, a temu, na widok wodza spalą się styki”.

Na szczęście w najgorętszym momencie dyskusji, niby dron z jasnego nieba, spał na debatujących żołnierzy dowódca plutonu: „Panowie, koniec przerw, do dzieła, stanowiska nie wykopią za was roboty”. Żołnierze, jak jeden, wybuchnęli śmiechem. ■

”



W Afganistanie
radziliśmy sobie w różny
sposób. Na rzecz
polskiego kontyngentu
pracę rozpoczęły nawet
amerykańskie samoloty
RQ-1 Predator.





NORBERT BĄCZYK

| BEZZAŁOGOWCE |

W OCZEKIWANIU NA START

Polscy żołnierze mają sporo doświadczeń w działaniu z bezzałogowymi statkami powietrznymi. Wkrótce chcemy też nadrobić opóźnienia w rozwijaniu tego typu systemów, o które zabiegamy już od kilku lat.



U.S.A.F.

→ W OCZEKIWANIU NA START



Nasze siły zbrojne pod względem potencjału w dziedzinie bezzałogowych systemów powietrznych wypadają dość skromnie na tle czołowych armii NATO. Z jednej strony, nie powinno to dziwić, bo w odróżnieniu od zachodnich mocarstw, nasza armia nie ma aż takich potrzeb, jeśli chodzi o używanie BSP, jak na przykład Amerykanie czy Francuzi, ciągle zaangażowani w działania w Azji i Afryce. Z drugiej strony, w ostatnich latach kilka razy odnotowaliśmy opóźnienia we wdrażaniu BSP w Polsce. Nadal nie doczekaliśmy się zatem w naszych arsenałach aparatów taktycznych średniego zasięgu, a staramy się o nie już blisko dziesięć lat. Pomimo to mamy sporo doświadczeń w wykorzystywaniu różnych bezzałogowców – dzięki misji w Afganistanie, gdzie na naszą rzecz pracowały nawet aparaty MQ-1 Predator. Tymczasem na nowo rusza proces wdrażania BSP w naszej armii.

TO NIE ZABAWKA

Dzisiaj słowo „dron” robi wielką karierę w mediach. Można odnieść wrażenie, że drony to symbol nowoczesnej wojny i najnowszej technologii. To nie do końca prawda, ponieważ nie ma takiego BSP, który dorównywałby możliwościami uderzeniowymi, wszechstronnością czy przeżywalnością bojowym samolotom wielozadaniowym. Konstruowanie takich maszyn jak X-47B co prawda wskazuje na to, że w przyszłości może to się zmienić, dzisiaj jednak niemal wszystkie BSP to przede wszystkim broń pomocnicza, niezwykle użyteczna głównie w rozpoznaniu. I w tej dziedzinie maszyny bezzałogowe zaczęły wręcz królować, nawet na poziomie strategicznym. Odgrywają też ogromną rolę na szczeblach operacyjnym i taktycznym.

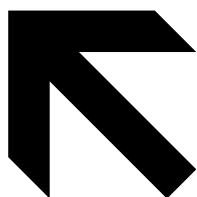
Nie można jednak zapominać, że w czasie konfliktu pełnoskalowego, regularnej wojny, ich straty od ognia przeciwniczego przeciwnika będą bardzo duże, a czas działania pojedynczego systemu – ograniczony (zwłaszcza BSP mini i krótkiego zasięgu). Wykryte przez radary lub namierzone z powodu braku skrytości działania mogą zostać zaatakowane także cybernetycznie. Przeciwnik może bowiem przejąć nad nimi kontrolę drogą radiową lub tak zagłuszyć kontakt z operatorami na ziemi, że bezzałogowy samolot się rozbije. Tylko w pełni autonomiczny robot, odporny na środki WRE, obroni się przed takimi działaniami, tyle że na razie to pieśń przyszłości, choć wcale nie tak odległej.

Zresztą nawet w czasie pokoju lub w konfliktach o ograniczonej skali, takich jak w Afganistanie, niskie reżimy bezpieczeństwa eksploatacyjnego, błędy techniczne czy obsługi naziemnej oraz kruchość konstrukcji sprawiają, że sporo BSP zostaje zniszczonych. I choć wraz ze wzrostem doświadczeń bezpieczeństwo lotów bezzałogowych samolotów się poprawia, ważne jest, aby kupować dużo aparatów, niejako na zapas, w kontraktach zaś zastrzegać klauzule umożliwiające – w ramach już podpisanej umowy – dokupowanie kolejnych zestawów.

BSP są bardzo potrzebne każdej armii, która chce uchodzić za nowoczesną. Przede wszystkim to doskonały środek rozpoznania na różnym szczeblu, gdy w grę wchodzi zdobywanie danych dla dowództwa batalionu, dywizjonu, wreszcie brygady i dywizji. Małe, ciche samoloty, utrzymujące się na dużej wysokości, słabo słyszalne i trudno dostrzegalne gołym okiem, wyposażone w czułe głowice optoelektroniczne, podążające przed kolumną własnych wojsk zmechanizowanych, korygują-

DZIŚ NIEMAL WSZYSTKIE BSP TO GŁÓWNI BRON POMOCNICZA, NIEZWYKLE UŻYTECZNA ZWŁASZCZA W ROZPOZNANIU

U S A F



W ramach programu modernizacji technicznej na lata 2013–2022 wojsko chce pozyskać ponad 80 zestawów BSP wszystkich klas.

ce ogień artylerii, dozorujące cały czas podejścia do własnej bazy lub linię rozgraniczenia wojsk, udowodniły wielokrotnie już swą dużą przydatność na współczesnym polu walki.

Nieco kontrowersji wiąże się z użyciem BSP jako broni ofensywnej. I nie chodzi mi w tym wypadku o aspekt moralny. Dzisiejsze uzbrojone bezzałogowe aparaty powietrzne (Unmanned Combat Aerial Vehicle –UCAV), takie jak MQ-9 Reaper, to raczej narzędzia służące do walki asymetrycznej, relatywnie powolne, łatwe do namierzenia radarem, słabo odporne na zaawansowane zakłócenia, wręcz doskonale, gdy godzinami trzeba czatować na niebie na kolumnę talibów, przemykających górskim wąwozem, lub zaatakować obóz terrorystów. W niewielkim stopniu jednak się przydają na przykład w konfrontacji z silną obroną przeciwlotniczą. I choć regularne „rajdy” najnowszych izraelskich i amerykańskich BSP nad Iran pokazują, że mogą one przetrwać w niekorzystnych warunkach, to jednak nawet irańska obrona przeciwlotnicza, o ograniczonych przecież możliwościach, czasami jest dla nich groźna. Stąd dopiero UCAV kolejnej generacji, takie jak wspomniany amerykański X-47B, brytyjski Taranis czy europejski nEUROn, samoloty znacznie bardziej autonomiczne, szybkie, zwrotnie oraz trudne do wykrycia, będą w pełni zasługiwały na miano kluczowej broni w konflikcie pełnoskalowym.

Naszą armię dopiero czekają zakupy BSP różnych typów. Nie udało się dotąd nabyć rozpoznawczych, taktycznych samolotów bezzałogowych, choć przełomowy wydawał się rok 2005, kiedy zainicjowano kilka analiz na ich temat. Wtedy GROM, jako pierwsza jednostka, dostał zestaw mini-BSP Orbiter firmy Aeronautics Defense Systems (jeden zestaw to kilka samolotów, wyrzutnie oraz środki kierowania). Takiego sprzętu potrzebowały też wojska lądowe – na systemy dla artylerii i rozpoznania związków taktycznych.

Czas gonił, armia przygotowywała się do wystawienia dużego kontyngentu do Afganistanu i było oczywiste, że wzorem sojuszników musimy mieć własne rozpoznanie na tym poziomie. Żadnych decyzji jednak wówczas nie podjęto, choć kielecki MSPO w 2006 roku upłynął pod znakiem BSP. Liczyliśmy na Amerykanów – w tym czasie prowadzono negocjacje mające na celu pozyskanie dwóch zestawów większych, taktycznych (Tactical Unmanned Aerial Vehicles – TUAV) BSP Shadow 200 RQ-7B w ramach Foreign Military Sales, w sam raz skrojonych na potrzeby brygadowej grupy PKW Afganistan. Jednakże z powodu wzrostu kosztów programu (np. szkolenie operatorów) najpierw ograniczono go do jednego zestawu, a następnie, latem 2007 roku, w ogóle anulowano. W tej sytuacji kupiono kolejnych sześć zestawów mini-BSP Orbiter, które trafiły do wojsk lądowych. →



Mini-BSP pozostają podstawowymi i faktycznie jedynymi systemami tego typu w naszej armii. Oprócz orbiterów są to głównie FlyEye polskiej konstrukcji.

RAFAŁ MNIEDŁO / 11 D K P A N C (2)



Orbiterów wkrótce zaczęli używać polscy żołnierze w Iraku i Afganistanie.

Kolejne takie maszyny bezzałogowe kupiono na mocy umowy z czerwca 2008 roku – kontrakt dotyczył czterech zestawów. Od tego momentu aż do dziś mini-BSP pozostają podstawowymi i faktycznie jedynymi systemami tego typu w naszej armii. Oprócz orbiterów są to głównie FlyEye z WB Electronics – polskiej konstrukcji, najpierw zamówione dla wojsk specjalnych (dwa zestawy w 2010 roku), a następnie także dla wojsk lądowych (12 zestawów, według kontraktu z 2013 roku, dla obu wspomnianych rodzajów sił zbrojnych).

Z zakupami większych, taktycznych BSP nie poszło jednak tak dobrze. Po niepowodzeniu z Shadow 200 rozpoczęto dalsze poszukiwania. Dopiero jednak na początku 2010 roku, po ponad dwóch latach spektakli z to ogłaszaniem, to zrywaniem kolejnymi postępowaniami w tej kwestii, wskazano wreszcie na dwa zestawy BSP Aerostar ze sprawdzonej już firmy Aeronautics Defense Systems. Niestety, zapisy kontraktu mówiące o tym, że jeszcze w tym samym roku nowe BSP trafią do naszych żołnierzy w Ghazni, okazały się nierealne. W Afganistanie aerostary pojawiły się w 2011 roku, ale wkrótce stało się jasne, że te samoloty nie spełniają wszystkich oczekiwań i nie zostały formalnie odebrane przez stronę polską. Ostatecznie jesienią 2012 roku Ministerstwo Obro-

ny Narodowej poinformowało o zerwaniu umowy, ponieważ strona izraelska nie wywiązała się z zobowiązań w niej zawartych. Dla rozwoju systemów BSP w Wojsku Polskim był to duży cios. Od momentu zapytania Amerykanów w grudniu 2005 roku o shadow do momentu ogłoszenia zerwania kontraktu na Aerostar minęło siedem lat bezproduktywnych zabiegów o taktyczne BSP.

Tymczasem w Afganistanie radziliśmy sobie w różny sposób. Na rzecz polskiego kontyngentu pracę rozpoczęły amerykańskie samoloty RQ-1 Predator. Jednocześnie już od 2010 roku, kiedy jeszcze czekano na aerostary, polski kontyngent otrzymał wsparcie w postaci jednego zestawu Boeing ScanEagle (kilkanaście samolotów obsługiwanych przez specjalistów z amerykańskiej firmy Insitu, będącej producentem zestawu i częścią koncernu Boeing). Później Insitu sprzedał nam używane ScanEagle, a w 2013 roku dokupiliśmy dla nich kamery oraz inny sprzęt. ScanEagle są teraz przede wszystkim w wyposażeniu wojsk specjalnych.

Ostatnie lata również nie były udane pod względem zakupów taktycznych BSP. Teoretycznie już w 2008 roku, w ramach opracowania programu modernizacji technicznej na lata 2009–2018, przedstawiono w Sztabie Generalnym WP „Koncepcję rozwoju rozpoznania obrazowego w SZRP” (zaplanowano w ciągu dziesięciu lat zakup 86 zestawów BSP, od klasy mi-

Mini-BSP Orbiter
używali polscy
żołnierze w Iraku
i Afganistanie.



ROBERT SUCHY/COMBAT CAMERA DORSZ

NIE MA TAKIEGO **BSP**, KTÓRY DORÓWNYWAŁBY MOŻLIWOŚCIAMI UDERZENIOWYMI, WSZECHSTRONNOŚCIĄ CZY PRZEŻYWALNOŚCIĄ BOJOWYM SAMOLOTOM WIELOZADANIOWYM

ni po klasę MALE – Medium Altitude Long Endurance). Nie może doczekać się ona realizacji, choć zarysowane wówczas kierunki – z niewielkimi tylko zmianami – również dziś są obowiązującą wykładnią.

W 2012 roku Inspektorat Uzbrojenia rozpoczął badanie rynku i dialog techniczny w sprawie czterech podstawowych typów BSP, wskazanych już w koncepcji z 2008 roku, w tym bezzałogowego systemu powietrznego MALE (szczepel operacyjny), taktycznego bezzałogowego systemu powietrznego średniego zasięgu (szczepel dywizji), taktycznego bezzałogowego systemu powietrznego krótkiego zasięgu (szczepel brygady) i bezzałogowego systemu powietrznego klasy mini (pododdziały), przy czym w tej klasie wyróżnia się jeszcze osobno zestawy pionowego startu i lądowania, faktycznie będące mikro-BSP. W 2013 roku wydawało się nawet, że wobec utworzenia nowych komórek badawczych w wojsku, nastawionych na innowacyjne technologie, oraz utworzenia przez grupę firm, z WB Electronics na czele, konsorcjum nastawionego na opra-

cowanie kolejnych rodzimych modeli BSP, program ruszy do przodu. Tymczasem odnotowano kolejny falstart.

Inspektorat Uzbrojenia obecnie realizuje tylko umowę na dostawę kolejnego (jednego) zestawu mini-BSP FlyEye dla wojsk specjalnych (wraz ze szkoleniem personelu). Opracowano też pełną dokumentację techniczną pozostałych bezzałogowców. Odpowiedzialny za modernizację techniczną sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Czesław Mroczek zapowiedział jednak, że zakupy nowych BSP są jednym z priorytetów. Opóźnienia mają zostać zatem nadgonione.

OD SŁÓW DO CZYNÓW

Wiadomo zatem od sześciu lat, co chcemy kupić. Przy czym odnosi się to dla klasy aparatów, a nie konkretnych modeli, bo tych na rynku jest dziś naprawdę sporo i jest w czym wybierać. I tak pozyskanie BSP klasy MALE, czyli UCAS służyła operacyjnemu z możliwościami rozpoznawczo-uderzeniowymi, dostała kryptonim „Zefir”. TUAV średniego zasięgu, przeznaczony do rozpoznania dla szczepła dywizji i dowództw, nosi kryptonim „Gryf” (teoretycznie i na tym szczepelu mogłyby pojawić się samoloty z możliwością przenoszenia środków bojowych). Brygadowy TUAV krótkiego zasięgu to „Orlik” (według nieoficjalnych informacji mogą zostać pozyskane zarówno klasyczne samoloty, jak i aparaty pionowego startu). Samoloty klasy mini-BSP otrzymały kryptonim „Wizjer”, a aparaty pionowego startu i lądowania tej klasy, czyli małe śmigłowce przeznaczone do działań w terenie zurbanizowanym, mają osobne oznaczenie – „Ważka”. Łącznie w ramach programu modernizacji technicznej na lata 2013–2022 wojsko chce pozyskać ponad 80 zestawów BSP wszystkich klas.

BSP trzeba kupić i to nie dlatego, że drony są dziś modne. Te bezzałogowe samoloty są częścią systemu, który przyjęło się określać amerykańskim skrótem C4ISR (Command, Control, Communications, Computers, Intelligence, Surveillance and Reconnaissance). To one mają w ramach misji rozpoznawczych wykryć zagrożenie, a następnie zapewnić obserwację pola walki i umożliwić dowódcom prawidłowe decyzje, oddziałom zaś efektywne działanie w ramach systemu sieciocentrycznego. Wojsko Polskie ma już duże doświadczenie w tej dziedzinie. Misja w Afganistanie wymusiła rozwój zaawansowanych środków rozpoznania i wymiany informacji. Używaliśmy tam zarówno mini-BSP, jak i taktycznych TUAV, a nawet korzystaliśmy z danych dostarczanych przez aparaty MALE. Pośrednio działały na naszą rzecz nawet w wersji UCAS.

W Polsce też zebraliśmy już pokątny багаż doświadczeń z mini-BSP. Polskie firmy opanowały ich produkcję i powstają nowe modele. Zaspokoiłiśmy najpilniejsze potrzeby wojsk specjalnych i częściowo artylerii, coraz odważniej zaczynamy też eksperymentować z wodnymi i lądowymi bezzałogowymi aparatami, czego dowodem jest AUV (Autonomous Underwater Vehicle) Gavia dla marynarki wojennej – pierwszy podwodny aparat tej klasy w naszym wojsku. W dalekim rozpoznaniu wciąż jednak pozostajemy w tyle. Nasze samoloty F-16, wyposażone w doskonałe zasobniki obserwacyjne, to zdecydowanie za mało. Muszą one dostać wsparcie w postaci wyposażonych w dobry sprzęt rozpoznawczy BSP. Bezzałogowy aparat łatwiej będzie wysłać nad teren opanowany przez przeciwnika. Nawet jeśli nie wróci, strata nie będzie tak wielka, jak wówczas, gdy utracimy pilota i samolot wart dziesiątki milionów dolarów. To także jedna z kluczowych idei rozwoju BSP. ■

PODWODNY

NOWY POLSKI NISZCZYCIEL MIN „KORMORAN II” BĘDZIE MIAŁ CZTERY RÓŻNE BEZZAŁOGOWE POJAZDY PODWODNE

Bezzałogowe pojazdy podwodne są podstawowym wyposażeniem okrętów zwalczających miny morskie. Nic więc dziwnego, że również trzy nowe niszczyciele min polskiej marynarki wojennej będą je miały (budowa pierwszego – „Kormorana II” – rozpoczęła się w tym roku). Zaplanowano dla nich aż cztery typy podwodnych dronów: dwa opracowane w kraju i dwa zagraniczne. Takimi pojazdami prawdopodobnie będą również dysponować okręty typu Czapla, czyli patrolowe z funkcją zwalczania min.

GŁUPTAK

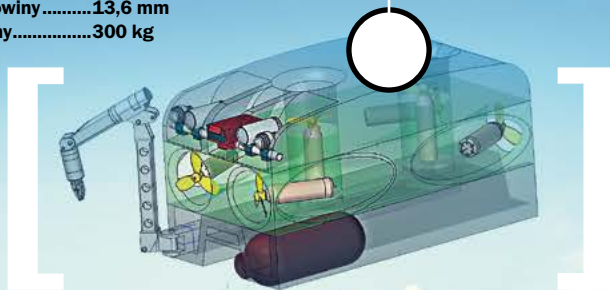
Przy opracowywaniu pojazdu głębinowego Morświn przydają się doświadczenia związane z projektowaniem i użyciem wcześniejszego, podobnego do torpedy, zdalnie sterowanego bezzałogowego pojazdu podwodnego Głuptak, który jest przeznaczony do identyfikacji i likwidowania min morskich do głębokości 200 m (400 m to dla niego głębokość niszcząca). Odległość, z jakiej jego pokładowa stacja hydrolokacyjna wykrywa cele podobne do min, zależy od ich umiejscowienia. W przestrzeni wodnej namierza je z odległości 50 m, ale jeśli są one częściowo zanurzone w osadach lub dno jest pokryte małymi muszlami albo kamieniami jest to 20 m. Pojazd wyposażono też w kamerę telewizyjną, celownik laserowy, kompas magnetyczny, głębokościomierz, wysokościomierz, transponder systemu nawigacyjnego i lampy LED. Długość przewodu, którym pojazd jest połączony z konsolą operatora, stacjonarną lub przenośną, zależy od tego, czy jest jednego, czy wielokrotnego użytku. Zasięg i czas pracy głuptaka zależą od prędkości prądu morskiego – nawet gdy on wynosi 2 m/s, to ten pojazd może przeprowadzić misję przeciwko celowi znajdującemu się 400 m od okrętu w ciągu 10 minut. Ładunek kumulacyjny, który niszczy minę, jest montowany na dronie tuż przed akcją. Czas przygotowania pojazdu do użycia bojowego, jeśli są naładowane akumulatory, wynosi 30 minut. W trakcie wykonywania misji zniszczenia miny zniszczeniu ulega też sam głuptak.



Masa.....	48 kg
Maksymalna prędkość... 3 m/s	
Głębokość robocza.....	3–200 m
Napęd – cztery pędniki śrubowe z silnikami elektrycznymi	
Długość przewodu jednorazowego użytku	2000 m w pojeździe;
.....	1500 m w uchwycie wodującym.
Długość przewodu wielokrotnego użytku.....	1000 m
Maksymalny zasięg w prądzie 0–0,2 m/s (z przewodem jednorazowego użytku).....	1500 m
Czas pracy w prądzie 0–0,2 m/s (z przewodem jednorazowego użytku)	50 min.
Maksymalny czas pracy w prądzie do 2 m/s (z przewodem jednorazowego użytku)..	400 m
Czas pracy w prądzie do 2 m/s (z przewodem jednorazowego użytku)	11 min.
Masa materiału wybuchowego DPX-4.....	1,2 kg

KWARTET

Masa pojazdu podstawowego (z modułem roboczym).....200 kg (240 kg)
 Długość.....1,5 m
 Szerokość.....0,72 m
 Wysokość (z modułem roboczym)0,72 m (0,90 m)
 Liczba pędnikówcztery napędowe, dwa pionowe
 Prędkość maksymalna do przodu.....2 m/s
 Prędkość maksymalna na boki.....1 m/s
 Prędkość maksymalna w pionie.....1 m/s
 Zasięg ramienia unieruchamiającego0,70 m
 Zasięg ramienia roboczego.....0,80 m
 Długość pępowiny1000 m
 Głębokość robocza.....5-200 m
 Średnica pępowiny13,6 mm
 Masa pępowiny.....300 kg



MORŚWIN

Specjaliści z Centrum Morskich Technologii Militarnych Politechniki Gdańskiej pracują nad pojazdem głębinowym Morświn, który składa się z sześciu podsystemów. Jednym z najważniejszych są urządzenia nawigacyjne, takie jak głębokościomierz, wysokościomierz hydroakustyczny i kompas magnetyczny. Pojazd wyposażono również w platformę inercyjną i log hydroakustyczny, aby zapewnić mu dokładność nawigacji lokalnej. Drugim podsystemem jest komputer pokładowy z urządzeniami do transmisji danych, a dostarczają ich sonar czołowy elektryczny i trzy różne kamery telewizyjne, w tym jedna o wysokiej czułości. Pozostałe trzy podsystemy morświna to układy napędowy i zasilający oraz rama nośna i pojemniki ciśnieniowe.

Dla pojazdu zaprojektowano trzy moduły robocze. Jako wyposażenie modułu rozpoznawczego specjaliści rozważają pięć urządzeń – sonar boczny, profilor osadów dennych, miernik prędkości dźwięku, echosonda wielowiązkowa i czujnik śródowniskowy. Jeśli pojawi się konieczność zwiększenia wydajności tego systemu, to można zamontować czołowy sonar obrazujący dalekiego zasięgu, sonar boczny z syntetyczną aperturą, magnetometr holowy, innego typu echosonda wielowiązkowa. Niezwykle ważną częścią systemu jest moduł do przenoszenia zdalnie odpalanych ładunków wybuchowych do niszczenia min morskich Toczek A, B i C. Pierwszy z nich zawiera 40 kg materiałów wybuchowych, drugi 6 kg, a ostatni tylko 0,6 kg. Morświn ma uchwyt i windę dla największych ładunków Toczek A oraz manipulator teleskopowy dla pozostałych dwóch ładunków, który może ułożyć je przy minie w odległości 2,5 m od pojazdu. Ładunek wybuchowy można też przymocować do lin lub łańcuchów kotwicznych min. Moc zespołów napędowych pozwala płynąć pojazdowi do 300 m przed okrętem, czyli w bezpiecznej odległości, z prędkością ponad 1,75 m/s na głębokości 50 m. Pojazd jest połączony kablem światłowodowym z konsolą operatora na pokładzie okrętu. Zasięg morświna zależy od głębokości i warunków hydrologicznych. Można go też zwiększyć w ten sposób, że będzie przenosił inny bezałogowy pojazd podwodny – Głuptak. Trzeci moduł roboczy pojazdu głębinowego Morświn jest wyposażony w dwa ramiona. Jedno z nich unieruchamia pojazd podczas pracy, a drugie pozwala wykonywać czynności bardziej złożone. Gdański morświn ma konstrukcję otwartą z ramą zewnętrzną, w której są zawieszane pojemniki ciśnieniowe i elementy podsystemów. To rozwiązanie ułatwia między innymi obsługę, a w razie potrzeby pozwala na daleko idące modyfikacje pojazdu, by przygotować go do specyficznych zadań podczas misji. ■

SKANDYNAWSKIE WSPARCIE

W lutym ogłosził to norweski koncern Kongsberg Maritime. Remontowa Shipbuilding wybrała jego specjalnie przeznaczony do operacji przeciwwinowych autonomiczny pojazd podwodny Hugin 1000 MR, którego głównym sensorem jest wysokiej rozdzielczości sonar o syntetycznej aperturze HISAS 1030, o zasięgu do 200 m. Pierwszy taki pojazd przekazano norweskiej marynarce wojennej w 2008 roku.

W czerwcu szwedzka firma Saab ogłosiła, że dostarczy do Polski bezałogowy pojazd podwodny Double Eagle Mk III. W tej wersji oprócz sonaru podkadłubowego może on też mieć sonar dziobowy. Modułowa konstrukcja pozwala skonfigurować wyposażenie drona według życzenia klienta. Szwedzki pojazd może być zdalnie sterowany z pokładu okrętu. Jest umocowany na tysiącmetrowym kablu, który można wydłużyć na życzenie nabywcy. Double Eagle może działać autonomicznie, ale w takim wypadku potrafi odnaleźć złącze i podłączyć się do niego, by przesłać zebrane dane i doładować akumulatory. ■

HUGIN 1000 MR

Masa 850 kg
 Długość..... 4,5 m
 Średnica 0,75 m
 Maksymalna głębokość..... 1000 m
 Czas trwania misji (z radarem HISAS 1030) ... 17 godzin

DOUBLE EAGLE MK III

Masaokoło 500 kg
 Długość.....3 m
 Szerokość.....1,3 m
 Wysokość.....1,3 m
 Napęd głównycztery ruchome pędniki rufowe
 Maksymalna prędkość 7 w.
 Maksymalna głębokość operacyjna500 m (istnieje opcja jej zwiększenia)



A DIMAS © FOTOLIA / MILITARIUM STUDIO

Symulator mieści się na zwyczajnym szkolnym stole. Na pierwszy rzut oka przypomina dwa ustawione obok siebie komputery. Na najbliższe pół godziny wcielam się w rolę kursanta, więc zajmuję miejsce przed tym mniejszym. Mniejszym, ale zaryzykuję twierdzenie, że ważniejszym. Tak właśnie wygląda oryginalny panel sterowania samolotem bezzałogowym FlyEye. Przy większym monitorze siada instruktor, który będzie obserwował mój lot, podpowiadał, korygował błędy... A więc do dzieła.

PIERWSZE TRZY KROKI

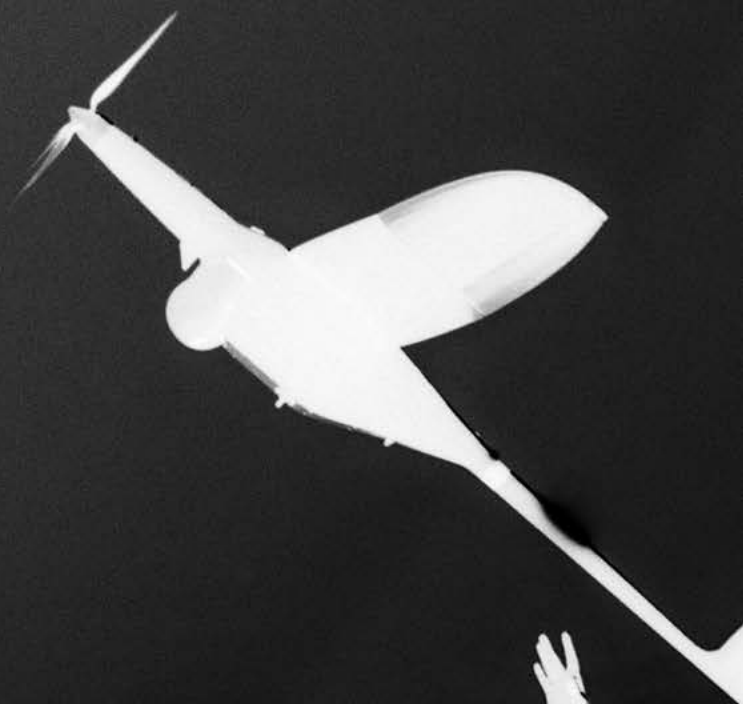
Krok pierwszy: wybieram mapę, a potem podłączonym do symulatora rysikiem nanoszę na monitorze punkty, nad którymi będę leciał, i miejsce lądowania. Krok drugi: testy przedstartowe. Aby misja w ogóle mogła dojść do skutku, należy sprawdzić, czy prawidłowo działają antena i autopilot, czy są sprawne powierzchnie sterowe samolotu itp. „Instruktor może »podrzucić« kursantowi błąd, na przykład zablokować lotki, żeby sprawdzić jego czujność”, tłumaczy Jakub Kurdybelski, specjalista do spraw urządzeń treningowych w firmie Flytronic.

Wreszcie krok trzeci: lot. Zaprogramowany na ziemi samolot porusza się samodzielnie. Operator śledzi go na monitorze, sprawdza siłę wiatru, ilość paliwa, a jeśli maszyna trafi na przeszkodę, której nie widać na mapie, może przez wprowadzenie do systemu nowych danych zwiększyć wysokość lotu. Na tym jednak nie koniec. Za pomocą znajdujących się na konsoli manetek operator kieruje pracą kamery: zmienia jej ustawienie, używając zoomu, przybliża i oddala obraz. „Podczas lotu może na bieżąco modyfikować jego trasę, dodając na mapie nowe punkty. A jeśli jakiś fragment terenu zainteresuje go szczególnie, uruchamia tryb »camera guide«. Samolot nad nim krąży i oprócz filmu wykonuje zdjęcia”, wyjaśnia Kurdybelski.

Siedzę więc za konsolą i staram się chłonąć wiedzę. Bardziej jednak się przyglądam, niż rzeczywiście biorę udział w locie. Ale, jak zapewnia instruktor, opanowanie systemu nie jest trudne. Jako przykład podaje stojących za moimi plecami studentów dęblińskiej Szkoły Orłąt, którzy do Gliwic przyjechali na praktykę. „Kiedy mieliście pierwsze loty?”, pyta dziewczynę, która kilkanaście minut wcześniej ustąpiła mi miejsca. „Jakieś pół godziny temu”, słyszę.

Bezzałogowe samoloty stają się w Polsce coraz bardziej popularne. Korzysta z nich nie tylko wojsko, lecz także cywilni pasjonaci lotnictwa, dziennikarze stacji telewizyjnych, a nawet firmy wynajmowane do kręcenia filmów na weselach. Przepisy związane z ich użytkowaniem są niejednolite. Jeśli samolot porusza się tylko w zasięgu naszego wzroku, nie potrzebujemy żadnych zezwoleń, chyba że wykorzystujemy go do celów komercyjnych. W takim wypadku operator musi zdać egzamin, do którego jednak sam się przygotowuję. Jeśli zamierzamy wysłać drona dalej, potrzebujemy specjalistycznego kursu i certyfikatu. Z systemu licencjonowania jest wyłączona armia. Jednak żołnierze również muszą zaliczyć szkolenie.

Trafiają oni właśnie do instruktorów z gliwickiej firmy Flytronic (stanowi ona część grupy WB Electronics), która od kilku lat dostarcza polskiej armii własnej produkcji samoloty bezzałogowe FlyEye. „Szkolenie trwa dwa tygodnie”, wyjaśnia Dawid Bielecki, dyrektor do spraw szkoleń i eksploatacji. Kilka pierwszych dni to teoria. Żołnierze poznają budowę i zasady działania drona, przepisy związane z organizacją ruchu lotniczego, a także podstawy meteorologii. „Muszą na przykład wiedzieć, czym



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

PUŚCIĆ OKO

Do obsługi samolotu bezzałogowego wystarczą cztery osoby. Dron porusza się po zaprogramowanej wcześniej trasie. Operator może ją korygować, ale przede wszystkim zajmuje się obsługą kamery.

RAFAŁ MNIEDKO / 11 D.K.P.A.N.C.

BEZZAŁOGOWEGO SAMOLOTU FLYEYE UŻYWAJĄ ŻOŁNIERZE WOJSK LĄDOWYCH I SPECJALNYCH

jest cumulonimbus i dlaczego powinni go unikać”, zaznacza Bielecki. „Dlaczego?”, pytam. „To chmura burzowa. Potrafi wciągnąć maszynę na wysokości na przykład 300 m i wypuścić 12 km wyżej. Dla pilota szybowca oznacza to śmierć, platforma bezzałogowa może zostać po prostu zniszczona”, podkreśla Bielecki.

Po zajęciach teoretycznych przychodzi czas na symulator (mniej więcej dwa dni) i tydzień na poligonie. Instruktorzy jadą tam, gdzie zażyczy sobie armia. „To prawda, szkolenie nie jest długie, ale dwa tygodnie w zupełności wystarczą na opanowanie systemu”, zapewnia Bielecki. „U przyszłego operatora najważniejsze jest myślenie. Powinien sprawnie i szybko analizować dostępne dane. Kiedy na przykład zmienia plany w trakcie misji, musi to zrobić tak, by samolot mógł dolecieć do wskazanego punktu albo chociaż wylądować w bezpiecznym miejscu”.

Z DRONEM NA PLECACH

Przeznaczeniem samolotu bezzałogowego FlyEye jest prowadzenie obserwacji. Korzystają z niego zarówno żołnierze wojsk lądowych, jak i specjalnych. Maszyny tego typu były używane na przykład podczas misji w Afganistanie.

FlyEye jest niewielki. Jego długość wynosi 2 m, rozpiętość skrzydeł zaś 4 m. „Do jego obsługi i transportu wystarczą cztery osoby”, podkreśla Bielecki. „Samolot rozkłada się na kilka elementów, które wraz z anteną można przenieść w specjalnych plecakach. Konstrukcja jest stosunkowo lekka. Waży zaledwie 11 kg”, dodaje. Ponowne złożenie samolotu zabiera około dziesięć minut.

Maszyna startuje za pomocą silnika elektrycznego. Kiedy osiągnie wskazaną przez operatora wysokość, silnik zostaje wyłączony, a samolot zaczyna szybować. FlyEye może się wzbijać na wysokość kilometra, choć z reguły operuje na pułapie 300–500 m. Porusza się z prędkością 60–120 km/h, a przy maksymalnie naładowanej baterii wykonuje zadania przez dwie godziny. Jego zasięg wynosi 35 km. „Oczywiście samolot można zaprogramować na dalszy lot. Gdy jednak przekroczy wspomnianą granicę, operator traci z nim kontakt”, tłumaczy Bielecki.

FlyEye może być wykorzystywany zarówno na równinach, jak i w górach – do wysokości

3,5 tys. m n.p.m. Kiedy misja dobiega końca, pięciokilogramowy zasobnik z kamerą odrywa się od maszyny i na spadochronie opada na ziemię. „Wszystko po to, by nie uszkodzić go podczas lądowania”, zaznacza Bielecki. Choć samolot nie ma kół, z reguły miękko osiada na ziemi – przy zetknięciu z podłożem amortyzuje go zamontowana u spodu płoza. Ale i tak lepiej dmuchać na zimne.

PIONOWY LOT MANTY

FlyEye to jednak dopiero początek. W Gliwicach trwają prace nad kolejnymi dwoma dronami. Pierwszy to FlySAR – maszyna mogąca wykonywać zadania przez 15 godzin i przenosić sprzęt o wadze 40 kg. Może to być radar, ale też uzbrojenie. „Samolot powstaje we współpracy z Wojskową Akademią Techniczną”, wyjaśnia Bielecki. „Nasze zadanie polegało na stworzeniu samej maszyny. Specjaliści z WAT-u pracują nad dodatkowymi systemami, w które zostanie wyposażona”.

Drugi samolot to Manta – prawdziwa duma miejscowych konstruktorów. Aby ją zobaczyć, a także posłuchać, jak działa, muszę pojechać na gliwickie lotnisko. Tam właśnie mieści się firmowy ośrodek badawczy. W części biurowej trwa jakaś narada. Mam więc czas, by przejść się po niewielkiej hali zastawionej dronami. Wkrótce się dowiem, że nie tylko tam stoją, ale od czasu do czasu również przechodzą testy – wzbijają się w powietrze, choćby na metr czy dwa.

„Manta może startować zarówno poziomo, jak i pionowo. Nie potrzebuje zatem lotniska, a to już w tej klasie bezzałogowców ewenement”, podkreśla Wojciech Szumiński, twórca systemów bezzałogowych i jeden z założycieli firmy Flytronic. „Poza tym maszyna ma dwa silniki: elektryczny i spalinywy. Drugi z nich podładowuje pierwszy, co zwiększa możliwości operacyjne manty”. Samolot może pozostawać w powietrzu nawet 20 godzin, a jego udźwig został obliczony na 35 kg. Do tego ma własny system antyoblodzeniowy i autonomiczny system pozycjonowania, uniezależniony od GPS (w ten sposób przeciwnikowi trudno go namierzyć). „W tej chwili mamy trzy manty, przeprowadziliśmy 29 lotów, które łącznie trwały 39 godzin”, wylicza Szumiński. „Prace nad samolotem są na finiszu. Do fazy gotowego produktu możemy dojść w kilka tygodni”, podsumowuje. ■

Od dziesięciu lat Amerykanie przeprowadzają operacje typu targeted killing z użyciem uzbrojonych samolotów bezzałogowych. Czy dziś nadal mogą one być traktowane jako odpowiedź na atak z 11 września 2001 roku?

To pytanie zadaje sobie cały świat: w jakim stopniu organizatorzy ataków z 11 września są powiązani z tymi, z którymi dziś walczą Amerykanie, na przykład z Omarem al-Basziirem w Sudanie, z terrorystami w Jemenie czy talibami z Pakistanu i Afganistanu? W USA podnosi się wiele głosów, aby zaktualizować rezolucję przyjętą przez Kongres po 11 września, która upoważnia prezydenta do stosowania wszelkich koniecznych środków w celu zapobiegania działaniom terrorystycznym wymierzonym przeciwko Stanom Zjednoczonym, aby w niej wręcz wpisać, kto dziś jest prawdziwym wrogiem USA. Amerykanie po-

Licencja na zabijanie

Z Błażem Sajdukiem o tym, czy uzbrojone bezzałogowce to broń „etycznie neutralna”, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

wołują się także na artykuł 51 „Karty Narodów Zjednoczonych”. Przyznaje on prawo każdemu państwu członkowskiemu, „przeciwko któremu dokonano zbrojnej napaści, do indywidualnej lub zbiorowej samoobrony, zanim Rada Bezpieczeństwa zastosuje środki, konieczne dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa”.

Dlaczego amerykański rząd nie musi pytać Kongresu o zgodę, jeśli używa dronów do zabijania terrorystów, a występuje o nią, gdy wysłała 100 żołnierzy z misją szkoleniową do Ugandy?

Według „New York Timesa”, nie ma spisanych zasad, według których powstaje lista celów, czyli osób, które drony mogą zaatakować poza polem bitwy. Akceptuje je prezydent Barack Obama. Na wykorzystywanie bezzałogowców wpłynęła rezolucja przyjęta po wojnie w Wietnamie (War Powers Resolution). Stanowi ona, że prezydent może wykorzystać siły zbrojne bez zgody Kongresu w sumie przez 90 dni. Stąd specyficzny rozwój amerykańskiego sprzętu wojskowego – chodzi o to, by uderzyć zdecydowanie i szybko się wycofać – oraz chęć do używania bezzałogowców. W tej rezolucji zapisano między innymi, że zgoda Kongresu nie jest wymagana, jeśli amerykańscy żołnierze nie są narażeni na poważne niebezpieczeństwo – taki casus mieliśmy w Libii. Administracja odstąpiła od zapytania Kongresu, bo uznała, że działania sił specjalnych nie są regularnymi działaniami sił zbrojnych.

Nie ma znaczenia, na jakim obszarze użyje się dronów?

Mamy problem z amerykańskim podejściem do prowadzenia działań wojennych poza teatrem działań zbrojnych. Nikt nie ma wątpliwości, że Amerykanie korzystają z dronów w Afganistanie. Brytyjczycy od początku 2011 do połowy 2014 roku przeprowadzili za ich pomocą więcej ataków niż z wykorzystaniem samolotów załogowych. Nie budzi to naszego etycznego oporu, bo jest to pole walki. Problem pojawia się tam, gdzie drony działają poza obszarem wojennym, bo de facto nie wiadomo, kto jest uprawnionym celem ataku.

Celem są terroryści. Drony pozbawiły życia kilkunastu przywódców Al-Kaidy, ale – jak wykazała analiza New America Foundation – przez przypadek lub pomyłkę zginęła co trzecia ofiara. Czy można zatem sprawiedliwie zabić cywilów atakiem na terrorystę?

W prawie wojennym jest zapis, że straty cywilne są uzasadnione, gdy nie ma innej możliwości niż atak wojskowy. Trudno jednak etycznie uzasadnić takie postępowanie. Według niektórych raportów straty cywilne to niewielki procent. Human Rights Watch natomiast twierdzi, że w atakach życie straciło ponad 1500 cywilów. Trudno zweryfikować takie dane, bo jak ustalić, czy wystrzelona rakietą pochodzi z F-15 czy z drona, i kto rzeczywiście padł ofiarą ataku. Amerykanie przyznali się do kilku akcji w Jemenie, po których wypłacali odszkodowania. obrońcy użycia bezzałogowców mówią, że kierowane laserowo bomby GBU-12 Paveway II oraz rakiety Hellfire, ze względu na mniejsze głowice bojowe, mają o wiele mniejszą moc niszczenia niż te przenoszone przez samoloty konwencjonalne. Drony zwiększają też precyzję uderzenia – to jeden z argumentów za tym, że celem nie jest mordowanie wszystkich dookoła, lecz selektywne zabijanie tych, którzy są uprawnionym czy uzasadnionym celem ataku.

To inny sposób zabijania. Pilot nie zrzuca bomby, lecz operator naciska guzik. Z zaskoczeniem przeczytałam o badaniach, że psychozami z powodu lęku przed atakiem drona są dotknięci nie tylko na przykład mieszkańcy Pakistanu, lecz także operatorzy bezzałogowców.

Muszę przyznać, że dziwnie czułem się podczas pobytu w Izraelu i w Strefie Gazy, gdy nad moją głową krążyło coś, co

mogło mnie zabić. Bzyk, który ciągle słyszałem, nie był przyjemny. Izraelczycy nigdy się nie przyznali, że przeprowadzają ataki za pomocą samolotów bezzałogowych, choć wiele na to wskazuje. Dopiero teraz pojawiają się pierwsze prace na temat PTSD operatorów samolotów bezzałogowych oraz ludności wystawionej na działanie dronów. Nie ma na razie badań, które potwierdzałyby, że wszyscy piloci bezzałogowców cierpią na takie schorzenia. Są natomiast ciekawe badania z 2012 roku, przeprowadzone w Pakistanie przez psychiatrów Uniwersytetu Stanforda. Otóż miejscowi mówią o życiu „pod dronami” i o permanentnym poczuciu zagrożenia. Okazuje się, że ci ludzie częściej niż inni zapadają na neurozę i psychozę. Filozof Tomasz Hobbes pisał w „Lewiatanie”, że największym lękiem, który towarzyszy ludzkiej egzystencji, jest strach przed gwałtowną i nagłą śmiercią. Śmierć z ręki pilota bezzałogowca jest właśnie taka.

A co z operatorami dronów, którzy zapadają na zespół stresu bojowego?

Oficjalnie władze amerykańskie o tym nie mówią. Rok temu jedna z polskich gazet przedrukowała wywiad amerykańskiego pilota Brandona Bryanta, który opowiadał, jak wygląda śmierć człowieka na ekranie termowizyjnym. Na takim monitorze jest on biały, bo ciało wydziela ciepło. Po odpaleniu rakiety pilot widział, jak ta biel przechodzi w szarość, aż zlewa się z tłem. Nie wiem, w jakim stopniu szkolenie może przygotować żołnierzy na takie obrazy. Piloci bezzałogowców to przeważnie młodzi ludzie.

Czy prawo nadąża za rozwojem technologii? Czy użycie dronów „do likwidacji celu” z powietrza da się obronić na gruncie prawa międzynarodowego?

Odpowiem tak: oficjalnie władze Pakistanu twierdzą, że ataki dronów to pogwałcenie suwerenności. 20 lat temu informacja, że jeden kraj zabija dwa tysiące obywateli drugiego, oznaczałaby wojnę. Dziś oba państwa są sojusznikami. Administracja amerykańska natomiast uważa, że ataki dronów są legalne, ponieważ po 11 września świat stał się obszarem walki z Al-Kaidą, tym samym na całym globie obowiązuje prawo konfliktów zbrojnych. Ponadto USA i Izrael sprzeciwiają się eksterytorialnemu stosowaniu praw człowieka. Innymi słowy, nie uznają, że te prawa obowiązują poza ich terytorium. Co ciekawe, Stany Zjednoczone nie są stroną statutu rzymskiego, powołującego do życia Międzynarodowy Trybunał Karny z siedzibą w Hadze, który został stworzony z myślą o osądzeniu pojedynczych osób za najcięższe zbrodnie (za zbrodnie wojenne). Amerykanie, obawiając się osądzenia między innymi pilotów samolotów bezzałogowych, zadeklarowali nawet, że są w stanie odbić swego obywatela z Hagi, jeżeli zostałby postawiony przed tym trybunałem.

Warto zauważyć, że drony operują dziś w Afganistanie i Pakistanie, Jemenie, Somalii, czyli w krajach bez skutecznej obrony przeciwlotniczej. Jeżeli na współczesnym polu walki dron nie ma odpowiedniego wsparcia, zostaje natychmiast zestrzelony. Dobrze ilustruje to sytuacja Izraela, gdzie zestrzelono już mnóstwo dronów wysłanych przez Hezbollah i Hamas. →

Kogo można pociągnąć do odpowiedzialności, gdy dron zabije kogoś przez pomyłkę?

Systemy autonomiczne nie są podmiotami moralnymi, więc nie mogą ponosić odpowiedzialności za własne działania. Za popełnione zbrodnie wojenne nie odpowiada technologia, lecz człowiek – osoby wydające rozkaz i go wykonujące. W wypadku odpowiedzialności za działanie robotów nie jest do końca jasne, kto miałby to być. Zależnie od okoliczności winny może być programista danego systemu, inżynier, który go zaprojektował, żołnierz nadzorujący robota w terenie, dowodzący generał czy polityk, który rozpoczął wojnę i zgodził się na zastosowanie bezzałogowców.

Czy roboty staną się etyczne, jeśli zostaną wyposażone w oprogramowanie zmuszające je do przestrzegania praw wojny?

Robot nie gwałci i się nie mści, ale jak ma odróżnić talibę od zwykłego Afgańczyka? W USA są prowadzone badania, między innymi przez Ronalda Arkina, na temat przełożenia kodeksu etycznego na język binarny, który miałby humanitaryzować działania wojenne. Gdy pokonamy ograniczenia związane na przykład z mocą obliczeniową, gdy będziemy programować komputery nie w sposób zero-jedynkowy, wówczas być może maszyny będą wykonywały działania wojenne lepiej i bezpieczniej niż ludzie. Ważna będzie kooperacja człowiek – maszyna. Samolotom z załogą będą wówczas towarzyszyły zsynchronizowane z nimi drony. W nieodległej przyszłości żołnierz będzie wydawał polecenia maszynom, które będą w stanie wykonać je samodzielnie, na przykład przeprowadzić atak lub przeszukać budynek.

Wyobrażam sobie, że w czasie jakiegoś zagrożenia chemicznego do akcji pierwsze wkraczą roboty i to one oceniają, czy mogą tam wejść ludzie. To co Pan mówi oznacza jednak, że w przyszłości spotkamy się nie z ratownikami, ale z robotami, które zaczną wydawać nam polecenia.

Podejrzewam, że żyjącym obecnie ludziom trudno byłoby się bezdyskusyjnie podporządkować. Inny przykład. Wyobraźmy sobie miśnię pokojową w jakimś kraju afrykańskim, gdzie maszyny rozdają pomoc humanitarną. Za 30 lat zamiast żołnierzy w takie miejsce zostaną wysłane roboty, które zaprowadzą porządek i będą tylko obsługiwane przez personel. Jak wtedy ludzie zareagują na taką maszynę?

Interesujący jest również sposób, w jaki dwie strony konfliktu postrzegają bezzałogowce. Islamiści widzą w stosowaniu ich przez „zgniły Zachód” oznakę słabości. Amerykanie patrzą na to diametralnie inaczej i zdają się mówić: mamy przewagę technologiczną, zmiażdźmy wroga. Islamiści natomiast odpowiadają: oni się nas boją, dlatego wysyłają maszyny.

To dziś, a za kilkadziesiąt lat?

Już w filmie Stanleya Kubricka „Odyseja kosmiczna” pytamy, gdzie są granice. Mamy też trzy prawa robotyki Isaaca Asimova, mówiące w uproszczeniu: robot nie może skrzywdzić człowieka, robot musi być posłuszny rozkazom człowieka, robot musi chronić sam siebie, nie narażając przy tym człowieka.

Warto też zauważyć, że inne podejście do robotów mają Amerykanie – przypomnę na przykład siejącego zagładę terminatora, a inne Japończycy, dla których są to maszyny chroniące ludzkość, jak w „Godzilli”. Można zaryzykować stwier-



JACEK SZUSTAKOWSKI

Roboty wpłynęły na to, że musimy zastanowić się nad tym, co oznacza ludzka odwaga, bohaterstwo i honor

dzenie, że bariera kulturowa, aby roboty były bardziej autonomiczne, na Dalekim Wschodzie jest niżej postawiona niż w Europie. Gdy Chińczycy się zastanawiali, jak zlikwidować jednego z bossów mafijnych w delcie Mekongu, zdecydowali się na tradycyjną metodę, a nie bezzałogową.

Kiedy przekroczymy Rubikon, bo decyzję o wyborze i zniszczeniu celu podejmie pokładowy komputer?

W pewnych sferach życia będziemy zastępowani przez maszyny, na przykład w transporcie. Już dziś niektóre decyzje podejmują maszyny. Za przykład mogą posłużyć różnego rodzaju autopiloty, systemy broni przeciwartyleryjskiej i antyrakietowej C-RAM. Samsung opracował system wartowniczy SGR-A1, który ma zostać zamontowany na granicy między Koreą Południową a Północną. Będzie on mógł działać w trybie autonomicznym i samodzielnie podejmować decyzje na temat otwarcia ognia. Amerykanie w priorytetach rozwoju systemów bezzałogowych na wysokim miejscu mają ich autonomię. Jest ona bowiem potrzebna, aby robot mógł współpracować z człowiekiem. Chodzi także o to, aby operować formacjami (rojami) robotów, które będą w stanie wykonać misję. Jest to konieczne na przykład po to, by maszyny się nie zderzały. Przyszłość robotyki widzę też w tak zwanej modularności, czyli możliwości każdorazowego konfigurowania (na przykład przezbrajania) płat-

form robotycznych, tak aby mogły sprostać wymogom pola walki.

Gdzie jest granica traktowania maszyn jako maszyn?

W marcu 2014 roku powstał pierwszy artykuł napisany przez robota. W czerwcu tego roku po raz pierwszy program komputerowy zaliczył tak zwany test Turinga. Odpowiedział na zestaw prostych pytań, a część zadających je osób nie orientowała się, że rozmawiają z maszyną. Robotami są też pliki Boot w internecie – programy wykonują automatycznie pewne czynności, na przykład przelewy bankowe. Badania pokazują, że ponad 51% ruchu w sieci jest generowane właśnie przez nie.

Czy zgadza się Pan z opinią, że uzbrojone drony to broń „etycznie neutralna”?

Od wynalezienia łuku i kuszy rewolucja w dziedzinie wojskowości ma jeden kierunek – oddalać niebezpieczeństwo od własnego żołnierza i maksymalizować straty wroga. Roboty są krokiem w tym kierunku. Papież Urban V zakazał rycerzom używania kuszy. Także U-Booty były potępiane jako broń nieetyczna. Gdy człowiek steruje maszyną i podejmuje decyzję o ataku, ta sytuacja pod względem etycznym niczym się nie różni od ataku drona. To, w jaki sposób morduje się ludzi, jest dla mnie wtórne wobec faktu, że ktoś stracił życie. Wymiar technologiczny robotyki nie jest najważniejszy. To kolejny krok w ewolucji. Istotne, abyśmy starali się tę technologię włączać w istniejące ramy prawne i normy etyczne. Nie widzę silnych argumentów na to, aby drony przestały latać, ale musimy znaleźć odpowiedzi na dziesiątki pytań. Problemami są: brak prawnych zasad, urazy psychiczne, na jakie mogą cierpieć cywile, czy PTSD u żołnierzy.

Może kończy się czas załogowych myśliwców?

Amerykanie eksploatują największą liczbę samolotów bezzałogowych na świecie. Najgłośniejszy jest oczywiście o tych, które wykonują zadania bojowe (np. MQ-9 Reaper czy RQ-1 Predator). Są one wykorzystywane przez siły powietrzne USA, Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych i Centralną Agencję Wywiadowczą. W 2011 roku na 600 szkolenych pilotów, 350 było przyszłymi pilotami samolotów bezzałogowych. W Stanach Zjednoczonych panuje opinia, że w ciągu ostatnich trzech lat urodził się ostatni pilot myśliwca.

To może czekają nas naziemne walki dronów?

Skupiamy się na dronach w powietrzu, a przecież mamy drony w kosmosie – bo czymże innym jest łazik marsjański? Są

bezzałogowce nawodne i podwodne, a także naziemne, niektórzy mówią też o podziemnych. Dziś czekamy na nowego Steve’a Jobsa, który skomercjalizuje naziemne urządzenia w jeszcze większym stopniu niż się to dzieje. Wpuszczamy roboty do naszych domów – firma iRobot sprzedała kilkanaście milionów maszyn do sprzątania. Kolejnym krokiem będzie automatyzacja i autonomizacja transportu oraz sektora medycznego, czyli roboty operujące na odległość. Transport bezzałogowy w rejonie działań zbrojnych nie naraża na niebezpieczeństwo żołnierzy. Amerykanie już dziś korzystają z bezzałogowego śmigłowca K-MAX, który dostarcza do wysuniętych posterunków ekwipunek. Drugim obok autonomizacji ważnym krokiem w rozwoju będzie miniaturyzacja, która pozwoli wykorzystać latające systemy do działań naziemnych. Ważący około czterech kilogramów dron Switchblade to w rzeczywistości latająca bomba. Może razić cel w obrębie kilku kilometrów, gdy na przykład wleci przez okno.

Czy Amerykanie traktują operatorów dronów tak samo, jak pilotów samolotów załogowych?

W lutym 2013 roku Amerykanie chcieli wprowadzić nowe odznaczenia dla pilotów samolotów bezzałogowych oraz dla tych, którzy prowadzą działania ofensywne w cyberprzestrzeni. Jeden z żołnierzy, zwolennik tego pomysłu, zadał pytanie: czym właściwie różni się sytuacja operującego na wysokości kilku kilometrów pilota F-16, który znajduje się kilka kilometrów od pola walki i odpala raketę, od sytuacji pilota samolotu bezzałogowego? On uznał, że niczym, dlatego oba rodzaje służby powinny być traktowane tak samo, wobec czego piloci bezzałogowców zasługują na odznaczenia. Przez media przetoczyła się wówczas debata, jak można odznaczać ich medalem, który jest wyżej w hierarchii niż Brązowa Gwiazda z literą V (przyznawana za odwagę w obliczu wroga, bohaterstwo lub przykładową służbę na polu walki) i Purpurowe Serce (przyznawane pośmiertnie lub za odniesione rany w trakcie służby wojskowej).

Może powinniśmy się zastanowić, czy odwaga i honor na polu walki nadal znaczą to samo co kiedyś?

Po tej dyskusji Amerykanie zmienili instrukcję przyznawania odznaczeń wojskowych, mówiącą o tym, jaki medal jest za co przyznawany. Na jej końcu znajdował się słownik, który definiował bohaterstwo na polu walki – w maju 2013 roku wykreślono tę definicję. Wydaje się, że to celowe działanie, które ma otworzyć drzwi dla operatorów dronów. W USA nie ma jasnej ścieżki odznaczeń dla operatorów nowych typów broni, bo to nowa struktura – obok armii lądowej, lotnictwa i marynarki. Tak, to roboty wpłynęły na to, że musimy zastanowić się nad tym, co oznacza ludzka odwaga, bohaterstwo i honor. ■

WIZYTÓWKA

BŁAŻEJ SAJDUK

Doktor, jest prorektorem Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. J. Tischnera w Krakowie oraz pracownikiem Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

PAWEŁ HENSKI

Pojazdy bezzałogowe i samoloty zdalnie pilotowane na stałe zagościły w arsenałach wielu państw. Etapem rozwoju tego uzbrojenia może być częściowa lub pełna autonomia działania, która całkowicie zrewolucjonizuje pole bitwy.

ZERWANE ZE SMIYCZY



NASA jest jedną z instytucji, w których powstają najbardziej zaawansowane programy związane z autonomicznością działania systemów bezzałogowych.

W amerykańskiej armii nie bez powodu bezzałogowe aparaty powietrzne są nazywane samolotami zdalnie pilotowanymi (Remotely Piloted Aircraft – RPA). Chodzi o podkreślenie, że bez pracujących na ziemi załóg nigdzie by nie poleciały. MQ-9 Reaper czy RQ-4 Global Hawk nie są dronami, jak się je potocznie nazywa w mediach. Nie są to „bezduszne” roboty, polujące na swoją zdobycz. Jednakże ich następców – działające autonomicznie, przy minimalnej ingerencji człowieka, samoloty bezzałogowe – będzie właśnie można nazywać dronami.

Szacuje się, że w ciągu najbliższych pięciu, dziesięciu lat systemy bezzałogowe uzyskają bardzo duży stopień autonomii. To prawdziwa terra incognita. Przed naukowcami i wojskiem jest bowiem jeszcze wiele nieprzetartych szlaków, takich jak: określenie zakresu autonomiczności systemów, opracowanie nowych procedur testowych i zabezpieczeń, zdefiniowanie sposobu użycia bojowego maszyn. W związku z rozwojem systemów autonomicznych pojawiają się również pytania o moralną stronę ich użycia. Czy taka broń nie naruszy zasad prawa wojennego? Czy jest ona asymetryczna? Jakie zagrożenia mogą wiązać się z jej rozwojem?

W listopadzie 2012 roku Pentagon wydał dyrektywę zawierającą wytyczne do rozwoju i użycia operacyjnego uzbrojenia pół-autonomicznego i w pełni autonomicznego. Według tego dokumentu systemy bojowe powinny być zaprojektowane tak, by zapewnić dowódcom i operatorom możliwość odpowiedniego poziomu ingerencji w ich działania. Dyrektywa nie zakazuje jednak budowy broni całkowicie autonomicznej, tyle że Pentagon powinien ściśle nadzorować jej rozwój. Aby zapobiec tak zwanym niezamierzonym atakom, ci, którzy autoryzują i kierują operacjami systemów autonomicznych, powinni działać w zgodzie z prawem konfliktów zbrojnych, postanowieniami traktatów międzynarodowych oraz zasadami użycia uzbrojenia.

OD AUTOMATYZACJI DO AUTONOMICZNOŚCI

Naukowcy podkreślają potrzebę stworzenia spójnej definicji autonomiczności, która często jest mylona z automatyzacją działań. Amerykańskie samoloty bezzałogowe, które weszły do służby operacyjnej, jeszcze nie działają w sposób autonomiczny, a jedynie zautomatyzowany. Najbardziej zaawansowany pod tym względem jest MQ-4C Triton, czyli morska wersja global hawka. Namiastką autonomiczności jest możliwość samodzielnego dzia-

łania w razie utraty łączności satelitarnej z operatorem na ziemi. Samolot może wówczas kontynuować zaplanowaną misję i wrócić do bazy. Są to jednak działania z góry przewidziane i wpisane w pamięć komputera pokładowego.

O wiele bardziej zaawansowany technologicznie jest eksperymentalny samolot pokładowy X-47B. Znajdujący się na ziemi lub lotniskowcu operator nie steruje nim bezpośrednio, lecz przez klikanie myszką. Wydaje w ten sposób odpowiednie komendy, takie jak na przykład: lot po określonej trajektorii, do określonego punktu, rozpoczęcie operacji lądowania, startu. Polecenie samolot wykonuje w pełni samodzielnie. Operator oczywiście zawsze pozostaje decydującym ogniwem i może zmienić zadanie lub je odwołać.

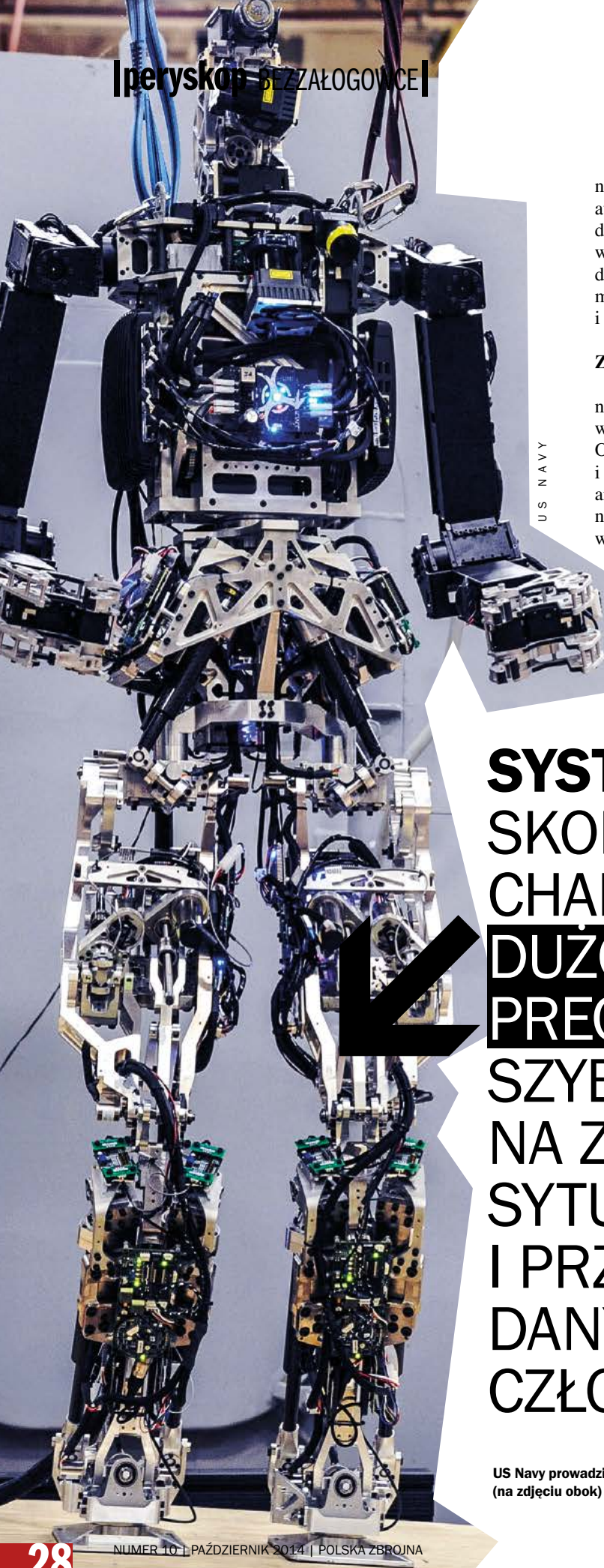
W lipcu 2013 roku X-47B wykonał dwa lądowania z użyciem liny hamującej na pokładzie lotniskowca USS „George H.W. Bush”. Z trzeciego maszyna sama zrezygnowała po wykryciu anomalii w działaniu komputera nawigacyjnego. Skierowała się wówczas na lotnisko w bazie US Navy Wallops Island w stanie Wirginia, gdzie wylądowała bez żadnych problemów. Był to przykład autonomicznego działania – samodzielnej reakcji na zaistniałą sytuację. X-47B to, jak na razie, demonstrator technologii.

Na bazie zebranych doświadczeń US Navy rozpoczyna program budowy pokładowego, bezzałogowego powietrznego systemu rozpoznawczo-uderzeniowego (Unmanned Carrier-Launched Airborne Surveillance and Strike System – UCLASS). Jego rdzeniem ma być niewykrywalny dla radarów bezzałogowy samolot pokładowy. Będzie charakteryzował się dużą autonomią działania, zakładającą możliwość samodzielnego atakowania celów powierzchniowych. Jeśli US Navy wprowadzi go do służby operacyjnej, będzie to duży krok naprzód w dziedzinie autonomizacji samolotów bezzałogowych. Marynarka wojenna wyprzedza pod tym względem amerykańskie siły powietrzne.

Mamy obecnie do czynienia z etapem przejściowym w rozwoju systemów bezzałogowych. Osiągnięcie pełnej autonomii będzie wymagało uzyskania przez samoloty bezzałogowe takich możliwości jak: samodzielne wykrywanie innych obiektów w powietrzu i unikanie kolizji, automatyczne tankowanie w powietrzu, autodiagnostyka systemów pokładowych, repla-

NASA





U S NAVY

nowanie misji w zależności od zmieniających się warunków atmosferycznych oraz wykrywanych zagrożeń, koordynacja działań z innymi platformami bezzałogowymi, w tym loty w formacji, autoanaliza zebranych przez czujniki pokładowe danych. Stąd już tylko krok do najtrudniejszego etapu – samodzielnego wybierania celów dla uzbrojenia pokładowego i samodzielnego ich niszczenia.

ZASTĄPIĆ CZŁOWIEKA

Za najbardziej zaawansowane programy związane z autonomizacją działania systemów bezzałogowych są odpowiedzialne NASA, Agencja Zaawansowanych Programów Obronnych (DARPA) oraz biuro badań technologicznych i naukowych marynarki wojennej (ONR). Wszystkie te trzy amerykańskie instytucje prowadzą programy budowy humanoidalnych robotów, które będą pomagać ludziom lub docelowo ich zastępować w sytuacjach trudnych i wyjątkowych.

Program NASA „Robonaut” zakłada budowę robota zdolnego do wykonywania różnorodnych zadań na pokładach statków kosmicznych oraz w próżni.

**SYSTEMY
SKOMPUTERYZOWANE
CHARAKTERYZUJĄ SIĘ
DUŻO WIĘKSZĄ
PRECYZJĄ DZIAŁANIA,
SZYBKościĄ REAKCJI
NA ZAISTNIAŁĄ
SYTUACJĘ
I PRZETWARZANIA
DANYCH NIŻ
CZŁOWIEK**

US Navy prowadzi program SAFFIR, którego celem jest stworzenie strażaka (na zdjęciu obok) pomagającego w gaszeniu pożarów na okrętach bojowych.

US Navy prowadzi program SAFFiR (Shipboard Autonomous Firefighting Robot), którego celem jest stworzenie strażaka pomagającego w gaszeniu pożarów na okrętach bojowych. DARPA rozpoczęła z kolei projekt DRC (DARPA Robotics Challenge), w którym firmy komercyjne mogą prezentować roboty zdolne do prowadzenia działań poszukiwawczo-ratowniczych w razie wystąpienia katastrof naturalnych lub wypadków. Wszystkie te trzy programy zakładają, że roboty nie tylko będą pomagać ludziom jako członkowie danych grup funkcyjnych, lecz także wykażą się dużą autonomią, pozwalającą im na samodzielne rozpoczynanie określonych działań.

Kolejna grupa programów ma na celu opracowanie systemów, które będą wspomagać lub całkowicie zastąpić człowieka w kokpicie samolotu. Prowadzony przez DARPA program ALIAS (Automated Labor In-Cocpit Automation System) przewiduje budowę systemu wspomagającego pilota. Tak powstanie wirtualny drugi pilot, docelowo z możliwością samodzielnego sterowania samolotem. ALIAS ma mieć zdolności uczenia się poprzez analizę działań prawdziwych pilotów. Co więcej, ma to być przenośny system, żeby można go było przekładać z samolotu do samolotu.

NASA prowadzi programy mające na celu autonomizację działań w lotnictwie cywilnym, żeby stworzyć system, dzięki któremu samolot pasażerski lub transportowy będzie mógł mieć tylko jednego pilota (Single Pilot Operations – SPO). Projekt zintegrowanego jednoosobowego kokpitu zakłada dużą automatyzację działań oraz uproszczenie zarządzania lotem. Dzięki dotykowemu systemowi sterowania (Haptic Flight Control System – HFCS) pilot będzie komunikował się z samolotem wyłącznie przez drążek sterowy i przepustnicę silników. System ma być do tego stopnia autonomiczny, że będzie mógł na przykład samodzielnie wylądować, gdyby nie był w stanie tego zrobić pilot.

PIERWSZE PRZYMIARKI

Amerykańska armia i marynarka wojenna podjęły programy budowy systemów, które potrafią sterować śmigłowcem bez udziału człowieka. Pierwsze próby, prowadzone wspólnie przez NASA i US Army w ramach programu RASCAL, sięgają 1989 roku. Zbudowano wówczas bezzałogową wersję śmigłowca Blackhawk, oznaczoną jako JUH-60A. US Navy rozpoczęła natomiast własny program budowy autonomicznego powietrznego systemu transportowego (Autonomous Aerial Cargo Utility System – AACUS). Na jego potrzeby Boeing opracował bezzałogową wersję śmigłowca MD-530F, oznaczoną jako H-6 Unmanned Little Bird.

Przymiarką do przyszłych operacji i pewnego rodzaju polem testowym była eksploatacja w Afganistanie przez piechotę morską eksperymentalnego transportowego śmigłowca bezzałogowego Kaman K-MAX, który działa w sposób zautomatyzowany. Znajdujący się na ziemi operator nie steruje nim bezpośrednio, lecz wcześniej programuje trasę lotu i w każdej chwili może ją modyfikować. K-MAX to jednak etap przejściowy.

W ostatnich latach zarówno JUH-60A, jak i H-6U zostały wyposażone w systemy, dzięki którym nie tylko mogą przemieszczać się z punktu A do B, lecz także wykonywać samodzielnie lądowanie w wybranym przez siebie miejscu. Program AACUS zakłada, że śmigłowiec po dotarciu do wyzna-

czanego obszaru w ciągu kilku minut sam wybierze optymalne miejsce do lądowania i je wykona. AACUS będzie systemem modułowym, dającym się łatwo zamontować w wybranym śmigłowcu.

Podobny system, Matrix, opracowuje firma Sikorsky. Został on zamontowany w eksperymentalnym bezzałogowym śmigłowcu S-76 SARA (Sikorsky Autonomous Research Aircraft), który pierwszy autonomiczny lot odbył w lipcu 2013 roku.

ZALETY I WĄTPLIWOŚCI

Systemy autonomiczne otwierają przed lotnictwem bojowym całkowicie nowe możliwości. Długotrwałe patrole lub wielogodzinne misje przede wszystkim nie będą ograniczane wytrzymałością pilotów, jak to się dzieje w wypadku obecnych samolotów zdalnie pilotowanych (RPA). Co więcej, oznacza to też mniej pracy ze strony operatorów naziemnych. Ponadto systemy bezzałogowe nie wymagają lotów ćwiczebnych i szkolnych, więc zużycie tych maszyn będzie znacznie mniejsze niż załogowych.

W przyszłości oprogramowanie adaptacyjne pozwoli na przekazywanie zdobytego doświadczenia między poszczególnymi aparatami. Jeśli jeden samolot „nauczy się” pewnego działania, będzie można tę wiedzę przekazać wszystkim pozostałym. Autonomia działania, bez komunikacji satelitarnej z centrum sterowania, z jednej strony pozwoli maszynom bezzałogowym na skryte zbliżanie się do celu, a z drugiej wyeliminuje problem utraty lub zakłócenia łączności satelitarnej przez przeciwnika.

Naukowcy podkreślają jeszcze jeden pozytywny aspekt – systemy skomputeryzowane charakteryzują się dużo większą precyzją działania, szybkością reakcji na zaistniałą sytuację i przetwarzania danych niż człowiek. Będą więc o wiele bardziej efektywne, na przykład pod względem zużycia paliwa czy amunicji.

Szybki rozwój systemów autonomicznych rodzi jednak wiele pytań i wątpliwości. Szczególnie dotyczą one możliwości samodzielnego użycia broni. To ostatnie ogniwo w rozwoju tych technologii, które jednakże jest ich logiczną konsekwencją. Jeśli system może samodzielnie wybrać miejsce do lądowania, to również będzie mógł sam wykryć cel i zdecydować o jego zniszczeniu. Przeciwnicy pogłębiania autonomizacji widzą w tym największe zagrożenie – niekontrolowanego użycia broni, co może mieć poważne konsekwencje, choćby takie jak trafienie we własne oddziały lub cywilów. Jednakże w wypadku użycia systemu autonomicznego ostatnim ogniwem zawsze będzie człowiek, który z jednej strony autoryzuje jego użycie, a z drugiej ma możliwość zachowania nad nim kontroli.

Autonomiczne samoloty bezzałogowe nie będą się różniły pod tym względem od używanego obecnie uzbrojenia, takie jak rakiety samosterujące cruise czy uruchamiające się automatycznie systemy obronne. Ich działanie będzie opierać się na możliwości ich czujników pokładowych oraz zdolności do szybkiego przetwarzania i analizowania danych. Dzisiaj pilot myśliwca atakujący cel, który pozostaje poza zasięgiem wzroku (BLOS), przy jego identyfikacji i namierzaniu całkowicie opiera się na odczycie czujników pokładowych swojego samolotu. Wie o nim tyle, ile „dowiedziały się” jego systemy pokładowe. ■

STRAŻNIK

ROBERT CZULDA

CENA:
16,5
MLN FUNTÓW



WATCHKEEPER

to bezzałogowy statek powietrzny, który wygląda niemal identycznie jak Hermes 450 w konfiguracji górnopłata z usterzeniem motylkowym i silnikiem pchającym AR-801. Bezzałogowiec ma autonomiczne systemy planowania misji oraz startu i lądowania, a także sztywne podwozie, które na czas lotu nie jest chowane.

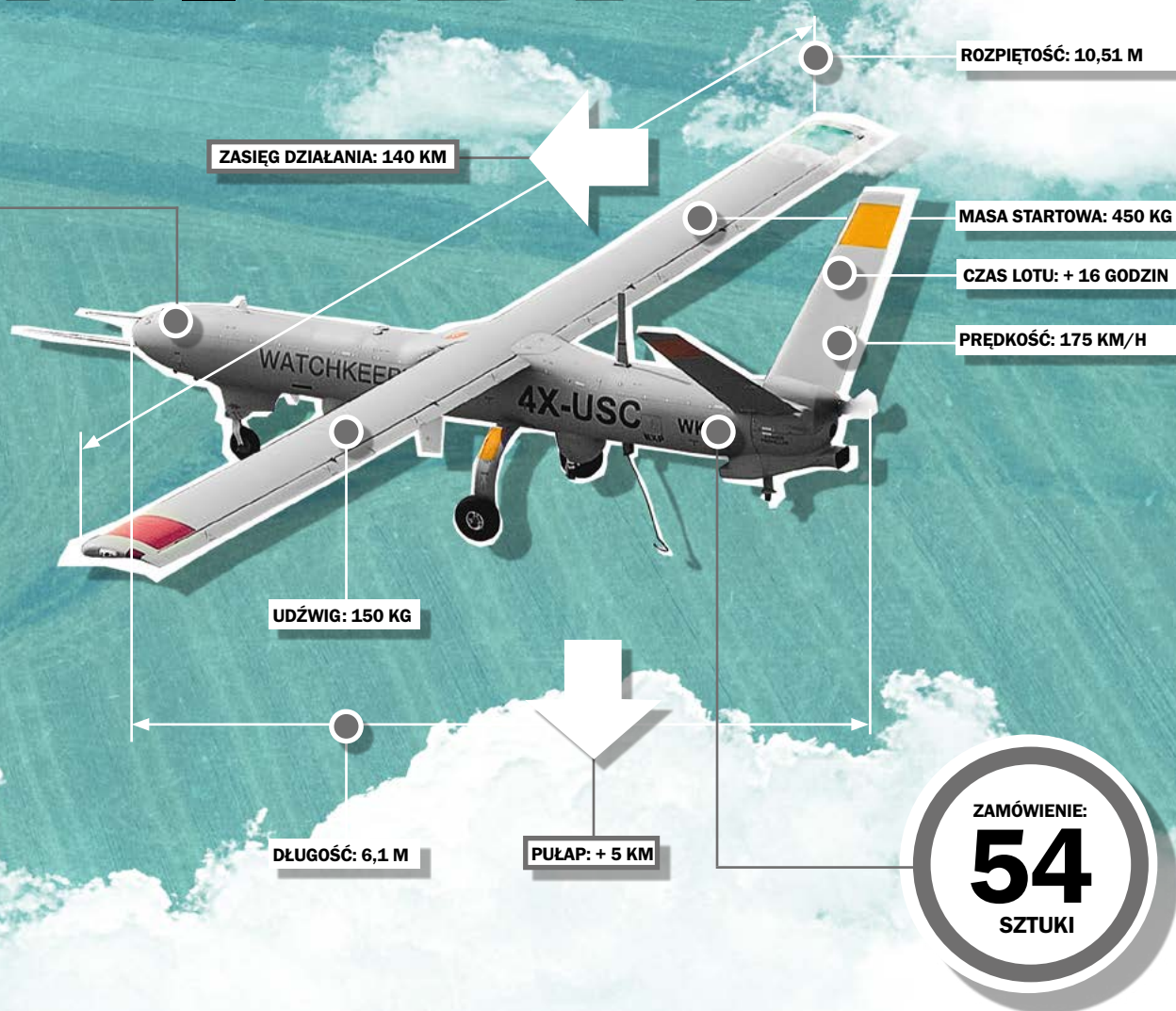
Po początkowych problemach projekt bezzałogowca Watchkeeper ruszył do przodu – brytyjscy instruktorzy rozpoczęli już szkolenia.

W marcu 2014 roku watchkeeper dostał od brytyjskiego ministerstwa obrony dokument potwierdzający gotowość do służby. W praktyce oznacza to, że bezzałogowiec przeszedł procedurę analizy bezpieczeństwa (acceptable safety case) dla samolotu oraz wyposażenia. Jest ona wymagana dla wszystkich samolotów (załogowych lub bezzałogowych) wykonujących loty nadzorowane przez

Inspektorat Lotnictwa Wojskowego (Military Aviation Authority). Certyfikacja umożliwia odbywanie lotów treningowych w przestrzeni powietrznej Wielkiej Brytanii.

Dzięki temu watchkeeper mógł przejść do fazy testowej na poligonie w Walii do lotów treningowych z udziałem regularnych operatorów wojskowych z Boscombe Down w Wiltshire, gdzie się znajduje główny ośrodek pilotów testowych mi-

NIEBA



nisterstwa obrony. Certyfikacja oznacza, że watchkeeper spełnia takie same wymogi bezpieczeństwa, jak samoloty załogowe. Odpowiedzialny za programy bezzałogowców w brytyjskiej armii ppłk Craig Palmer powiedział: „W wypadku watchkeepera poprzeczka w dziedzinie bezpieczeństwa została ustawiona na bardzo wysokim poziomie. Szczegółowe przeglądy oraz całościowe testy systemu dostarczyły istotnych dowodów na to, że ten system szybko osiąga dojrzałość”. Przyznał też, że na końcowy kształt programu miały wpływ doświadczenia z Afganistanu, gdzie Brytyjczycy stracili bezzałogowy statek powietrzny Hermes 450. Po katastro-

fie z listopada 2011 roku specjalna komisja śledcza zaleciła zmianę programu szkolenia operatorów naziemnych.

SERIA TRUDNOŚCI

Watchkeeper to dzieło firmy Thales, która na etapie tworzenia korzystała ze wsparcia UAV Tactical Systems Limited (U-TacS), będącej spółką joint venture firm Thales (49%) i Elbit Systems (51%). Dzięki udziałowi w projekcie Izraelczyków, bezzałogowiec mógł powstać na bazie konstrukcji Hermesa 450 (te maszyny służą nie tylko Izraelczykom – korzysta z nich dziesięć państw; trafiły także do Iraku i Afgani-

stanu jako wsparcie dla Brytyjczyków). Pierwszy lot testowy odbył się w Izraelu w kwietniu 2008 roku, ale silniki i płatowce będą budowane w Wielkiej Brytanii na licencji izraelskiej.

Tegoroczny sukces musi cieszyć producenta. Do tej pory było bowiem sporo problemów z tym bezzałogowcem. Pierwsze egzemplarze (razem 54 zamówione) miały być dostarczone do armii w czerwcu 2010 roku. Dwa miesiące wcześniej bezzałogowiec Watchkeeper odbył pierwszy lot na terytorium Wielkiej Brytanii (od tego czasu wylatał ponad 600 godz.). Później datę przesunięto na luty 2011 roku, następnie na grudzień. Jak informował opinioznawca „Aviation Week”, powodem były kłopoty techniczne. Wówczas brytyjskie biuro audytowe aż sześć z siedmiu elementów projektu oceniło jako ryzykowne. W sumie opóźnienie w tym projekcie wyniosło trzy lata. Wzrosła także cena maszyny – z 700 do około 831 mln funtów. Rekompensatą ma być natomiast stworzenie ponad 2 tys. specjalistycznych miejsc pracy.

UNIWERSALNA MASZYNA

Watchkeeper może wykonywać wiele operacji typowych dla działań ISTAR (Intelligence, Surveillance, Target Acquisition and Reconnaissance), a więc z dziedziny wywiadu, obserwacji, kierowania ogniem i rozpoznania. Jak przekonuje producent, za sprawą wyrafinowanych systemów pokładowych bezzałogowiec nawet przy zerowej widoczności może pełnić stały nadzór zarówno wobec celów punktowych, jak i strefowych.

Zaletą jest czas lotu watchkeepera – ponad 16 godz. – istotny także w misjach rozpoznawczych, podczas których ten bezzałogowiec może zbierać różnego rodzaju informacje, w tym o ruchu wojsk. Co więcej, może odgrywać rolę maszyny wsparcia artyleryjskiego poprzez identyfikację celów i ich oznaczenie wskaźnikami laserowymi. Może działać w trybie autonomicznym i kontrolowanym przez operatora.

Do wykonywania zadań rozpoznania powietrznego watchkeeper wykorzystuje sensory pokładowe. Głowica Elop CoMPASS IV z kamerą wysokiej rozdzielczości (HD) pozwala na przykład przekazywać fotografie oraz materiał wideo do stacji naziemnej w czasie rzeczywistym. W razie trudnych warunków i niewielkiej widoczności watchkeeper może skorzystać też ze standardowej kamery działającej na podczerwień. Bezzałogowiec ma też pokładowy laserowy wskaźnik celów oraz dalmierz laserowy.

Na razie nie planuje się uzbrajać tej konstrukcji, ale na jednym z targów Thales przedstawił makietę w takiej konfiguracji. Podczas Międzynarodowego Salonu Lotniczego w Farnborough w 2014 roku zaprezentował „gotową do produkcji” lekką bombę szybującą FFLMM (Free Fall Lightweight Multi-role Missile) o długości 70 cm i masie 6 kg, która może być wykorzystywana na pokładzie watchkeepera. Brytyjskie siły zbrojne chcą bowiem, aby ten bezzałogowiec został uzbrojony.

Na pokładzie watchkeepera znajduje się radiolokator SAR/GMTI I-Master firmy Thales. Jest to radar typu SAR (Synthetic Aperture Radar), a więc z syntetyczną aperturą, który służy do uzyskiwania obrazów nieruchomych obiektów

o wysokiej rozdzielczości. Pozwala on bezzałogowcowi działać w dwóch trybach: „Strip-map SAR”, w którym jest zawsze oświetlany pas terenu równoległy do trasy przelotu, oraz „Spotlight SAR”, w którym stały obszar terenu jest oświetlany przez określony czas.

Producent przekonuje, że za sprawą pokładowego wskaźnika ruchomych celów naziemnych (Ground Moving Target Indicator – GMTI) watchkeeper może wykrywać i śledzić poruszające się obiekty, nawet niewielkie. Podczas Międzynarodowego Salonu Lotniczego w Farnborough w 2014 roku Thales ogłosił, że produkowany radar I-Master, działający w zakresie 360°, w 15-calowej jednostce przegubowej, jest obecnie dostępny z nowym trybem – wykrywania morskich celów ruchomych (Maritime Moving Target Indication – MMTI). Nowe możliwości obserwacji obszarów morskich, które zostały wprowadzone dzięki pakietowi oprogramowania, mogą być wykorzystywane jednocześnie z już zainstalowanymi trybami GMTI oraz SAR. Według firmy Thales integracja z bezzałogowcem Watchkeeper pozwoli na wykrywanie i śledzenie celów znajdujących się na powierzchni wody: od małych, szybkich jednostek, takich jak skutery wodne, do większych i wolniejszych, jak okręty i tankowce, niezależnie od warunków pogodowych, w dzień lub w nocy. Algorytmy, które zostały stworzone przez firmę Thales, umożliwiają użytkownikom

przeprowadzanie takich operacji, jak wykrywanie nietypowych manewrów jednostek, przeprowadzanie analizy „wzorca życia” („pattern of life”) oraz ciągłe śledzenie namierzonych jednostek.

KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Do połowy stycznia 2014 roku Thales i Elbit Systems dostarczyły 26 bezzałogowców oraz 14 skonteneryzowanych naziemnych stacji kierowania, które mogą działać albo samodzielnie, albo też jako część większego systemu dowodzenia (C4I). Brytyjskie wojsko oprócz 28 kolejnych watchkeeperów ma otrzymać jeszcze jedno stanowisko kierowania. Przewiduje się, że te maszyny będą służyły brytyjskim żołnierzom co najmniej 30 lat. Bezzałogowce nie znalazły się jednak w Afganistanie, jak to zakładały wcześniejsze plany. Wielka Brytania nie widzi takiej konieczności, skoro pod Hindukuszem ma do dyspozycji dziewięć bezzałogowych statków powietrznych Hermes 450, a wkrótce wycofa stamtąd swoje siły. Jednak do Afganistanu ma trafić dwóch instruktorów, którzy będą przygotowywać kontyngent na ewentualne wejście watchkeeperów do służby.

Być może na konstrukcję zdecyduje się Francja. Paryż, który z Londynem zawarł w 2010 roku umowę o współpracy obronnej, testował watchkeepera. Mówi się, że dojdzie do transakcji łączonej. Francja, która interesuje się również brytyjskim wozem gaśnicowym Terrier, chce w zamian sprzedać Wielkiej Brytanii kołowe wozy piechoty (véhicule blindé combat d’infanterie – VBCI) produkowane przez firmy Nexter i Renault Trucks Defense. Do jednostek brytyjskiej artylerii w 2013 roku przydzielono francuskich podoficerów, aby szkolili się z obsługi bezzałogowców, a w tym roku szkolenia mają rozpocząć także na watchkeeperach. ■

WATCHKEEPER MOŻE WYKONYWAĆ WIELE OPERACJI TYPOWYCH DLA DZIAŁAŃ ISTAR, A WIĘC Z DZIEDZINY WYWIADU, OBSERWACJI, KIEROWANIA OGNIEM I ROZPOZNANIA



HENRYK SUCHAR

Gniazda dla dronów

Amerykanie szukają miejsca na bazy bezzałogowych statków powietrznych w Azji Środkowej, w razie gdyby Kabul nie zgodził się na pobyt w Afganistanie oddziałów amerykańskich po 2014 roku.

Rząd Hamida Karzaja obstaje przy tym, że skoro misja NATO dobiegła kresu, to na afgańskim terytorium możliwa jest obecność jedynie obcych instruktorów wojskowych i policyjnych. Toteż amerykańskie zakulisowe zabiegi, by znaleźć przyczółek dla dronów, nabrały rozpędu. Taka baza jest niezbędna, by w razie zagrożenia przeprowadzić ataki na zgrupowania ekstremistów czy poszczególnych członków Al-Kaidy lub talibów (a ich znaczenie wzrośnie po ewakuacji sił sojuszu północnoatlantyckiego) – chodzi o uderzenia na kryjówki radykałów, zarówno w Afganistanie, jak i w Pakistanie.

Nie wiadomo jednak, z kim się toczą rozmowy na ten temat, ale nie jest tajemnicą, że nie są łatwe. Najlepiej byłoby ulokować bazę w jednym z krajów Azji Centralnej, jeszcze ponad 20 lat temu wchodzących w skład Związku Radzieckiego. Każda z tych lokalizacji ma jednak pewne minusy. Tak jest w wypadku graniczących z Afganistanem trzech państw: Tadżykistanu, Uzbekistanu i Turkmenistanu. Duszambe gości na swym terenie jednostki armii rosyjskiej i w olbrzymim stopniu jest uzależnione od rosyjskich pieniędzy. Taszcent nie cieszy się dobrą reputacją wśród amerykańskich obrońców praw człowieka, a Uzbegy zarabiają krocie za pracę na terenie Rosji. Od zawsze lawirujący między ugrupowaniami etnicznymi Afganistanu, hołdujący zasadzie wieczystej neutralności Turkmenistan też nie jest realnym rozwiązaniem.

TARGI Z MOSKWA

Problemem jest też stanowisko Kremla. Rosjanie wywarli presję na Kirgizów, żeby nie przedłużali Amerykanom umowy o dzierżawie tak zwanego ośrodka tranzytowego na lotnisku Manas pod Biszkekiem. Bronią się nogami i rękami, by nie po-

zwolić żołnierzom USA „panoszyć się” na swoim zapleczu strategicznym. Opór nie musi jednak trwać wiecznie i, jak można się dowiedzieć z portalu EurasiaNet, taka sytuacja może się zmienić, jeżeli Stany Zjednoczone zdołają podpisać z Moskwą porozumienie, „ustępując jej w jakiejś priorytetowej sprawie”. Nietrudno się domyślać, że jedną z nich może być kwestia dyslokacji elementów tarczy przeciwrakietowej na terenie Polski. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że w zamian za życzliwość wobec rozmieszczenia bazy aparatów bezzałogowych w środku Azji „Moskwa zażąda geopolitycznej transakcji lub poważnych ustępstw ze strony USA i NATO”.

KAPRYSY PRZYWÓDCÓW

Ekspertsi podkreślają i to, że każdy z potencjalnych partnerów w regionie przewodzi reżimowi autorytarnemu, a to oznacza wypłatę materialnych czy pieniężnych nagród, których wysokość może być ciągle zmieniana, według widzimisię lidera. A na dodatek, gdyby Ameryce udostępniono tylko jedną bazę w Azji Środkowej, to kraj, w którym się ona znajdzie, zdobędzie narzędzie do wywierania presji na USA.

Jeśli jednak w końcu Waszyngton wygospodaruje przyczółek na drony, to i tak będzie musiał rozstrzygnąć, komu go powierzyć. Dotychczasowe ofensywne loty bojowe statków bezzałogowych w Pakistanie i Afganistanie są w gestii Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Ona nie chce utracić tych uprawnień. Tymczasem prezydent Barack Obama zapowiedział, że programy związane z bezzałogowcami przejdą pod kuratelę sił zbrojnych, tyle że wtedy będą musiały mieć charakter bardziej otwarty. Dlatego, jak na razie, amerykański Kongres jest za tym, by – tak jak dotąd – operacje z udziałem UAV były podporządkowane centrali szpiegowskiej. ■

NORBERT BĄCZYK

Latające torpedy

Bezzałogowe samoloty i śmigłowce mają coraz większe znaczenie na współczesnym polu walki. Jednakże tego typu konstrukcje już od dekad są wysyłane na najbardziej niebezpieczne misje.

Aparaty określane jako bezzałogowe statki powietrzne (BSP; Unmanned Aerial Vehicle/System – UAV/ UAS) nie są w światowych arsenałach żadną nowością. To narzędzia z powodzeniem używane od dekad, przede wszystkim do celów rozpoznawczych. Ich początków należy się dopatrywać w czasach I wojny światowej, kiedy to rozpoczęto prace nad pierwszymi pociskami latającymi, protoplastami dzisiejszych rakiet skrzydlatych. Konstrukcje takie, jak amerykańska prototypowa „latająca torpeda” Kettering Bug, były małymi samolotami bezzałogowymi, które wykonywały samodzielny lot w kierunku celu, a po dotarciu do niego ulegały zniszczeniu.

Tego typu aparaty badano również w okresie międzywojennym, a brytyjski samolotik Larynx z 1925 roku był już nawet wyposażony w autopilota. Oczywiście nie były to bezzałogowe statki powietrzne w dzisiejszym rozumieniu. Ich misje miały charakter jednorazowy, nie były też pilotowane zdalnie przez człowieka z ziemi. Ten ostatni wymóg zaczął być spełniany w latach trzydziestych XX wieku, kiedy to pojawiły się pierwsze samoloty, zarówno pełnowymiarowe, jak i małe, modelarskie samolotiki, sterowane falami radiowymi. W 1940 roku amerykańska armia postanowiła w modelarskiej firmie Reginalda Denny „Radioplane Company” kupić te niewielkie maszyny jako cele dla dział przeciwlotniczych i nazwała je Radioplane OQ-1. Potem nabyto też model OQ-2.

US Navy, również eksperymentująca już z samolotami sterowanymi radiem, także kupiła takie konstrukcje i nazywała je TDD-1, czyli Target Drone Denny 1. To właśnie wówczas cele latające zaczęto nazywać dronami, od charakterystycznego bucze-



Kettering Bug, US Air Force Museum

nia ich niewielkich silników. Rozpoczęła się prawdziwa historia BSP, choć wciąż były one teoretycznie jednorazowego użytku.

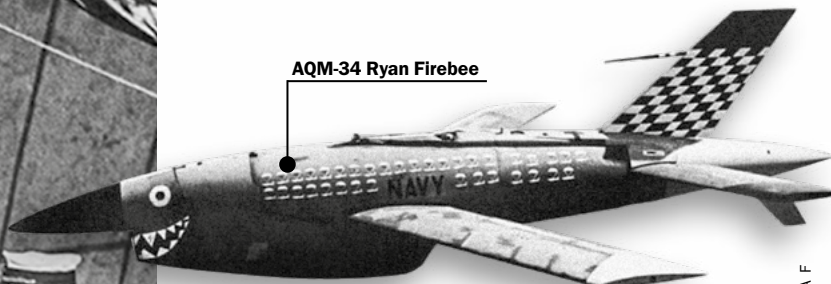
PODNIĘBNI SZPIEDZY

W czasie II wojny światowej technologia pozwalała już na konwersję na samoloty zdalnie sterowane radiem nawet ciężkich bombowców B-17. Wciąż jednak tak przerobione aparaty łatwiej było naprowadzić z dużej odległości na szczególnie ważny cel, i tam użyć jako latające bomby, niż próbować sprowadzić je z powrotem. Zresztą w konstrukcji „latającej bomby” użycie samolotu stawało się anachronizmem – niemieckie V-1 były już rasowymi pociskami skrzydlatymi i ewolucja tego typu konstrukcji zaczęła się toczyć własnym życiem. Prawdziwe, wielokrotnego użytku bezzałogowe statki powietrzne, zaczęły powstawać później, w latach pięćdziesiątych. Wówczas to rozwój technologii raketowych uczynił loty rozpoznawcze klasycznych samolotów nad terytorium przeciwnika niezwykle ryzykownymi. Ich uzupełnieniem stały się zatem szpiegowskie BSP – w miarę niewielkie, trudne do namierzenia, niezwykle szybkie samoloty odrzutowe wielokrotnego zastosowania.

Przodujący w tego typu konstrukcjach Amerykanie sięgnęli po sprawdzony, odrzutowy samolot cel Q-2A Firebee firmy Ryan Aeronautical Company (od 1969 roku Teledyne-Ryan), zwłaszcza jego zmodernizowaną odmianę BQM-34. Modele AQM-34Q, AQM34L czy też AQM34N zapisały nową kartę w historii lotnictwa, kiedy to w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wykonały dziesiątki tysięcy misji nad Chinami, Koreą Północną i Wietnamem, dokonując rozpoznania i zbierając głównie dane o systemie obrony przeciwlotniczej, w tym sta-



U S A I R F O R C E M U S E U M



U S A F

cjach radarowych, w państwach komunistycznych. Dostarczały bardzo ważne informacje, a jeśli któryś nie wrócił do bazy, można było tego nie komentować – nikt przecież nie zginął.

Firebee to bardzo ciekawa konstrukcja. Do akcji był wynoszony, jak kilka podobnych ówczesnych amerykańskich samolotów bezzałogowych, pod skrzydłem bombowca lub samolotu transportowego DC-130 Hercules. Następnie, po odłączeniu, uruchamiał własny silnik odrzutowy i wyruszał na misję nad terytoryjnie szczególnie niebezpieczne, po z góry wyznaczonej trasie. Po powrocie nad własne terytorium następowało wyłączenie silnika i kontrolowane opadanie z użyciem spadochronu.

Później firma Ryan opracowała jeszcze doskonalszy bezzałogowy statek powietrzny – AQM-91 Firefly. Lata sześćdziesiąte były złotym okresem lotnictwa. Powstało wtedy mnóstwo ciekawych konstrukcji. Skorzystały na tym również bezzałogowce. To wówczas do produkcji wszedł między innymi śmigłowiec Gyrodyne QH-50 DASH. Ten ciekawy wiropląt służył do rozpoznania, mógł także atakować jednostki przeciwnika przy użyciu torped. W służbie operacyjnej US Navy znajdował się jednak dość krótko.

Po drugiej stronie żelaznej kurtyny pojawiły się odpowiedniki maszyn amerykańskich, także wywodzące się z celów latających. Najślawniejsze z nich to Ła-17R oraz stanowiący jego następcę, opracowany w latach siedemdziesiątych, Tu-143 WR-3 Rejs. Startujący z wyrzutni naziemnej, Tu-143 powielał koncepcję szybkiego, odrzutowego, niewielkiego samolotu rozpoznawczego i był radzieckim analogiem dla AQM. W warunkach pełnoskalowej wojny miał dostarczać dane z terenów o silnym nasyceniu środkami przeciwlotniczymi, wykonując misję po

z góry wyznaczonej trasie i lądując z wykorzystaniem spadochronu. Rejs, który trafił do wyposażenia kilku armii Układu Warszawskiego i na Bliski Wschód, brał udział w paru konfliktach zbrojnych. Po raz ostatni w tym roku, na Ukrainie.

DROGA KU WSPÓŁCZESNOŚCI

Obecnie można zaobserwować dynamiczny rozwój bezzałogowych samolotów i śmigłowców. Doświadczenia ostatnich dekad pokazały, że tego typu konstrukcje sprawdzają się nie tylko na poziomie strategicznego czy operacyjnego rozpoznania, a zatem tam, gdzie jest potrzebny bardzo szybki, odrzutowy, skomplikowany w obsłudze aparat latający. W latach siedemdziesiątych w izraelskiej służbie pojawiły się małe samoloty rozpoznawcze IAI Scout – o rozpiętości skrzydeł 5 m, napędzane silnikiem tłokowym o mocy niewiele większej niż 20 KM i masie startowej raptem 160 kg. Mogły być sterowane przez operatora z ziemi lub wykonywać lot po wyznaczonej z góry trasie. Wyposażone je zaś w optoelektroniczną głowicę obserwacyjną.

Powstanie tego typu konstrukcji było możliwe dzięki miniaturyzacji sprzętu elektronicznego oraz optycznego. W rezultacie otrzymano niezwykle efektywne narzędzie rozpoznania – z racji swych rozmiarów i możliwości działania na pułapie powyżej 4 km wykrycie i zniszczenie tej wielkości BSP z ziemi nie było sprawą prostą, a samolocik mógł przez długi czas obserwować pozycje wroga, dostarczając na bieżąco dane z rozpoznania. Amerykanie podchwycili ten pomysł i w latach osiemdziesiątych do wyposażenia ich armii wszedł podobny aparat – RQ-2 Pioneer. Dziś konstrukcje tego rodzaju mają każde siły zbrojne, które chcą uchodzić za nowoczesne.

W latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych powstał również samolot GNAT 750. Ten protoplasta rozstawionego później MQ-1 Predator był maszyną szpiegowską nowej generacji. Mimo że powolny, dzięki cechom zbliżonym do szybowca i oszczędnemu, cichemu silnikowi, mógł się utrzymywać w powietrzu przez wiele godzin, a nawet dób, operując na bardzo dużych wysokościach. W dodatku nie można go było z ziemi dostrzec gołym okiem. Stąd już tylko krok dzielił konstruktorów od stworzenia jego ulepszonej wersji, Predato-ra, który ostatecznie uzbrojono w kierowane, precyzyjne pociski AGM-114 Hellfire, odpalone pierwszy raz operacyjnie w 2001 roku. Tak zaczęło się osławione „polowanie z użyciem dronów”, które trwa już kilkanaście lat.

Współczesne bezzałogowe statki powietrzne przeszły daleką drogę – moment wejścia do służby TDD-1 i testy na lotniskowcu najnowocześniejszego dziś X-47B dzieli przeszło 70 lat. Wciąż tego typu samoloty i śmigłowce pełnią tylko funkcje pomocnicze wobec maszyn załogowych, ale w dziedzinie rozpoznania to właśnie aparaty bezzałogowe z powodzeniem wypierają te pilotowane bezpośrednio przez człowieka. Dziś rozpoznanie opiera się na satelitach lub w większości przypadków – choć nie we wszystkich – właśnie na BSP, w tym na tych najbardziej fascynujących, tajnych po dziś dzień projektach maszyn szpiegowskich. Choć coraz doskonalsze, nie są jednak bronią nową. Ich historia jest niewiele krótsza niż losy całego lotnictwa i będą jego częścią w nadchodzących dekadach. ■





PIOTR BERNABIUK

| W O J S K A P O W I E T R Z N O D E S A N T O W E |

SKOK MIŁOWY

W ośrodku w Leźnicy Wielkiej rozpoczyna się nowa era w szkoleniu wojskowych spadochroniarzy.

U S A F





→ **SKOK
MILOWY**

**W LEŻNICY
WIELKIEJ
NA RÓŻNEGO
RODZAJU
KURSACH
JEDNOCZEŚNIE
SZKOLI SIĘ
55 ŻOŁNIERZY**

ARCH. 6 B.P.D. (2)

W 1964 roku decyzją głównego inspektora szkolenia Ministerstwa Obrony Narodowej do programu wrocławskiej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych wprowadzono szkolenie spadochronowe. Zadaniem nowo utworzonej komórki (początkowo cyklu, a po pewnym czasie zakładu spadochronowego) było przygotowywanie kadry dla 6 Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej oraz dla jednostek specjalnych.

Wkrótce grupa organizacyjna, rekrutująca się z najbardziej doświadczonych instruktorów 6 PDPD, z kpt. Józefem Dwernickim, szefem służby spadochronowej 16 Batalionu Powietrznodesantowego, na czele, rozpoczęła budowanie nowej struktury, opracowywanie programu szkolenia, przygotowywanie bazy szkolenia naziemnego oraz lądowiska i zrzutowiska na pobliskim Rakowie. Jeszcze w tym samym roku 80 podchorążych, po teoretycznym szkoleniu i oddaniu siedmiu skoków, w tym dwóch w nocy, uzyskało tytuły wojskowego skoczka spadochronowego.

WROCŁAWSKA AWANGARDA

Zakład spadochronowy stał się symbolem wrocławskiej uczelni. W czasach, gdy kierował nim płk Władysław Koźmiński, rozpoczęto badania i próby nad skokami z dużych wysokości (8 tys. m). Pracowano nad sprzętem, aparaturą, a przy współudziale Katedry Biodynamicznej AWF we Wrocławiu, nad fizjologią skoczków, wykonujących zadania w tak ekstremalnych warunkach.

Instruktorzy zakładu uczestniczyli także w pracach komisji nowelizujących instrukcje i regulaminy normujące proces szkolenia spadochronowo-desantowego w Wojsku Polskim.

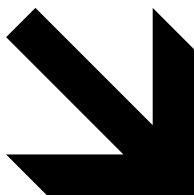
W latach dziewięćdziesiątych podjęli współpracę z firmą AIR-POL nad unowocześnieniem sprzętu. W efekcie w 1997 roku do wojska wprowadzono spadochrony desantowe AD-95 z zapasowym AZ-95, a rok później szybujące AD-2000. Przewadzano również prace wdrożeniowe związane z desantowaniem z samolotu CASA 295M.

W 2002 roku, gdy kierownictwo zakładu objął mjr dr Leszek Plezia, znakomicie rozwijała się współpraca z belgijską szkołą spadochronową z Schaffen. Nasi sojusznicy z NATO byli wówczas, i są do dziś, mistrzami w zrzucaaniu ciężkiej tary desantowej. Dzięki nim, po wielu latach przerwy, na polskich zrzutowiskach lądowały kilkutonowe platformy z wyposażeniem i pojazdami dla pododdziałów spadochroniarzy.

Wówczas we Wrocławiu zaczęto również myśleć o utworzeniu w siłach zbrojnych szkoły spadochronowej. Plany rozwoju zakończyły się... likwidacją 21 listopada 2008 roku Zakładu Spadochronowego Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych. Zniknął wówczas ośrodek dydaktyczny o znakomitym dorobku, który można zbilansować w liczbach: 220 tys. wykonanych skoków, 12 tys. przyszłych oficerów uzyskało tytuły wojskowego skoczka spadochronowego oraz po „przekwalifikowaniu” 736 żołnierzy zdobyło uprawnienia instruktorskie, nie mówiąc już o powstałych tam regulaminach i procedurach zmienianych wraz z rozwojem techniki desantowej i unowocześnianiem systemu desantowania.

REAKTYWACJA

Było kilka powodów likwidacji Zakładu Spadochronowego WSOWLąd. Przede wszystkim uczelnia nie zajmuje się praktycznym szkoleniem wojskowym słuchaczy. Ponadto nowy



1 stycznia 2009 roku w Leżnicy Wielkiej powstał Ośrodek Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego.

system finansowania placówki nie pozwoliłby na utrzymanie lotniska, zrutowiska, zaplecza technicznego i odpowiednich służb. Są to racjonalne argumenty, tyle że likwidacji zakładu spadochronowego towarzyszyło wiele emocji. Powstała wówczas spora luka, hamująca rozwój tak ważnej dla sił zbrojnych dziedziny. W efekcie utracono część dorobku, a przede wszystkim grupę wysokiej klasy specjalistów, instruktorów spadochronowych.

Wkrótce, bo już 1 stycznia 2009 roku, w Leżnicy Wielkiej powstał Ośrodek Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego (OSAS). „Istniała pilna potrzeba utworzenia ośrodka, przejęcia zadań i dorobku ocalałego po wrocławskim zakładzie spadochronowym”, opowiada jego obecny komendant ppłk Robert Kłonica. „Atutem było usytuowanie go przy 1 Dywizjonie Lotniczym 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, a tym samym przy lotnisku dysponującym pełną infrastrukturą i – co ogromnie ważne – statkami powietrznymi”.

W porównaniu z wrocławskim zakładem OSAS miał szerszy zakres zadań – objął szkoleniem nie tylko 25 Brygadę Kawalerii Powietrznej, lecz także 6 Brygadę Powietrznodesantową i jednostki specjalne, szkolące dotąd żołnierzy samodzielnie. Co więcej, liczba „skaczących” z czasem zaczęła rosnąć – powstały nowe jednostki wojsk specjalnych, doszły też pułki rozpoznawcze, w których kompanie dalekiego rozpoznania przygotowują się do

przerzutów na duże odległości metodą spadochronową, wykonując skoki na spadochronach szybkich z wolnym, kombinowanym oraz samoczynnym systemem otwarcia.

KAWALERYJSKIE RODOWODY

W nowej placówce szkoleniowej jednym z wyzwań było skompletowanie załogi. Początkowo cenne wsparcie stanowiło kilku instruktorów z rozwiązanego Zakładu Spadochronowego WSOWLąd., ale najwytrwalsi z nich wytrzymali tylko do 2012 roku. Z pewnością znacznym utrudnieniem były dla nich dojazdy z Wrocławia oraz związane z życiem na dwa domy koszty. A nie chcieli przenieść się na stałe z dużego miasta do Leżnicy.

Takiego problemu nie miał jednak komendant leżnickiego ośrodka. Ppłk Robert Kłonica przesłużył 15 lat w 18 Batalionie Powietrznodesantowym, a kolejne pięć pełnił służbę w Wydziale Bezpieczeństwa Lotów Dowództwa Wojsk Lądowych jako specjalista od spadochroniarstwa. Jego zastępca, mjr Rafał Meresiński, oraz pozostali instruktorzy mają już rodowody kawaleryjskie – są wychowankami 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Czterech z nich, w tym dwaj wspomniani oficerowie oraz mł. chor. Artur Wiśniewski i mł. chor. Grzegorz Tarka, są instruktorami spadochronowymi klasy mistrzowskiej. Wśród załogi znajdują się również specjaliści o tak przydatnych do nowocze- ➔

INSTRUKTORZY OŚRODKA SZKOLENIA AEROMOBILNO-SPADOCHRONOWEGO CZERPIĄ WIELE DOŚWIADCZEŃ NIE TYLKO Z CYWILNEGO ŚRODOWISKA SPADOCHRONOWEGO, LECZ TAKŻE Z WOJSKOWEGO W PAŃSTWACH SOJUSZNICZYCH.

WKanadzie szkolili się z desantowania z C-130, zbierali doświadczenia we Francji i w Hiszpanii, krajach mocnych w spadochroniarstwie wojskowym. Nawiązali współpracę z belgijską szkołą spadochronową w Schaffen, która ma silną drużynę sportową, a ponadto specjalizuje się w desantowaniu tary ciężkiej. Tegorocznym, międzynarodowym sukcesem jest zajęcie przez zespół, na którego czele stał mjr Rafał Meresiński, trzeciego miejsca w Challenge 2014, zawodach szkół i ośrodków szkolenia spadochronowego NATO, które odbywały się w Niemczech. W 2015 roku wyzwaniem będzie przygotowanie i rozegranie tej imprezy w Leźnicy Wielkiej.

snego szkolenia spadochronowego specjalnościach, jak instruktorzy przyspieszonej nauki wolnego opadania (Accelerated FreeFall – AFF) i tunelowi oraz tandem piloci.

KRÓTKA KOŁDRA

Chociaż leźnicki ośrodek ma znacznie większy potencjał niż miał zakład wrocławski, to nie zaspokaja on wszystkich potrzeb szkoleniowych wojska, co szczególnie boleśnie odczuwają niemające własnego zaplecza jednostki rozpoznawcze. W czasie tworzenia OSAS zastanawiano się, kogo będzie szkolili, a i tak dziś okazuje się, że kołdra jest o wiele za krótka.

W Leźnicy jednocześnie na różnego rodzaju kursach szkolili się 55 żołnierzy – takie są możliwości szkoleniowe oraz szeroko pojętego zabezpieczenia. Priorytet stanowią czterotygodniowe kursy podstawowe (po których żołnierz otrzymuje tytuł skoczka), obejmujące szkolenie spadochronowe z wykonaniem pięciu skoków według ustalonych zadań oraz z desantowaniem z pokładu śmigłowca z przyziemienia i z wykorzystaniem technik linowych. Uzupełnieniem cyklu szkoleniowego jest strzelanie z burty śmigłowca. Uczestniczyć w nich może jednocześnie 35 żołnierzy. W tym samym czasie 20 kursantów może brać udział w szkoleniu służącym przekwalifikowaniu na instruktora spadochronowego bądź na spadochrony szybujące i na wolny system otwarcia spadochronu. Wtedy ewentualnie kwalifikację może też zdobywać czterech układaczy spadochronów.

W ciągu roku ośrodek może przeprowadzić siedem kursów czterotygodniowych umożliwiających zdobycie tytułu skoczka, pięć czterotygodniowych na spadochrony szybujące, jeden czteromiesięczny na instruktorów spadochronowych i sześć kursów układaczy spadochronów. A w leźnickim ośrodku

szkoliły się również jednostki wyjeżdżające na misje, których żołnierze ćwiczyli metody współpracy ze śmigłowcem.

Napięte harmonogramy bywają też czasem zagrożone przez pogodę. Wystarczy kilkudniowe załamanie i zdarza się, że czas kursu dobiega końca, a jego uczestnicy nie wykonali obowiązującej normy skoków. Co wtedy? Ppłk Kłonica twierdzi, że w takich sytuacjach normowany czas pracy nie istnieje: „Robimy wszystko, aby cel został osiągnięty. Jeśli jest nadzieja na właściwe warunki, zaczynamy skoki nawet o czwartej rano”.

Ze względu na napięty harmonogram szkoleń najtrudniejszym miesiącem w ośrodku jest październik, kiedy spotykają się szefowie służb spadochronowych wszystkich jednostek „skaczących”, żeby przygotować plany kursów na następny rok. Emocjonujące zazwyczaj obrady polegają na zderzaniu możliwości z potrzebami, szukaniu priorytetów i kompromisów. W lutym natomiast od nowa zaczyna się karuzela szkoleniowa, trwająca do końca października. Listopad zaś jest przeznaczony na obsługę sprzętu, a w grudniu i styczniu trwają przygotowania do nowego sezonu.

PŁASKO W TUNELU

Leźnicki ośrodek stawia na nowoczesność, która z kolei zwiększa efektywność szkolenia. A w spadochroniarstwie, zarówno w świecie wojskowym, jak i cywilnym, dzieje się bardzo dużo. Niezwykle ważne w przygotowaniu żołnierzy do wykonywania skoków na wolne otwarcie jest dziś łączenie systemu AFF z treningami w tunelu aerodynamicznym.

W przyspieszonej nauce wolnego opadania uczeń, po krótkim wprowadzeniu teoretycznym i kilku ćwiczeniach na przyrządach, wykonuje pierwszy skok w towarzystwie dwóch instruktorów i operatora dokumentującego. Instruktorzy przez

KOMENTARZ

ANDRZEJ REUDOWICZ



Z wykorzystaniem personelu i infrastruktury Ośrodka Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego w Leżnicy chcemy doprowadzić do konsolidacji podstawowego szkolenia spadochronowego i desantowego żołnierzy jednostek wojsk lądowych i specjalnych. Rozważamy także możliwość prowadzenia w OSAS szkolenia instruktorów spadochronowych dla jednostek wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Tak rozumiana konsolidacja wywołałaby skutki organizacyjne i etatowe, więc działając planowo, chcemy najpierw powołać zespół autorski, który przygotuje analizę możliwości, a później przedstawić przełożonym opracowaną na jej podstawie propozycję rozwiązania systemowego.

Gen. brig. **Andrzej Reudowicz** jest szefem Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

kilkadziesiąt sekund swobodnego opadania ku ziemi wręcz układają adepta w powietrzu. W kolejnych skokach towarzyszy mu już tylko jeden z nich, przekazując polecenia za pomocą umownych znaków. Następnie szkolący się ogląda nagranie swoich wyczynów na monitorze i razem z instruktorem analizuje błędy. Gdy nauczy się stabilnie płasko spadać, wyprowadza sylwetkę z obrotów, niekontrolowanego spadania i otwierać spadochron, otrzymuje certyfikat.

W sierpniu 2014 roku zespół instruktorów OSAS przystąpił do wdrażania programu pilotażowego, w którym skoki w systemie AFF są poprzedzane trzema godzinami latania w tunelu aerodynamicznym. Skoczek, unosząc się swobodnie na strugach pędzącego z prędkością około 200 km/h powietrza, pod okiem instruktora uczy się utrzymywania płaskiej sylwetki, wykonywania obrotów i sztuki otwierania spadochronu głównego. Gdy przechodzi do realnych skoków w systemie AFF, bez trudności wykonuje w każdym po dwa obowiązujące zadania, a po czwartym skoku osiąga samodzielność.

Nawiązaniem do wrocławskiej tradycji, ale we współczesnej formie, będzie powrót do skoków z dużych wysokości (HALO i HAHO), czyli od 4 tys. do 10 tys. m. W spadochroniarstwie jest to w pewien sposób granica zaczarowana, przy której do techniki płaskiego opadania dochodzi odpowiednie przygotowanie organizmu, tak zwanej saturacji, a także sprzętu, co jest związane z niskim ciśnieniem.

Kawalerzyści chcą w tej dziedzinie wykorzystać doświadczenia polskich jednostek specjalnych, szkolących się już od dłuższego czasu według przystosowanych do własnych potrzeb procedur nатовских. Zdaniem Roberta Kłoniczy, zaczynanie wszystkiego od nowa nie miałyby sensu. Podkreśla przy tym, że współpraca ze specjalistami odbywa się na wysokim poziomie. ■

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

WARSZAWSKIE FORUM
BEZPIECZEŃSTWA

Warsaw Security Forum 2014, międzynarodowa konferencja ekspercka zorganizowana przez Fundację im. Kazimierza Pułaskiego i Akademię Obrony Narodowej, odbędzie się 20–21 listopada 2014 roku w Warszawie. Tematem dyskusji w czasie poszczególnych paneli będą zagadnienia bezpieczeństwa międzynarodowego we wszystkich jego wymiarach, głównie militarnym, ale także ekonomicznym i energetycznym, ze szczególnym uwzględnieniem bezpieczeństwa Europy i jej subregionu środkowo-wschodniego. W wydarzeniu weźmie udział około 300 osób: ministrów spraw zagranicznych, obrony narodowej, ekspertów i innych osób zaangażowanych w sprawę bezpieczeństwa.

Forum rozpocznie konferencja przedstawicieli wysokiego szczebla państw Unii Europejskiej odpowiedzialnych za sprawę bezpieczeństwa, a otworzy ją prezydent Bronisław Komorowski. Sesję tę współorganizuje Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, które jest także strategicznym partnerem wydarzenia. W debacie wezmą udział doradcy ds. bezpieczeństwa głów państw Unii Europejskiej, a konkluzje z dyskusji zostaną zebrane, aby pomóc w wypracowaniu efektywnej polityki UE wobec potencjalnych zagrożeń.

Misją Warsaw Security Forum 2014 jest przede wszystkim rozwój bezpieczeństwa międzynarodowego poprzez dialog i budowę zaufania oraz stworzenie płaszczyzny do dyskusji dla ekspertów i decydentów zajmujących się tą tematyką. Ważnym elementem będzie także możliwość omówienia polityki bezpieczeństwa w Europie, przede wszystkim w kontekście relacji pomiędzy UE i NATO a Rosją. Ponadto celem organizatorów jest promocja Polski jako państwa współodpowiedzialnego za tę politykę w regionie, jak również kształtującego jej wymiar światowy.

Wydarzenie objęło patronatem honorowym Ministerstwo Spraw Zagranicznych, partnerami zaś instytucjonalnymi są: Amicus Europae, demosEUROPA, Europejska Akademia Dyplomacji, The German Marshall Fund, Instytut Wolności, Polski Instytut Myśli Gospodarczej i Polski Instytut Spraw Międzynarodowych.

Więcej informacji o Forum znajduje się na stronie internetowej: <http://warsawsecurityforum.org/>



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK, PIOTR BERNABIUK

LATANIE W SŁOIKU

Wewnątrz czuje się przyjemne zaskoczenie – nie wpada się w jakiś szalony wir, szarpiący ciałem skoczka, lecz jakby opada na miękką poduszkę.

Tunel aerodynamiczny, zwany słoikiem, to szklana tuba, w której powietrze pędzi pionowo ku górze z prędkością niemal 200 km/h. Przed rozpoczęciem lotu chor. Wiktor Drewnik, instruktor spadochronowy i tunelowy z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, przeprowadza z debiutantom krótkie, ale bardzo obrazowe szkolenie: „Należy pamiętać o zachowaniu luźnej sylwetki, bez napinania. Głowa odciągnięta do góry, biodra wypchnięte do przodu. Musisz reagować na komendy podawane układem palców – skrócić nogi, wyciągnąć nogi... I jeszcze jeden gest, ogromnie ważny – uśmiechnij się!”

Wewnątrz słoika czuje się przyjemne zaskoczenie – nie wpada się w jakiś szalony wir, szarpiący ciałem skoczka tajfun, lecz jakby opada na miękką poduszkę, pozwalającą ułożyć ciało poziomo i płynąć na wysokości kilku metrów od siatkowej podłogi. Wiktor cały czas asekuje żołnierza w tunelu aerodynamicznym, chroni go przed zderzeniem ze ścianą. Co chwilę wysyła mu sygnały korygujące, ale też pokazuje, gdy jest w porządku, i że trzeba się uśmiechać. Uśmiech, podobnie jak ułożenie sylwetki, można weryfikować w lu-

strze lub później, w czasie przeglądania nagrania z kamery. Po dwóch minutach zmiana, tunel pracuje nieustannie, do wnętrza „wlatują” trójką zaawansowani instruktorzy. Zaczyna się pokaz, loty pod sufit i gwałtowne opadanie „ku ziemi”, pełna kontrola ciała, zgranie zespołu, obroty, figury rodem z freefly – podniebnych akrobacji.

OGROMNE POSTĘPY

Kpt. Zbigniew Sarnowski, szef sekcji spadochronowej Ośrodka Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego (OSA-S), a zarazem jeden z ośmiu instruktorów tunelowych, pracę w symulatorze uważa za ciężką, ale dającą wielką satysfakcję: „To jedna z tych specjalności, w której są potrzebni pasjonaci”.

On stał się nim w słowackiej Tatralandii, gdzie jeszcze przed uruchomieniem leżnickiego symulatora dzisiejsi nauczyciele przeszli instruktorski kurs tunelowy pod okiem światowej sławy specjalistów. „Pierwsze wrażenie? Tak jak każdego doświadczonego skoczka spadochronowego dopadła mnie refleksja, że zupełnie nie potrafię latać. Nagle miałem ograniczoną przestrzeń, od ściany do ściany, 430 cm. W symulowanym opa-



NIE TYLKO ZABAWA

Tunele aerodynamiczne, nowoczesne symulatory szkolenia spadochronowego, dotarły wreszcie do Polski. Trzy cywilne: dwa stacjonarne w Ożarowie i Lesznie, oraz mobilny, zamontowany na ciężarówce, są nie tylko wspólnymi urządzeniami treningowymi dla zawodowców skoczków, lecz także miejscem do wymiennej zabawy, zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Czwarty, wojskowy, w Leżnicy Wielkiej, stanowi jeden z elementów nowoczesnej bazy szkoleniowej Ośrodka Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego 25 Brygady Kawalerii Powietrznej.



TUNEL AERODYNAMICZNY W LEŻNICY WIELKIEJ

W obiekcie o wysokości 30 m zainstalowano urządzenie, w którym cztery potężne, elektryczne wirniki przepompowują powietrze w obiegu zamkniętym z prędkością od zera do 265 km/h. Ten szalony wiatr przelatuje przez pionową, wykonaną ze szkła, komorę roboczą o średnicy 430 cm. Poduszka powietrzna pozwala się unosić żołnierzom z pełnym wyposażeniem spadochronowym i bojowym, łącznie do wagi 130 kg, ćwiczyć „płaskie opadanie”, wykonywać wszelkie ewolucje i trenować sytuacje, które mogą się wydarzyć w realnym skoku spadochronowym.

daniu trzeba się utrzymać w punkcie, a w realnym skoku nie ma punktu odniesienia. Skoczkowi nie ogranicza przestrzeni”.

Po kilku miesiącach pracy w tunelu i przeszkoleniu dziesiątków skoczków spadochronowych kapitan widzi, że każdy spadochroniarz reaguje podobnie, niezależnie od mistrzowskich tytułów i liczby wykonanych skoków. Za to po przeniesieniu się z tunelu w otwarte powietrze postępy są ogromne.

ĆWICZENIE PRECYZJI

Podobnie uważają kpt. Daniel Bobrowski i kpt. Anna Ratajek, instruktorzy spadochronowi 6 Brygady Powietrznodesantowej, mający na koncie sporo ponad tysiąc skoków i wiele godzin spędzonych w symulatorach, z którymi zetknęli się już przed laty. Daniel Bobrowski, kiedy pierwszy raz spotkał się z taką formą szkolenia w 2007 roku w Stanach Zjednoczonych, miał dziesięcioletnie doświadczenie spadochronowe i był przekonany, że skoki wykonuje prawidłowo i bezpiecznie: „Symulator szybko zweryfikował moje umiejętności. W tunelu, w zamkniętej komorze, bez przerwy trzeba lot korygować. Ciało pracuje zupełnie inaczej niż w otwartej przestrzeni, mięśnie są napięte, stawiają opór silnym podmuchom powietrza. Uczymy się odpowiednio układać sylwetkę pod-

czas wolnego spadania, ćwiczymy precyzję, pozwalającą później, w trakcie skoku ze spadochronem, unikać niebezpiecznych sytuacji, odpowiednio reagować w przypadku niekontrolowanych obrotów, mogących zagrażać życiu skoczka. Trening nie zastąpi wprawdzie realnego desantowania, ale wolnego spadania można nauczyć w ciągu trzech kilkuminutowych sesji”.

Kpt. Anna Ratajek debiutu w symulatorze w 1997 roku nie wspomina najlepiej: „Nie był przyjemny, bo wpadałam na ściany. Szybko się przekonałam, że trening wymusza precyzję, weryfikuje przemieszczanie się w płaszczyźnie, a to z kolei zapobiega na przykład zderzeniu się skoczków w powietrzu. Skoki w symulatorze niwelują również niepokój związany z otwarciem spadochronu i sytuacjami awaryjnymi. Można się skupić na technice skoków, zwłaszcza tych najtrudniejszych, z oporządzeniem. Również dla instruktorów, którzy wykonywali już skoki na wolne otwarcie, jest to dobry trening”.

Zdaniem kpt. Sarnowskiego trening w symulatorze przydaje się wszystkim, również tym najbardziej doświadczonym, ale najłatwiej szkoli się w nim debiutantów, którym nie trzeba korygować złych nawyków: „Z tego wyciągamy prosty wniosek: każdy żołnierz spadochroniarz powinien zacząć szkolenie od tunelu”.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

OCZY SZEROKO OTWARTE

Konflikt na Ukrainie wymusza zwiększoną dbałość o bezpieczeństwo nie tylko granic lądowych, lecz także przestrzeni powietrznej.

Dotychczasowe doświadczenia z konfliktów wojennych pokazują, jak ważne jest wczesne wykrycie nieprzyjacielskich statków powietrznych. Dobrze zorganizowane rozpoznanie i skuteczna obrona przestrzeni powietrznej mogą zapobiec dużym stratom w ludziach, sprzęcie i infrastrukturze. Stąd wynika ogromna ranga jednostek radiotechnicznych, będących oczami armii. Istnieją co prawda nowoczesne systemy wczesnego ostrzegania i dozoru, takie jak natowskie samoloty AWACS (Airborne Warning And Control System), które niedawno były wykorzystywane także na polskim niebie, ale w czasie sytuacji kryzysowych niezbędne są również naziemne systemy rozpoznania powietrznego. Czy my wystarczająco dokładnie monitorujemy na co dzień przestrzeń powietrzną nad Polską? Czy jesteśmy dobrze przygotowani do jej rozpoznania na wypadek konfliktu?

DYŻUR NA OKRĄGŁO

Po restrukturyzacji naszych sił zbrojnych od sierpnia 2008 roku jedyną jednostką nadzorującą przestrzeń powietrzną nad Polską jest 3 Wroclawska Brygada Radiotechniczna (3 BRt). To specyficzny związek taktyczny – od innych wyróżniają go

nie tylko struktura i dyslokacja, lecz także to, że o każdej porze dnia i nocy blisko 200 jej żołnierzy pełni nieustający dyżur bojowy w narodowym systemie obrony powietrznej oraz w składzie natowskiego zintegrowanego systemu obrony powietrznej i przeciwrakietowej (NATINAMDS). Brygada jest także włączana we wszystkie istotniejsze szkolenia sił powietrznych, wojsk lądowych, marynarki wojennej, a nawet wojsk specjalnych.

Dowodzeni z Wrocławia radiotechnicy są rozsiani na terenie całego kraju. Ponad 2100 żołnierzy i pracowników wojska stacjonuje aż w 35 miejscach. Od dowództwa mieszczącego się przy ulicy Granicznej we Wrocławiu do najdalej położonego posterunku trzeba przejechać około 700 km. Takie rozmieszczenie żołnierzy jest jednak niezbędne, aby kontrolować całą przestrzeń powietrzną Polski oraz zaglądać daleko poza granice kraju.

Według nowego systemu zaopatrzenia logistycznego pododdziały wrocławskiej brygady znajdują się w rejonach odpowiedzialności aż czterech regionalnych baz logistycznych i są zabezpieczane przez 24 wojskowe oddziały gospodarcze (WOG) lub jednostki wojskowe, które pełnią funkcję oddziałów gospodarczych.

KOMENTARZ

KRZYSZTOF ŻABICKI



W 2015 roku rozpoczniemy następny etap modernizacji sprzętu wojsk radiotechnicznych. Do pododdziałów 3 Brygady Radiotechnicznej trafią kolejne stacje radiolokacyjne typu NUR-15M. Pozwoli to radiotechnikom uzyskać większe możliwości rozpoznania przestrzeni powietrznej oraz znacznie poprawić manewrowość. Cieszę się, że wdrażamy sprzęt polskiej produkcji, między innymi dlatego, że może on być szybciej serwisowany, a krajowy producent dokłada starań, by kolejne stacje radiolokacyjne były coraz doskonalsze.

Za kilka lat chcemy pozyskać nowe typy radarów dalekiego zasięgu oraz tak zwane pasywne radary typu PCL, korzystające z fal elektromagnetycznych promieniowanych przez inne emitery. Jestem przekonany, że polskich naukowców i inżynierów stać na wdrożenie do produkcji systemów tej klasy. Radary typu PCL będą stanowiły uzupełnienie strefy rozpoznania radiolokacyjnego konwencjonalnych, aktywnych stacji radiolokacyjnych.

Gen. bryg. **Krzysztof Żabicki** jest szefem Zarządu Wojsk Radiotechnicznych w Inspektoracie Sił Powietrznych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

WOJCIECH LEWICKI



W razie kryzysu jesteśmy w stanie we właściwym czasie utworzyć sieć dodatkowych posterunków radiolokacyjnych, dzięki którym możemy obniżyć dolną strefę rozpoznania radiolokacyjnego, co bezpośrednio przekłada się na możliwości wykrywania obiektów powietrznych.

Gen. bryg. **Wojciech Lewicki** jest dowódcą 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej.

„Taka rozproszona dyslokacja nie ułatwia pracy, ale radzimy sobie”, tłumaczy mjr Paweł Młynarczyk, szef sekcji logistyki (S4) 3 Brygady Radiotechnicznej. „Chociaż procedury w każdej bazie i oddziale gospodarczym są takie same, to w tym wypadku musimy na przykład przygotować znacznie więcej dokumentów, niż gdy brygada znajduje się w jednym garnizonie. W strukturach oddziałów gospodarczych w całym kraju utworzono jednak grupy zabezpieczenia, które jako filie WOG-ów zaopatrują jednostki wojskowe i pododdziały bezpośrednio w ich miejscu dyslokacji, co jest dla nas sporym ułatwieniem”.

JUSTYNA I BOŻENA NA EMERYTURĘ

Program modernizacyjny przyjęty w 2008 roku, zmierzający do unowocześnienia pododdziałów radiotechnicznych, przebiega bez zakłóceń. Zrezygnowano już ze wszystkich poradzieckich radarów, a teraz są wycofywane także stacje NUR-31 – odległościomierze (Justyna) wdrożone w drugiej

połowie lat osiemdziesiątych, i NUR-41 – wysokościomierze (Bożena) pracujące na posterunkach od lat dziewięćdziesiątych. Ich miejsce zajmuje sprzęt najnowszej generacji – trójwspółrzędne stacje radiolokacyjne NUR-15 (Odra). Radiotechnicy mają już cztery takie urządzenia, a do 2017 roku stopniowo dostaną jeszcze osiem.

Udział w sojusznym systemie NATINAMDS wymusił na naszych radiotechnikach dokładne kontrolowanie nieba na większych odległościach i wysokościach. Stacje radiolokacyjne zapewniają wykrycie obiektów powietrznych, tworząc strefę rozpoznania radiolokacyjnego, która sięga daleko poza granice kraju. Takie rozwiązanie wymaga bardzo nowoczesnych urządzeń, które są kompatybilne ze sprzętem sojuszników. Na trzech posterunkach radiolokacyjnych ustawiono więc stacje RAT-31 DL włoskiej produkcji, które mogą prowadzić rozpoznanie na odległość ponad 400 km. Nowe radary już zbierają dane, ale na razie są testowane. Do systemu operacyjnego zostaną włączone na początku 2015 roku.

Wycofywane z eksploatacji nie pójdą jednak na złom. W brygadzie opracowano koncepcję ich wykorzystania w charakterze mobilnych modułów radiolokacyjnych. Będą uzupełnieniem każdego z batalionów. Posłużą do zabezpieczenia radiolokacyjnego różnego rodzaju uroczystości, pokazów lotniczych lub zawodów samolotowych, czyli dodatkowych działań brygady, niezwiązanych z pełnieniem dyżurów bojowych.

Równoległe z wprowadzaniem nowych stacji radiolokacyjnych nastąpiło unowocześnienie systemów łączności. Dało to radiotechnikom możliwość szybkiej i niezakłóconej współ-

RADIOTECHNICZY BIORĄ UDZIAŁ W WIELU ĆWICZENIACH, TAKICH JAK „RAMSTEIN GUARD”, „EAGLE TALON”, „RENEGADE” ORAZ „STEADFAST JAZZ”



3 WROCŁAWSKA BRYGADA RADIOTECHNICZNA

Wskład 3 BRT wchodzi cztery bataliony radiotechniczne, których dowództwa stacjonują w Sandomierzu, Lipowcu, Chojnicach i we Wrocławiu. W strukturach batalionów funkcjonuje 17 kompanii radiotechnicznych, będących jednocześnie stałymi posterunkami radiolokacyjnymi. Obsługują one także sześć posterunków dalekiego zasięgu typu Backbone oraz siedem stacji kontroli AVIA-W, nadzorujących przestrzeń powietrzną wokół lotnisk wojskowych.

Z sześciu posterunków radiolokacyjnych dalekiego zasięgu trzy, usytuowane w miejscowościach Roskosz koło Białej Podlaskiej, Wronowicach koło Łasku i Brzoskwini koło Krakowa, używają radarów rodzimej produkcji typu NUR-12M. Na końcowym etapie wdrożenia do zadań są trzy kolejne posterunki w miejscowościach Chruściel koło Braniewa, Szypliszkach koło Suwałk i Łabunie koło Zamościa, wyposażone w radary włoskiej produkcji typu RAT-31DL. Do strefy rozpoznania radiolokacyjnego włączono także niedawno dwie kolejne mobilne stacje radiolokacyjne polskiej produkcji – NUR-15M. Urządzenia trójwspółrzędne o zasięgu do 240 km potrafią wykryć i automatycznie śledzić do 120 obiektów powietrznych lecących na pułapie do 30 km. W strukturze niektórych kompanii radiotechnicznych jest także siedem stacji radiolokacyjnych typu AVIA, które obserwują przestrzeń powietrzną wokół krajowych lotnisk na odległość do 100 km. ■

pracy między poszczególnymi stanowiskami rozpoznania, dowodzenia i elementami obrony nieba nad krajem.

DWA OBROTY ANTENY

Operatorzy radarów nie widzą numeru rejestracyjnego obserwowanego samolotu. Na ekranie urządzenia mają jedynie symbol elektroniczny obiektu unoszącego się w powietrzu. Coś, co z pozoru zagraża naszemu bezpieczeństwu, może okazać się zwykłym balonem. W tej służbie doświadczenie operatora ma ogromne znaczenie, trudno sobie bowiem wyobrazić, by do lecącego powoli balonu podrywać dyżurną parę myśliwców. Dlatego wraz z wdrażaniem do użytku najnowszych zdobyczy techniki ważne jest ciągłe podnoszenie kwalifikacji przez ludzi obsługujących te urządzenia.

Radiotechnicy na bojowych dyżurach muszą być niezwykle czujni. Najstarsi z nich opowiadają, że gdy stacjonowały u nas wojska radzieckie, z lotniska w okolicach Brzegu często startowały samoloty MiG-25 z czerwoną gwiazdą. Nowoczesne na owe czasy maszyny leciały zazwyczaj w kierunku Warszawy. Jeśli nie zostały wykryte tuż po starcie i weszły na wysokość 20 tys. m, stawały się niemożliwe do wykrycia. Na zlokalizowanie takiego samolotu polski operator radaru miał zaledwie dwa obroty anteny, czyli kilkanaście sekund. Jeśli tego nie zrobił i obecność takiego samolotu nie została odnotowana na polskim niebie, obsługa stawała do raportu i była surowo karana.

Obecnie specjaliści wojsk radiotechnicznych zdobywają kwalifikacje nie tylko w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. Inżynierów, techników i operatorów nowoczesnych radarów przygotowują do obsługi urządzeń ich producenci. „Moja nauka obsługi nowoczesnego sprzętu wyprodu-

kowanego we Włoszech trwała około dwóch lat”, mówi kpt. Artur Szymański, dowódca 110 Posterunku Radiolokacyjnego Dalekiego Zasięgu w Łabuniach-Reformie koło Zamościa. „Zacząłem się od kursów języka angielskiego drugiego i trzeciego stopnia, a zakończyłem udziałem w testach urządzeń przeznaczonych dla mojego posterunku w okolicach Rzymu. Jako dowódca posterunku odbyłem również wszystkie kursy przeznaczone dla inżynierów, administratorów, operatorów, a nawet instruktorów”.

CIĄGŁE TESTOWANIE

Podczas nieustającego dyżuru bojowego informacje radiolokacyjne ze wszystkich posterunków są przesyłane bezpośrednio do systemu dowodzenia – mobilnej jednostki dowodzenia operacjami powietrznymi oraz ośrodków dowodzenia i naprowadzania, skąd przekazuje się je do Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego. Dzięki temu cały czas dysponuje ono rzeczywistym obrazem sytuacji powietrznej nad naszym krajem oraz daleko poza nim.

Brygada wspomaga też misję „Air Policing”, polegającą na pełnieniu dyżurów bojowych w zintegrowanym systemie obrony powietrznej i przeciwrakietowej państw nadbałtyckich. Wspiera systematycznie strzelania na poligonie w Ustce oraz zapewnia bezpieczeństwo w trakcie wielu ważnych spotkań, odbywających się w naszym kraju, między innymi podczas 19. sesji Konferencji Stron Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu oraz 9. sesji Spotkania Stron Protokołu z Kioto. Radiotechnicy zabezpieczali również przestrzeń powietrzną w czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej EURO 2012. ■

POR. PIL. KATARZYNA SITARSKA

**STARSZY PILOT W 2 GRUPIE
POSZUKIWAWCZO-RATOWNICZEJ
W MIŃSKU MAZOWIECKIM**

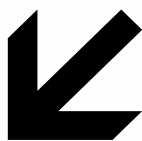
DATA I MIEJSCE URODZENIA: 10 lutego 1982 roku, Radzyń Podlaski

W WOJSKU SŁUŻY OD: 2001 roku.

TRADYCJE WOJSKOWE: w mojej rodzinie przez lata pielęgnowano obraz wojska jako wartości historycznej.

EDUKACJA: Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie oraz studia cywilne na Wydziale Mechanicznym Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej, specjalność: mechanika i budowa maszyn.

**NAJLEPSZA BROŃ: ŚMIGŁOWIEC W-3
I... UŚMIECH.**



MISJE I ĆWICZENIA:

mam nadzieję, że te najważniejsze jeszcze przede mną. Wcześniej służyłam w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego i pilotowałam śmigłowce z najważniejszymi osobami w państwie na pokładzie. Dlatego do tych najważniejszych swoich misji zaliczam wszystkie loty o statusie „head”.

ZOSTAŁAM ŻOŁNIERZEM, BO: zawsze marzyłam o tym, żeby być pilotem.

MOJA KSIĄŻKA ŻYCIA: „Kwiat pustyni” autorstwa Waris Dirie i Cathleen Miller. To opowieść o tym, że wiara i ciężka praca czynią cuda, a marzenia się spełniają.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE: każde kolejne bezpieczne lądowanie.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ: gapa pilota i elegancki krój munduru.

NIEZAPOMNIANY FILM: urzekły mnie piękne zdjęcia i muzyka w „Ostatnim samuraju”.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU: macierzyństwo. Mam czteroletniego syna i roczną córeczkę.

GDYBYM NIE ZOSTAŁA ŻOŁNIERZEM, BYŁABYM DZIŚ: nigdy nie brałam pod uwagę innej możliwości.

CO ROBIĘ PO SŁUŻBIE: SPĘDZAM AKTYWNIIE CZAS Z DZIEĆMI I MEŻEM. JEŹDZIMY NA BASEN, A OSTATNIO CZĘSTO WYCHODZIMY DO LASU NA GRZYBY.

GDYBYM MOGŁA ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU: OGRANICZYŁABYM BIUROKRACJĘ, BO KAŻDY PILOT DOSKONAŁI SIĘ W PRAKTYCE, A NIE ZA BIURKIEM.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. KRZYSZTOF WOJDA



TADEUSZ WRÓBEL

Barwy ochronne

Centrum Operacji Morskich – Dowództwo Komponentu Morskiego zaproponowało, aby zmienić malowanie śmigłowców poszukiwawczo-ratowniczych z Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej.

Śmigłowce poszukiwawczo-ratownicze (search and rescue) marynarki wojennej od lat są stałym elementem krajobrazu nad Bałtykiem. Sposób ich malowania – w białoczerwone barwy – i oznakowania nie jest jednak zgodny z obowiązującym w Polsce prawem. Co więcej, może pojawić się zarzut łamania przez stronę polską prawa międzynarodowego. Kolory biały i czerwony nie zapewniają bowiem ochrony podczas działań wojennych. Dlatego Centrum Operacji Morskich – Dowództwo Komponentu Morskiego (COMDKM) zaproponowało zmianę malowania tych śmigłowców.

PODEJRZANE PODOBIENSTWO

Co prawda nie istnieje żaden międzynarodowy przepis określający zasady malowania śmigłowców przeznaczonych do zadań poszukiwawczo-ratowniczych, niemniej jednak w wielu państwach zwyczajowo kolor biały jest zarezerwowany dla statków powietrznych nienależących do sił zbrojnych. Jako przykład można wymienić białoczerwone maszyny amerykańskiej, brytyjskiej czy włoskiej straży przybrzeżnej. Białe ele-

menty występują też na śmigłowcach fińskiej straży przybrzeżnej czy hiszpańskiego ratownictwa morskiego SASEMAR. Ten przykład jest o tyle interesujący, że w siłach powietrznych Hiszpanii znajdują się dywizjony poszukiwawczo-ratownicze, które działają nad morzem i lądem. Ich samoloty czy śmigłowce są szare i mają dodatkowe oznaczenia, wskazujące na charakter wykonywanych przez nie zadań.

„W Polsce z większej odległości może być trudno odróżnić ratowniczą anakondę lotnictwa marynarki wojennej od tej należącej do morskiego oddziału Straży Granicznej”, twierdzi kpt. nawigator Dariusz Demski z sekcji bezpieczeństwa lotów COMDKM. A zgodnie z art. 37 (o zakazie wiarołomstwa) „I Protokołu dodatkowego” „II Konwencji genewskiej” zabronione jest udawanie posiadania statusu osoby cywilnej lub niekombatanta. „Dlatego śmigłowce marynarki wojennej powinny być tak oznakowane, żeby nie było żadnych wątpliwości, że są maszynami wojskowymi”, podkreśla kapitan. Co ważne, malowanie w barwy białoczerwone stoi też w sprzeczności z wytycznymi zawartymi w tymczasowej instrukcji maskowania





NIE ISTNIEJE ŻADEN MIĘDZYNARODOWY PRZEPIS OKREŚLAJĄCY ZASADY MALOWANIA ŚMIGŁOWCÓW PRZEZNACZONYCH DO ZADAŃ POSZUKIWAWCZO-RATOWNICZYCH, NIEMNIEJ JEDNAK W WIELU PAŃSTWACH ZWYCZAJOWO KOLOR BIAŁY JEST ZAREZERWOWANY DLA STATKÓW POWIETRZNYCH NIENALEŻĄCYCH DO SIŁ ZBROJNYCH

w marynarce wojennej z 12 grudnia 2013 roku, wprowadzonej rozkazem dowódcy, podpisanym przez czasowo pełniącego obowiązki kadm. Stanisława Kanię (jej zapisy miały być wdrożone do końca pierwszego kwartału 2014 roku).

Projekt przemalowania śmigłowców SAR Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej na szaro pojawił się już 2010 roku. Przewidziano w nim oznaczenia, które wskazywałyby na przeznaczenie tych maszyn. I tak miały mieć czerwony przód kadłuba, w tym samym kolorze pas na belce ogonowej z napisem „SAR” oraz otoczkę wokół drzwi kabiny transportowej. Do tego czarne napisy na kadłubie nad drzwiami – z lewej strony „Polish Navy”, z prawej „Marynarka Wojenna RP”. Kpt. Demski podkreśla, że zmiana barw śmigłowców SAR nie tylko zlikwidowałaby wątpliwości natury prawnej, lecz także zwiększyła ich bezpieczeństwo podczas działań militarnych. W tymczasowej instrukcji maskowania w marynarce wojennej, w części dotyczącej maskowania lotnictwa morskiego, znalazła się konstatacja, że w kamuflażach maszyn MW najczęściej są stosowane odcienie szarości, które umożliwiają „równie skuteczne wizualne ukrycie statku powietrznego stacjonującego na lotnisku, jak i będącego w powietrzu”.

Okazją do zmiany sposobu malowania śmigłowców Brygady Lotnictwa MW bez dodatkowych kosztów jest modernizacja pięciu maszyn W-3 w zakładach w Świdniku do wersji W-3 WA RM. Nie wiadomo jednak, czy zostanie ona wykorzystana, bo nie ma w tej sprawie decyzji. „W umowie na modernizację śmigłowców W-3 Sokół marynarki wojennej jest zapis o utrzymaniu dotychczasowego sposobu malowania (biało-czerwone), ale gestor sprzętu – Zarząd Wojsk Lotniczych Inspektoratu Sił Powietrznych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych – analizuje dokumenty, między innymi instrukcję o maskowaniu w marynarce wojennej, i stosowne przepisy pod kątem ewentualnej możliwości zmiany koloru malowania na odcienie szarości”, poinformował mjr Michał Romańczuk z Od-

działu Komunikacji Społecznej DGRSZ. Specjaliści z Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu Morskiego zaproponowali różne warianty malowania śmigłowców SAR.

KŁOPOTLIWY ZNAK

Śmigłowce ratownicze BLMW Mi-14 i W-3 nie mają też w pełni ujednoczonych oznaczeń. W Mi-14 na kadłubie umieszczono napis „SAR”, a na sokołach czerwony krzyż maltański. Tyle że ten znak od dziesięcioleci zwyczajowo jest używany przez polskie służby ratownicze. Już w okresie międzywojennym przyjęło go ratownictwo górnicze. Nie dziwi zatem, że taki symbol pojawił się też na śmigłowcach marynarki wojennej.

W ostatnich latach zmieniła się jednak sytuacja prawna i czerwony krzyż maltański jest oficjalnym oznaczeniem jednostek cywilnej Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa, nazywanej służbą SAR. W rozporządzeniu ministra transportu, budownictwa i gospodarki morskiej z 22 czerwca 2012 roku znalazł zapis: „Morskie statki ratownicze służby SAR przeznaczone do prowadzenia działań poszukiwania i ratowania życia na morzu powinny być oznakowane czerwonymi literami »SAR« i znakiem krzyża maltańskiego koloru czerwonego na białym polu otoczonym czerwoną obwódką”. Z kolei w art. 123 ustawy z 18 sierpnia 2011 roku o bezpieczeństwie morskim zabroniono „nieuprawnionego używania oznakowania” przewidzianego dla statków ratowniczych, jednostek pływających, samolotów, śmigłowców i pojazdów używanych na potrzeby służby SAR.

Oczywiście krzyże maltańskie na śmigłowcach BLMW i jednostkach służby SAR nie są identyczne. Niemniej jednak z większej odległości różnice między nimi trudno dostrzec, tak więc może to zostać uznane za naruszenie art. 37 „I Protokołu dodatkowego” „II Konwencji genewskiej”. Naśladownictwa, czyli używania oznaczeń, które mogą być mylone ze względu na podobny kolor i kształt, zakazuje też polskie prawo. ■



kadr



| MISJE |

TADEUSZ WRÓBEL

WYBOISTA DROGA DO POKOJU

Misja Unii Europejskiej w Republice Środkowoafrykańskiej rozpoczęła się kilka miesięcy temu, ale ciągle nie wiadomo, jak długo to państwo będzie potrzebowało wojskowego wsparcia.

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA - DORSZ



Polski Kontyngent Wojskowy w Republice Środkowoafrykańskiej rozpoczął swoją służbę w połowie lipca 2014 roku. 50 żołnierzy i pracowników wojska jest częścią misji pokojowej Unii Europejskiej (EUFOR RCA), której kwatery operacyjna znajduje się w greckim mieście Larissa. Żołnierzy Unii rozmieszczono w afrykańskim państwie, w którym wybuchła krwawa wojna domowa. Przeciwko sobie stanęli członkowie muzułmańskiego ruchu Séléka, który w marcu 2013 roku obalił rządy prezydenta François Bozizé, i chrześcijańska milicja Antybalaka.

EUFOR RCA ma stanowić wsparcie dla sił afrykańskich, działających w ramach misji MISCA, i francuskich, uczestniczących w operacji „Sangaris”, które starają się powstrzymać brutalne porachunki na tle wyznaniowym i etnicznym, żeby ustabilizować sytuację w Republice Środkowoafrykańskiej. Trzeba tam stworzyć odpowiednie warunki do odbudowy struktur państwowych. Konieczne jest także zapewnienie możliwości bezpiecznych dostaw pomocy humanitarnej dla mieszkańców kraju, a tej potrzebują setki tysięcy osób.

Stacjonujące w Bangi siły operacyjne EUFOR RCA to 750 wojskowych i żandarmerii pod dowództwem francuskiego gen. bryg. Thierry'ego Liona. Na terenie byłej fabryki tekstyliów w ciągu trzech miesięcy powstała baza wojskowa UCATEX, która może pomieścić tysiąc osób. Znajdują się tam siedziba dowództwa sił, kwatery dla żołnierzy, szpital polowy, kawiarnia, miejsce służące do rekreacji oraz poczta. „Mamy tu bardzo dobre warunki. Mieszkamy w klimatyzowanych kontenerach i zapewniono nam dobrą łączność z krajem. Wyżywienie też jest bardzo dobre. Co dzień dostajemy na przykład świeże owoce”, ocenia st. szer. Rafał Sałek. „Nie ma co narzekać”.

Stacjonujący w Bangi Polacy i żołnierze z innych kontyngentów patrolują ulice stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Szczególnie trudnym obszarem jest rejon międzynarodowego portu lotniczego M'Poko. Przed wieloma miesiącami w pobliżu lotniska zaczęli się zbierać ludzie, którzy uciekli przed krwawymi walkami w głębi kraju, bo liczyli na ochronę stacjonujących tam wojsk francuskich i pomoc organizacji humanitarnych. Z czasem powstał w okolicy portu lotniczego gigantyczny obóz uchodźców, w którym może przebywać ponad 150 tys. ludzi. W całej Republice Środkowoafrykańskiej uchodźców jest natomiast kilkaset tysięcy.

Kluczową rolę w zapewnieniu przestrzegania prawa i porządku publicznego odgrywa wchodząca w skład EUFOR RCA 120-osobowa międzynarodowa kompania żandarmerii (Integrated Police Unit – IPU). Dowódcą jednostki stanowiącej komponent Europejskich Sił Żandarmerii jest płk Emmanuel Gerber. W jej składzie znalazł się polski manewrowy pluton żandarmerii wystawiony przez Oddział Specjalny ŻW w Mińsku Mazowieckim. Polacy dysponują samochodami HMMWV, uzbrojonymi w obrotnice z karabinami maszynowymi.

„Naszym zadaniem jest patrolowanie III i V dystryktu Bangi, zamieszkiwanych przez zwolenników zarówno Séléki, jak i Antybalaki, między którymi zdarzają się konflikty”, wyjaśnia st. kpr. Michał Białek. Kpr. Marcin Guzik twierdzi jednak, że podczas patroli nie odczuwa wrogiego nastawienia miejscowych mieszkańców do wojskowych, ale wręcz przeciwnie. „Ludzie reagują pozytywnie. Cały czas machają do nas, w szczególności dzieci”.

WALDEMAR MLYNARCZYK / COMBAT CAMERA - DORSZ (2)



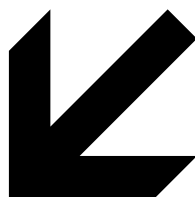
kadr



Widok kobiety niosącej bagaż na głowie nie jest niczym niezwykłym w Republice Środkowoafrykańskiej.



W sklepionych naprędce namiotach z folii w obozie w pobliżu lotniska żyje ponad 150 tys. osób.



Oprócz Polaków ulice Bangi patrolują funkcjonariusze francuskiej Żandarmerii Narodowej i hiszpańskiej Gwardii Cywilnej. Patrole są prowadzone pieszo lub w pojazdach.

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA - DORSZ (2)

NA ULICACH BANGI DOCHODZIŁO DO KRWAWYCH WALK MIĘDZY CZŁONKAMI ZBROJNYCH UGRUPOWAŃ SÉLÉKA I ANTYBALAKA

Dużym wyzwaniem dla EUFOR RCA było zapewnienie bezpieczeństwa podczas Marszu Pokoju, który przeszedł 10 sierpnia 2014 roku ulicami kilku dystryktów Bangi. Pomimo rześkiego deszczu uczestniczyło w nim około 3 tys. osób, pragnących stabilizacji. Marsz zakończył się na miejscowym stadionie, gdzie wystąpiła prezydent Republiki Środkowoafrykańskiej Catherine Samba-Panza. Aby zapewnić bezpieczeństwo marszu, w kwaterze głównej EUFOR RCA powstało wspólne centrum koordynacyjne wszystkich służb miejscowych i sił międzynarodowych. Żołnierze misji zabezpieczali trasy przemarszu i w trakcie demonstracji nie było incydentów.

Nasi wojskowi wraz z innymi żandarmami wspierają lokalną policję w dziedzinie kryminalistyki. Uczą funkcjonariuszy, jak przeprowadzać czynności dochodzeniowo-śledcze w miejscach przestępstw lub prowadzić postępowania karne.

Czas misji EUFOR RCA określono na sześć miesięcy, począwszy od dnia, w którym osiągnęła ona pełną gotowość operacyjną. Czy zostanie wydłużony? Wszystko zależy od rozwoju sytuacji w Republice Środkowoafrykańskiej. Co prawda 24 lipca w Brazzaville, stolicy Republiki Kongo, zwaśnione strony podpisały porozumienie rozejmowe, ale już następnego dnia odrzucił je przywódca wojskowy Séléki Joseph Zindeko i wezwał do podziału Republiki Środkowoafrykańskiej na dwa odrębne państwa, chrześcijańskie i muzułmańskie. Co więcej, ugrupowanie to w ostatnim dniu sierpnia ogłosiło wyrzucenie ze swych szeregów wszystkich działaczy, którzy zgodzili się wejść do rządu środkowoafrykańskiego. ■

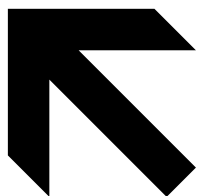
ADAM ROIK, WALDEMAR MLYNARCZYK/COMBAT CAMERA - DORSZ



kadr



Dzieci zaciekawione
żołnierzami
patrolującymi
ulice Bangi.



KRWAWY SCENARIUSZ

Dzięki fundacji RISC już ponad 150 dziennikarzy z całego świata dostało szansę na zdobycie wiedzy, która ratuje ludzkie życie.

Lipiec 2014 roku – w hali garażowej hotelu Çarshia e Jupave w kosowskiej miejscowości Gjakova doszło do silnej eksplozji. Było to prawdziwe pandemonium. W powietrzu unosił się duszący dym, między samochodami biegali ludzie, krzyčeli, na posadźce w kałużach krwi leżeli ranni, niektórzy z pourywanymi kończynami. Na ratunek ofiarom rzucili się dziennikarze. Wtedy padły pierwsze strzały. Nie wiadomo było, kto otworzył ogień. Prawdopodobnie snajper wykorzystał prześwit otwartej hali. W ciągu następnych sekund zapadła decyzja o ewakuacji ciężko rannych. W kompletnym chaosie wynoszono ich na zewnątrz budynku. Zebrani gapie widzieli, jak dziennikarze robią, co w ich mocy, żeby tchnąć życie w plastikowe manekiny, które ewakuowali kilkadziesiąt sekund wcześniej. Całe zdarzenie było częścią szkolenia dla korespondentów wojennych i dziennikarzy pracujących w niebezpiecznych strefach.

CENNE MINUTY

Zaledwie miesiąc po gali wręczenia Oskarów brytyjski fotoreporter, filmowiec Tim Hetherington, autor nominowanego przez amerykańską akademię filmową dokumentu „Restrepo”, znalazł się w obłężonej przez wojska Kaddafiego libijskiej Misracie. Hetherington dokumentował konflikty zbrojne od 1999 roku, z kamerą i aparatem fotograficznym pracował w Liberii, Sierra Leone, Nigerii, i Afganistanie. Był kilkakrotnym zdobywcą nagrody World Press Photo. Wojna w Libii to jeden z wielu konfliktów, na który trafili zarówno doświadczeni korespondenci wojenni, jak i cały kontyngent młodych, niedoświadczonych dziennikarzy, którzy mieli zdobywać pierwsze szlify w tym niebezpiecznym fachu. Hetherington razem z kilkoma innymi reporterami przedostał się do Misraty, która w tym czasie była obłężona przez wojska lojalne wobec Kaddafiego. Dziennikarze dokumentowali konflikt po stronie rebelianckiej. 20 kwietnia 2011 roku znaleźli się w rejonie ciężkich walk na ulicy Tripoli. Dzień wcześniej Tim umieścił na Twitterze informację, że miasto jest stale ostrzeliwane przez artylerię rządową i nigdzie w okolicy nie widać odpowiedzi sił NATO.

W tym czasie u boku Hetheringtona pracował bardzo doświadczony fotoreporter Chris Hondoros. W zespole, który zbierał materiały na ulicach Misraty, było jeszcze przynajmniej dwóch innych fotoreporterów. Dziennikarze znaleźli się w samym centrum zaciekłych walk. Rozwój wydarzeń okazał się fatalny. W wyniku eksplozji ładunku wybuchowego na miejscu zginęli Chris Hondoros oraz siedmiu rebeliantów, ciężko ranni zostali między innymi Guy Martin oraz Tim Hetherington – szrapnel uszkodził mu jedną z tętnic. Minuty decydowały o tym, co się miało stać. Rannych wrzucono na

tył pikapa i zaczął się odwrót w stronę szpitala, gdzie liczono na pomoc. Krwawiącemu Timowi próbował pomóc jeden z ocalałych w eksplozji kolegów. Na dostępnym w sieci nagraniu relacjonował on tamte wydarzenia, opowiadając, jak próbował cucić Tima.

Z jego relacji jasno wynika, że nikt z obecnych na miejscu nie zajął się tamowaniem rozległego krwotoku. Jediną osobą, która potrafiłaby to zrobić, był nieżyjący Chris Hondoros, miał on odpowiednie kwalifikacje. Hetherington, jeszcze kiedy pracował w Afganistanie z armią Stanów Zjednoczonych, odbył kilkudniowe szkolenie z zasad udzielania pierwszej pomocy na polu walki. W tamtym momencie umierał jednak na oczach towarzyszy, którzy nie wiedzieli, co robić w takiej sytuacji. Tim wykrawił się na kilka minut przed przyjazdem do szpitala.

Wiadomość o śmierci Tima Hetheringtona i Chrisa Hondorosa wstrząsnęła światem dziennikarzy. Odeszło dwóch doświadczonych i oddanych swojej profesji kolegów. Poruszony śmiercią bliskiego przyjaciela Tima Sebastian Junger, który spędził z nim rok w Afganistanie, pracując nad filmem „Restrepo”, przybył do Londynu na ceremonię pogrzebową. Na miejscu byli obecni dziennikarze, którzy wrócili z Libii, również ci, którzy towarzyszyli Timowi do końca.

Junger porozmawiał ze świadkami wydarzeń z Misraty i szybko doszedł do wniosku, że jego towarzysz z Afganistanu nie musiał tamtego feralnego dnia zginąć. Gdyby któryś z dziennikarzy będących na miejscu przeszedł szkolenie takie jak Tim i Chris, być może udałoby się uratować życie jego przyjaciela. Żaden z nich nie wiedział jednak, jak powstrzymać krwotok. Junger zaczął się zastanawiać, co zrobić, żeby ludzie, którzy pracują w tak ekstremalnym środowisku, potrafili odpowiednio reagować w sytuacjach, kiedy jedna minuta i właściwa decyzja mogą uratować komuś życie.

PIERWSZA POMOC NA POLU WALKI

Junger zaczął zastanawiać się nad sytuacją korespondentów wojennych. Większość z nich to wolni strzelcy, którzy nie mają żadnego zaplecza redakcyjnego, pracują na własny koszt, bez ubezpieczenia, bez jakiegokolwiek wsparcia redakcji czy koncernów medialnych. Z reguły nie stać ich na kosztowne szkolenia z pierwszej pomocy na polu walki. Junger postanowił jednak zacząć zmieniać standardy obowiązujące wśród ludzi, którzy jadą pracować w strefach konfliktów. Tak powstała organizacja i inicjatywa Reporters Instructed in Saving Colleagues. Misją RISC jest edukacja dziennikarzy wolnych strzelców w dziedzinie pierwszej pomocy na polu walki i w niebezpiecznym środowisku. Każdego roku przeprowadza się dwa, trzy szkolenia w Nowym Jorku, Londynie, Bejrucie. Ostatnio



odbyło się w Kosowie, a już niedługo zostanie zorganizowane w Nairobi.

Kwalifikacja do szkolenia przebiega drogą internetową. Zarejestrować się można na stronie www.riscstraining.org. W ankiecie do wypełnienia on-line dziennikarze chcący wziąć udział w kursie muszą wykazać dotychczasowe doświadczenie w relacjonowaniu wydarzeń ze stref konfliktu lub innych nieprzyjaznych środowisk. W lipcu 2014 roku kolejna edycja treningu RISC odbyła się w kosowskiej miejscowości Gjakova. 23 chętnych z różnych stron świata spotkało się, żeby przez trzy dni trenować pod okiem instruktorów z amerykańskiego Wilderness Medical Associates International (WMAI).

Rozpiętość wiekowa dziennikarzy, którzy dojechali do Kosowa, była dosyć znaczna. Najmłodszy miał na ogół doświadczenia z krajów ogarniętych gorączką Arabskiej Wiosny, starsi pamiętali jeszcze takie wydarzenia, jak trzęsienie ziemi w Armenii czy krwawe wojny na Bałkanach. Nie wszystkim, którzy przeszli rekrutację i otrzymali zaproszenie na szkolenie, udało się na nie dotrzeć. Jedną z zakwalifikowanych fotoreporterów zrezygnowała z udziału na rzecz pozostania w tym czasie w Strefie Gazy, gdzie relacjonowała konflikt palestyńsko-izraelski.

Trzonem szkolenia byli David Johnson, Bill Frederick oraz Sawyer Alberi, sanitariuszka służąca między innymi w Iraku i Afganistanie. Cały zespół to zawodowi instruktorzy z dziedziny ratownictwa medycznego, włączając w to techniki specjalne, stosowane w rejonach, gdzie ze względu na warunki terenowe lub panującą sytuację poszkodowani nie mogą liczyć na specjalistyczną pomoc lekarską.

Program trzydniowego szkolenia to trzy 12-godzinne bloki zajęć teoretycznych przeplatanych ćwiczeniami praktycznymi. Każdy z uczestników kursu otrzymał swoją apteczkę MOJO 123 IFAK (Improved First Aid Kit). Takie same mają w wyposażeniu marines. Dodatkowo do zestawu dołączono opracowany przez trenerów WMAI ilustrowany podręcznik treningowy, zawierający karty pacjenta, ułatwiające stawianie diagnozy oraz pomocne przy przekazywaniu poszkodowanego wykwalifikowanym ratownikom medycznym. Podczas wykładów każdego dnia były wyświetlane zdjęcia ilustrujące omawiane przypadki. Część tych fotografii nadesłali absolwenci kursu, którzy wykorzystali zdobytą wiedzę w praktyce.

MARTWY, MARTWY, MARTWY

Pierwszego dnia zajęć dziennikarze dowiedzieli się, że warto ustalić, czy pacjent któremu chce się pomóc, jest tylko „martwy”, czy „martwy, martwy, martwy”, bo jeżeli tylko „martwy”, to może da się jeszcze coś dla niego zrobić. Tym sposobem na początek cała grupa zaczęła ćwiczenia z resuscy-

tacji krążeniowo-oddechowej (RKO). Jednocześnie z trenowaniem tamowania krwotoków, udroźniania dróg oddechowych, przygotowywania do ewakuacji uczono się postępowania według gotowych procedur, które zawarto w podręczniku przekazanym kursantom. Zilustrowano to diagramem łączącym trzy trójkąty równoramienne, po których porusza się ratownik podczas działań. Pierwszy trójkąt składa się z trzech punktów, takich jak „bezpieczeństwo” (własne, partnera, otoczenia i poszkodowanego), „mechanizm obrażeń” (urazowe, chorobowe, środowiskowe), „liczby” (pacjenci, ratownicy).

Kiedy Sawyer opowiadała o swojej pracy podczas wojny w Iraku i Afganistanie, zwracała uwagę, jak kluczowy jest moment podjęcia decyzji o tym, czy należy udać się na ratunek. To trudny wybór, oznaczający konieczność zostawienia bliskiej nam osoby bez pomocy w sytuacji, gdy sami możemy stać się kolejną ofiarą.

TRENING CZYNI MISTRZA

Kursanci musieli bezwzględnie zapamiętać, że pierwszą czynnością po upewnieniu się, że sami nie staną się zaraz pacjentami, było ustalenie obrażeń poszczególnych układów. Krążeniowy – obfite krwawienie, puls. Oddechowy – zablokowanie dróg oddechowych, częstotliwość oddechu. Nerwowy – przytomność, kontakt werbalny, reakcje na ból, nieprzytomność, uszkodzenia rdzenia kręgowego. Oznaczało to opanowanie wiedzy dotyczącej tamowania krwotoków, RKO, opatrywania ran, unieruchamiania kończyn, zabezpieczenia pacjenta pod kątem urazów rdzenia kręgowego.

Jedno z ćwiczeń wykonywanych na fantomie polegało na przebijaniu się specjalistyczną igłą z zestawu IFAK do płuca pacjenta, u którego w wyniku urazu doszło do powstania odmy opłucnowej. Podczas tego ćwiczenia wszyscy kursanci z bładymi twarzami zapewniali, że takiej wiedzy użyliby tylko w ostateczności. Na koniec pierwszego kontaktu z poszkodowanym uczono się poruszania po trzecim trójkącie, mającym kilkanaście podpunktów, na które należy zwrócić uwagę przy udzielaniu pierwszej pomocy. Na tym etapie bardzo przydatne były karty pacjenta, na których można nanieść dane dotyczące pulsu, oddychania, temperatury, koloru skóry, wywiadu z przytomnym pacjentem oraz uwagi po dokonaniu wnikliwej inspekcji.

Pierwsza poważna symulacja sytuacji bojowej odbyła się w ogrodzie albańskiego sufickiego tekke. Dwuosobowe zespoły, obserwowane przez czekających na swoją zmianę kolegów, zostały „wrzucone” w wojenny scenariusz. Na trawie leżały manekiny z obfitymi sztucznymi krwotokami. Dziennikarze, zanim ruszyli na pomoc, upewnili się, że otoczenie jest →



DZIENNIKARZE ROBIĄ, CO W ICH MOCY, ŻEBY TCHNAĆ ŻYCIE W PLASTIKOWE MANEKINY

bezpieczne. Jeden z nich próbował nawiązać kontakt głosowy z rannym, drugi w tym czasie podawał współrzędne lokacji „fixerowi” (lokalny pomocnik dziennikarza), prosząc o zorganizowanie transportu. Na sygnał instruktora ruszono z pomocą. Ledwie kursanci zaczęli tamować krwotok, gdy znaleźli się pod ostrzałem snajperskim. Na hasło „30 sekund” trzeba było przygotować poszkodowanych do zabrania z pola walki. W tym celu użyto nylonowych taśm alpinistycznych. Po krótkim biegu z rannym rozpoczął się proces monitorowania jego funkcji życiowych, dalsze oględziny obrażeń i zabezpieczenie ofiary przed utratą ciepła. Okazało się, że w związku z raną odłamkową klatki piersiowej i wystąpieniem odmy opłucnowej trzeba będzie przeprowadzić zabieg przebiccia się do opłucnej, żeby zredukować ucisk uniemożliwiający oddychanie. Umazani krwią ratownicy szukali odpowiedniego miejsca do wykonania drenażu.

Kiedy opadły emocje i na miejscu pojawili się trenerzy, konkluzja była niewesoła. Większość dziennikarzy w trakcie wykonywania zadania nabawiła się chorób transferowanych przez krew. Niektórzy rękawiczki ochronne porwały się podczas szarpaniny przy przenoszeniu poszkodowanych, inni nie włożyli ich wcale. Po dokładnym sprawdzeniu założonych ucisków i opatrunków okazało się, że przed kursantami ciągle sporo pracy.

DZIEŃ PRÓBY

Podczas trzech dni szkolenia wszyscy uczestnicy mieli okazję pracować według różnorodnych scenariuszy, w rozmaitych zespołach. Grupa poznała się dosyć dobrze. Wszelkie błędy wychodziły bardzo szybko, a sukcesy, polegające na trafnych działaniach i diagnozach, dawały sporo radości. Na początku szkolenia Sawyer Alberi powiedziała, że po tych trzech wspólnych dniach zajęć wszyscy spojrzą sobie w oczy i odpowiedzą na pytanie, czy są już gotowi pomóc swoim kolegom i innym ludziom.

Zanim przystąpiono do finału, który miał oddać realia warunków bojowych, dziennikarze dostali jeszcze do rąk korpusy kurczaków. Chodziło o przyzwyczajenie palców do pracy w tkance mięśniowej. Mięso zatem trafiło na stół... operacyjny. W miej-

sce po odciętej szyi ptaka należało włożyć specjalny kompres do wypełniania ran. Taki ekwipunek jest szczególnie ważny w rejonach, w których łatwo o rany postrzałowe lub odłamkowe.

W końcu nadszedł moment, na który wszyscy czekali. Podzieleni na czteroosobowe grupy kursanci musieli w ciągu kilku sekund wybrać lidera zespołu. Plan zakładał udzielenie pierwszej pomocy, szybkie przeniesienie rannego i obserwowanie rozwoju sytuacji. Zapadła cisza, ale po kilku sekundach zrobiło się niesamowicie głośno – halę wypełnił dym, padł sygnał do rozpoczęcia akcji. Czwórki pobiegły w stronę rannych. Szybko wyszło na jaw, że plan podziału na grupy to fortel, bo przy tej liczbie rannych trzeba się porozdzielać. Wskazane miejsce do ewakuacji okazało się ciemną pułapką. Pojawiły się tam krzyczące kobiety w hijabach. Jedni wzięli je za potencjalne zagrożenie, inni próbowali uspokajać, nie przestając tamować rozległych krwotoków. Palce ratowników przyklepiały się do mięsa wystającego z „rannych”. A na dodatek halę garażową ostrzelali snajperzy. Rozpoczęła się ewakuacja na ulicę, gdzie miał przybyć konwój ratunkowy. Kilka minut później było po wszystkim.

W Kosowie 23 wolnych strzelców ukończyło z wynikiem pozytywnym kurs Battlefield Medical Response (BMR). Dzięki fundacji RISC już ponad 150 dziennikarzy z całego świata dostało szansę na zdobycie wiedzy, która ratuje ludzkie życie. Po ukończeniu BMR niektórzy uczestnicy starają się zebrać we własnym zakresie część środków, które mogą pozwolić na przeszkolenie następnych dziennikarzy.

OSTATECZNA PRAWDA

W dniu śmierci Tima Sebastian Junger dostał e-mail od weterana wojny w Vietnamie. Podziwiał ich obu za pracę w Afganistanie. „Chłopcy, waszą książką i filmem zbliżyliście się bardzo blisko do zrozumienia wojny, zbliżyliście się blisko, ale nie pokonaście całej drogi. Ostateczna prawda o wojnie nie jest taka, że możesz zginąć. Ostateczna prawda o wojnie jest taka, że na pewno stracisz swoich braci. Pod pewnym względem do dziś nie miałeś pojęcia o tej pierwszej zasadzie wojny, do dziś, kiedy straciłeś swojego brata i już wiesz”. ■

”

JAROSŁAW
RYBAK

Charyzma komandosa

JEŚLI CHCE SIĘ
UZYSKAĆ **POZYCJĘ**
AUTENTYCZNEGO
LIDERA, TRZEBA SIĘ ZE
SWOIMI ŻOŁNIERZAMI
POMĘCZYĆ

”

Atmosferę służby w tej jednostce najlepiej oddawała przyśpiewka „Oj dana, dana, służba u Żdana jest prze...”. Ale dwie dekady po likwidacji 62 Kompanii Specjalnej mjr Andrzej Żdan nadal jest bezdyskusyjnym liderem środowiska bolesławieckich komandosów. W moim prywatnym rankingu znajduje się także w czołówce listy charyzmatycznych dowódców. Choć niezbyt znany w szerszych kręgach, to na jego przykładzie młodzi ludzie w mundurach mogą się uczyć, jak zdobyć i utrzymać szacunek podwładnych.

Zbierając materiały do książki o 62 Kompanii, miałem okazję poznać komandosów z Bolesławca. Jednostka stacjonowała tam między 1967 a 1994 rokiem. Najślynniejszym jej dowódcą był Andrzej Żdan. Choć w cywilu awansował na stopień podpułkownika, to najczęściej nadal jest nazywany majorem.

Podporucznikowskie gwiazdki dostał w 1965 roku. Jako dowódca grupy specjalnej trafił do 1 Batalionu Szturmowego w Dziwnowie. Dwa lata później znalazł się w Bolesławcu. W 1972 roku – jako porucznik – objął dowodzenie kompanią. Na tym stanowisku służył do 1983 roku. Gdy zakładano Stowarzyszenie Byłych Żołnierzy 62 KSpec, był oczywistym kandydatem na stanowisko prezesa. Jest nim do dziś.

Z anegdot na temat Majora można napisać powieść o wojsku, jakiego już nie ma.

W czasie ćwiczeń na odległym poligonie zobaczył pięknego konia. Chciał go kupić. Ponieważ nie było możliwości przewiezienia zwierzęcia do Bolesławca, Major doszedł do wniosku, że kilkaset kilometrów po prostu z nim przemaszeruje. W takich marszach specjalizowali się ówczesni komandosi. Po namyśle stwierdził jednak, że on dałby radę, ale koń nie wytrzyma.

Gdy w jednostce pojawił się problem ze zwolnieniami lekarskimi, kazał urządzić w koszarach szpitalik. Tam kierował wszystkich posiadaczy L-4. Ogłosił, że całodobowa opieka specjalistyczna pozwoli szybciej odtworzyć zdolności bojowe. Faktycznie. Liczba chorych drastycznie spadła. Młodzi żołnierze chcący służyć w kompanii ukrywali kontuzje, do których dochodziło w czasie zajęć. Obawiali się, że dla dowódcy będzie to dowód na „słaby materiał ludzki, nienadający się do Bolesławca”.

Oczywiście dla tych, którzy w 62 Kompanii nie wytrzymali za długo, Major będzie przykładem tyрана. Jednak nie dla rosnącej grupy byłych żołnierzy, którzy co roku w pierwszy weekend września pojawiają się na spotkaniu weteranów.

Czego dzisiejsi dowódcy mogą uczyć się od mjr. Żdana? Że w długiej perspektywie szacunek żołnierzy znajdzie ten, kto stosuje zasadę „za mną”, a nie „naprzód”. Czasy mamy bowiem takie, że wielu ludzi bez doświadczenia, wraz z objęciem stanowiska, błyskawicznie przypisuje sobie chwałę podwładnych. Na początku wywołuje to uśmiech żołnierzy, który z czasem jednak przeradza się w grymas, następnie w irytację. Tymczasem, jeśli chce się uzyskać pozycję autentycznego lidera, trzeba się ze swoimi żołnierzami pomęczyć i pokazać, że wydawane rozkazy potrafi się samemu wykonać. Opowiadaniem o trudach żołnierskiej służby można sobie zbudować

pozycję w mediach i u – niestety – niektórych przełożonych. Ale na pewno nie u podwładnych. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ
ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH
JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ
RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

PAULINA GLIŃSKA

Głosy sprzeciwu

W resorcie sprawiedliwości trwają prace nad projektem ustawy o oświadczeniach o stanie majątkowym osób pełniących funkcje publiczne.

Jak wynika z szacunków Centralnego Biura Antykorupcyjnego, około 500 tys. Polaków jest zobowiązanych składać oświadczenia majątkowe. To jedna z metod zapobiegania korupcji. Obecnie jednak regulacje nakładające na wybrane grupy zawodowe obowiązek składania takich dokumentów znajdują się w różnych aktach prawnych. Swoje „majątkowe” przepisy mają więc wojsko i policja, ale też urzędnicy państwowi. Nic zatem dziwnego, że są one niespójne i różnią się między sobą, na przykład zakresem informacji, które należy podać w oświadczeniu, wzorem formularza czy sankcjami za niezłożenie dokumentu. Przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości projekt ustawy o oświadczeniach o stanie majątkowym osób pełniących funkcje publiczne ma przede wszystkim ujednoczyć zasady składania takich oświadczeń.

Projekt aktu skierowany do konsultacji do ponad 100 instytucji, w tym do organizacji społecznych zajmujących się problematyką przejrzystości władzy i przestrzeganiem praw człowieka, wzbudził spore kontrowersje. Niektóre zapisy negatywnie ocenili między innymi Sąd Najwyższy, Krajowa Rada Sądownictwa, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych. Swoje uwagi zgłosiło także wojsko.

WĄTPLIWOŚCI ŻOŁNIERZY

W projekcie ustawy rozszerzono również katalog osób zobowiązanych do „spowiedzi finansowej” i tak oprócz na przykład dyrektorów sądów czy strażników miejskich w tej grupie znaleźli się żołnierze Żandarmerii Wojskowej. „To wyodrębniona i wyspecjalizowana służba, powołana między innymi do wykrywania przestępstw i wykroczeń popełnionych w szczególności przez żołnie-

rzy – a zatem wykonująca czynności o charakterze zbliżonym do tych wykonywanych przez policję, której funkcjonariusze są obowiązani do składania oświadczeń majątkowych”, tak resort sprawiedliwości uzasadnił objęcie żandarmów obowiązkiem składania oświadczeń.

„Nie rozumiemy potrzeby objęcia obowiązkiem składania oświadczeń szeregowych zawodowych oraz wszystkich podoficerów zawodowych pełniących służbę w Żandarmerii Wojskowej. Czy wykonywane przez tych żołnierzy zadania wiążą się z podatnością na korupcję?”, pyta płk Marian Babuška, przewodniczący Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych.

To niejedynie zmiany, które budzą wątpliwości wojskowych. Projekt zakłada bowiem nałożenie na żołnierzy obowiązku składania oświadczenia majątkowego w ciągu siedmiu dni od dnia zwolnienia i wyznaczenia na stanowisko. Zdaniem wojskowych ten zapis nie uwzględnia specyfiki służby i w efekcie może prowadzić do absurdalnych sytuacji. Chodzi tu przede wszystkim o kadencyjność stanowisk oficerskich i sytuację, gdy żołnierz po awansie zajmie to samo stanowisko. Może się też zdarzyć, że na skutek wprowadzenia nowego etatu lub zmian do niego zmieni się jedynie nazwa stanowiska. Według projektu ustawy żołnierz w obu takich sytuacjach będzie zobowiązany do złożenia kolejnego oświadczenia.

Sprzeciw budzą też zaproponowane w projekcie sankcje za niezłożenie oświadczenia w wymaganym terminie. Art. 18 projektu za niezłożenie dokumentu w terminie dodatkowym przewiduje karę pieniężną w wysokości 1000 zł (drugi termin dodatkowy to kara 2000 zł). Tymczasem zgodnie z art. 17 niezłożenie oświadczenia majątkowego w terminie albo złożenie dokumentu nieprawdziwego będzie stanowić podstawę od-

OŚWIADCZENIA W WOJSKU

Zgodnie z ustawą pragmatyczną obowiązek składania oświadczeń o stanie majątkowym dotyczy oficerów zawodowych (z wyjątkiem tych, którzy zajmują stanowiska służbowe sędziów sądów wojskowych oraz stanowiska prokuratorów wojskowych jednostek organizacyjnych prokuratury) oraz podoficerów pełniących zawodową służbę wojskową w organach finansowych i logistycznych.

W składanych dokumentach żołnierze podają dane nie tylko o zarobkach, lecz także o posiadanych nieruchomościach, samochodach i kredytach według stanu na 31 grudnia roku poprzedniego. ■

JEDNOLITA TREŚĆ

Projektowane zmiany doprecyzowują treść oświadczeń. Wszyscy zobowiązani do złożenia dokumentu będą musieli podać w nim informacje o posiadanych nieruchomościach, zasobach pieniężnych, akcjach czy jednostkach uczestnictwa w funduszach inwestycyjnych, a także zajmowanych stanowiskach, przychodach osiągniętych z tytułu zatrudnienia lub innej działalności zarobkowej. Oświadczenie będzie zawierać też informacje o zobowiązaniach pieniężnych oraz warunkach, na jakich zostały udzielone. Funkcjonariusz publiczny zostanie zobowiązany do poinformowania o przeniesieniu własności składników majątkowych na członków rodziny, jeżeli nastąpiło to w ciągu pięciu lat przed złożeniem oświadczenia. Oprócz składników majątku ujawnieniu ma podlegać źródło jego pochodzenia. ■

powiedzialności dyscyplinarnej, służbowej lub porządkowej. Z kolei w katalogu kar dyscyplinarnych ustawy o dyscyplinie wojskowej jest też kara pieniężna. Zdaniem opiniujących wprowadzenie podwójnej odpowiedzialności za to samo zaniedbanie jest naruszeniem konstytucyjnej zasady demokratycznego państwa prawa.

Co więcej, projekt przewiduje, że kara ta będzie nakładana w formie decyzji szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego pod rygorem natychmiastowej wymagalności. „Rozwiązanie to nie odpowiada regule wyrażonej w kodeksie postępowania administracyjnego, zgodnie z którym »decyzji, od której służy odwołanie, może być nadany rygor natychmiastowej wykonalności, gdy jest to niezbędne ze względu na ochronę zdrowia lub życia ludzkiego albo zabezpieczenia gospodarstwa narodowego przed ciężkimi stratami bądź też ze względu na inny interes społeczny lub wyjątkowo ważny interes strony«. Projektodawca nie wykazał, że w niniejszym wypadku zachodzi którakolwiek z powyższych przyczyn”, na takim stanowisku stoi Konwent.

„NIE” DLA E-OŚWIADCZEŃ

Sprzeciw wzbudziła też inna propozycja resortu sprawiedliwości, która przewiduje składanie oświadczeń za pomocą środków komunikacji elektronicznej ePUAP w formie e-dokumentu opatrzonego bezpiecznym podpisem elektronicznym. Żołnierze mają wątpliwości, czy w takiej sytuacji będzie zapewniona pełna ochrona przesyłanych danych. Mechanizm bezpieczeństwa tzw. profilu zaufanego jest bowiem oparty na znajomości hasła oraz loginu do danego konta (system zapewnia możliwość generowania nowych haseł, które są wysyłane na adres e-mail). Uzyskanie dostępu do danych wiąże się więc jedynie z uzyskaniem dostępu do poczty elektronicznej użytkownika.

Ponadto, co zauważyło wielu z opiniujących, taka forma składania oświadczeń oznacza też dodatkowe koszty, zarówno po stronie jednostek państwowych, jak i samych zobowiązanych. „Składanie oświadczeń elektronicznych opatrzonych bezpiecznym podpisem elektronicznym, weryfikowanym za

pomocą kwalifikowanego certyfikatu, wiąże się z koniecznością nabycia przez każdego ze składających specjalnej karty procesorowej lub tokena USB oraz oprogramowania służącego do składania podpisu elektronicznego. Podmioty świadczące usługi certyfikacyjne mogą zagwarantować wyłącznie autentyczność składanego podpisu, a nie mogą zapewnić ich ochrony przed nieuprawnionym dostępem osób trzecich”, taką opinię wyraziła ABW.

Wiele instytucji negatywnie ocenia też zapis, według którego oświadczenia miałyby być jawne, publikowane na stronie BIP-u, z wyjątkiem tych składanych przez oficerów służb specjalnych. Bo choć obywatel ma prawo do informacji o działalności organów władzy publicznej oraz osób pełniących funkcje publiczne, to objęcie jawnością wszystkich osób wliczonych w obszernym katalogu w ustawie nie zawsze wydaje się zrozumiałe. I mimo że dane adresowe i PESEL miałyby być anonimowe, pojawiają się obawy co do takiego rozwiązania. „Wątpliwości budzi cel tak dalekiej ingerencji w życie prywatne osób, które nie mają uprawnień decyzyjnych. Zbyt daleko idące wydaje się więc uznanie informacji o stanie majątku urzędników publicznych nieposiadających władztwa decyzyjnego za informację publiczną podlegającą ujawnieniu w drodze publikacji w BIP”, napisał w opinii generalny inspektor ochrony danych osobowych

Zdaniem płk. Babuśki zapis ten narusza konstytucyjną zasadę prawa do prywatności osoby zobowiązanej, jej małżonka oraz najbliższych członków rodziny. „Jednocześnie proponowane rozwiązanie może stanowić bardzo realne zagrożenie bezpieczeństwa państwa, gdyż tam będą podane dane na przykład na temat stanu liczebnego korpusu oficerów zawodowych, a także rodzin żołnierzy”, podkreśla przewodniczący Konwentu.

W podobny, negatywnym tonie tę zmianę zaopiniowała Krajowa Rada Sądownictwa: „Przepis ten godzi w bezpieczeństwo państwa. Upublicznienie w internecie pełnego składu kadry oficerskiej oraz istotnej części kadry podoficerskiej stwarza służbom państw obcych okazję do pozyskania danych mogących narazić powyższe osoby i ich rodziny na realne niebezpieczeństwo”. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Należności zagraniczne

Jaki charakter mają należności zagraniczne otrzymywane przez żołnierza zawodowego podczas pełnienia przez niego służby poza granicami kraju? Na przełomie 2011 i 2012 roku służyłem w X zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Po powrocie do kraju według sądu moje uposażenie znacznie wzrosło i w konsekwencji dało podstawę do wydania wyroku na korzyść strony powodowej, zasądzając większe alimenty.

Należność zagraniczna otrzymywana z tytułu pobytu poza granicami państwa jest nieopodatkowaną formą wypłaty pieniężnej przekazywaną przez Dowództwo Operacyjne SZ na konta żołnierzy pełniących służbę między innymi na misjach wojskowych. Polskie sądy w różny sposób interpretują tę formę wynagrodzenia. Jedne uznają tę należność jako dochód, dając podstawę do żądania roszczeń przez „wierzycieli”, tym samym do wszczęcia postępowania egzekucyjnego, inne umarzają postępowania, wskazując, że wspomniane środki nie są dochodem.

Jaki zatem charakter mają takie należności zagraniczne? Czy stanowią one formę dochodu, czy też są środkami finansowymi, które mogą być przeznaczone na przykład na rekonwalescencję po powrocie do kraju?

→ **Należności zagraniczne określone w art. 102 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz w rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie należności pieniężnych żołnierzy zawodowych pełniących służbę poza granicami kraju, otrzymywane przez żołnierza, są dochodem.** Wynika to z art. 9 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Przywołany przepis stanowi o opodatkowaniu, któremu podlegają wszelkiego rodzaju dochody,

z wyjątkiem między innymi tych wymienionych w art. 21 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Tu należności zagraniczne są uwzględnione jako te zwolnione z podatku dochodowego od osób fizycznych. Są to świadczenia przyznane na podstawie odrębnych ustaw lub przepisów wykonawczych dotyczących żołnierzy oraz pracowników wojska wykonujących zadania poza granicami państwa:

a) w składzie jednostki wojskowej użytej w celu udziału w konflikcie zbrojnym lub dla wzmocnienia sił państwa albo państw sojusznicznych, misji pokojowej, akcji zapobieżenia aktom terroryzmu lub ich skutkom;

b) jako obserwator wojskowy lub osoba mająca status obserwatora wojskowego w misjach pokojowych organizacji międzynarodowych i sił wielonarodowych – z wyjątkiem wynagrodzenia za pracę oraz uposażeń i innych należności pieniężnych przysługujących z tytułu pełnienia służby.

Nie ma zatem wątpliwości, że należności określone w art. 21 ust. 1 pkt. 83 ustawy o podatku dochodowym stanowią dochód i są zwolnione z podatku dochodowego od osób fizycznych. Jeżeli natomiast chodzi o cel, na który mogą być one przeznaczone, to ustawodawca określa jedynie, że należności zagraniczne przysługują na pokrycie zwiększonych kosztów związanych z pełnieniem obowiązków i funkcji poza granicami państwa i są ustalone odpowiednio do zakresu ich pełnienia oraz kosztów utrzymania poza granicami państwa. Od Pana zatem zależy, na jaki cel Pan je przeznaczy. ■

AGATA SADOWSKA
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 26 lipca 1991 roku o podatku dochodowym od osób fizycznych (DzU 2012 poz. 361 z późn. zm.) – art. 9 ust. 1, art. 21 ust. 1 pkt 83; ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2003 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 102 ust. 3 pkt 1.

Czyja racja?

Temat ponadnormatywnego czasu pracy wielokrotnie był już poruszany w „Niezbędniku”. Wciąż jednak w jednostkach przepisy są różnie interpretowane. Chodzi o przypadek, gdy w jednym tygodniu mamy dwie służby i do tego jeszcze w jeden dzień jesteśmy w pracy (np. służba z poniedziałku na wtorek, ze środy na czwartek i do tego w piątek normalny dzień pracy). Według Waszych interpretacji w takiej sytuacji powinien się należeć dzień wolny. Nasz kadrowiec nie zgadza się z tym. Kto ma zatem rację?

→ **Z opisanego stanu nie wynika, czy autor pytania w danym tygodniu pełnił dwie służby (dyżurne), dyżury czy dyżury etatowe.** Użyta

nomenklatura może sugerować, że chodzi mu o służby dyżurne, o których mowa w §2 pkt. 3 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych, to znaczy trwające od 12 do 24 godzin służby garnizonowe, wewnętrzne, wartownicze, patrolowe, konwojowe i asystencyjne lub operacyjne. W treści pytania nie określono również, w jakim wymiarze godzinowym owe służby były pełnione. Ponadto nie wiadomo, czy służba była pełniona w dzień ustawowo lub dodatkowo wolny od służby. Są to okoliczności zasadnicze dla precyzyjnego rozstrzygnięcia problemu. Zgodnie bowiem z §9 ust. 1 cytowanego rozporządzenia żołnierza wyznaczonego do pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru trwającego co najmniej 24 godziny, zwalnia się z wykonywania innych zadań służbowych w dniu rozpoczęcia i zakończenia tej służby lub dyżuru (odnosząc się do stanu faktycznego opisanego w pytaniu, norma ta będzie zachowana, jeżeli w poniedziałek i środę, tj. przed rozpoczęciem służb, oraz we wtorek i czwartek, tj. po zakończeniu służb, przez pozostałą część dnia żołnierz nie wykonywał obowiązków służbowych). W myśl natomiast ust. 2 tego przepisu żołnierzowi, który pełnił służbę dyżurną lub dyżur w dniu ustawowo lub dodatkowo wolnym od służby, w wymiarze co najmniej ośmiu godzin, udziela się za ten dzień czasu wolnego w wymiarze jednego dnia.

Jeżeli zaś służba dyżurna lub dyżur pełnione w dniu ustawowo lub dodatkowo wolnym od służby obejmowały okres krótszy niż 24 godzin, żołnierzowi udziela się za ten dzień czasu wolnego w wymiarze równym liczbie godzin pełnienia tej służby lub dyżuru.

Jednocześnie trzeba zwrócić uwagę, iż §4 ust. 2 pkt 1 rozporządzenia stanowi, że czas pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru wlicza się do tygodniowego czasu służby, ale w wymiarze nie większym niż osiem godzin.

Nieco odmiennie przedstawia się sytuacja, jeśli chodzi o tak zwane dyżury etatowe, czyli dyżury

w stałym systemie pełnione przez żołnierzy w ramach obowiązków wynikających z zajmowanego stanowiska służbowego w powołanych do tego celu jednostkach organizacyjnych oraz podobne etatowe służby operacyjne i dyżurne.

Jeżeli żołnierz pełnił więcej niż sześć etatowych dyżurów w 28-dniowym okresie, to za każdy dodatkowy dyżur przysługuje zwolnienie z jednego dyżuru w kolejnym 28-dniowym okresie albo w najbliższym czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. Jeżeli nie można zwolnić kogoś z takiego dyżuru, dowódca jednostki może udzielić żołnierzowi za jego zgodą czasu wolnego w wymiarze jednego dnia.

Trzeba też pamiętać, że wymiar czasu służby żołnierzy jest podyktowany zadaniami służbowymi i nie powinien przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. Za ponadnormatywny czas służby należy się natomiast żołnierzowi czas wolny w takim samym wymiarze. Ponadto żołnierzowi przysługuje co najmniej 11 godzin nieprzerwanego odpoczynku w każdej dobie oraz 24 godziny w okresie siedmiodniowym (vide: art. 60 ust. 1 i 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych). Przepisy te nie będą jednak miały zastosowania do żołnierzy zawodowych wykonujących zadania o charakterze nadzwyczajnym, niezbędne do ochrony interesów państwa, w szczególności biorących udział w zapobieganiu skutkom katastrof naturalnych lub awarii technicznych noszących znamiona klęski żywiołowej oraz w działaniach mających na celu ich usunięcie, pełniących służby i dyżury, odbywających ćwiczenia i szkolenia poligonowe (morskie) oraz pełniących służbę wojskową poza granicami państwa (vide: art. 60 ust. 3 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych).

Dzień wolny za pełnienie służby dyżurnej czy dyżuru przysługuje zatem tylko wtedy, gdy służba lub dyżur są pełnione w dzień ustawowo lub dodatkowo wolny od służby w wymiarze co najmniej ośmiu godzin. W wypadku służb dyżurnych lub dyżurów odbywających się w pozostałe dni w wymiarze co najmniej 24 godzin żołnierz jest zwalniany z wykonywania innych zadań służbowych w dniu rozpoczęcia i zakończenia tej służby lub dyżuru. Jeśli zaś chodzi o dyżury etatowe, to dopiero przekroczenie wymiaru sześciu etatowych dyżurów w 28-dniowym okresie oraz niemożność zwolnienia żołnierza z dyżurów w przyszłym 28-dniowym okresie daje podstawę do odebrania dnia wolnego. ■

MAREK PASZKIEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 60 ust. 1–3; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU 2008 nr 122 poz. 786) – §2 pkt 3, §4 ust. 2 pkt 1, §9 ust. 1–3, §10 ust. 2–3.

Awans za bohaterski czyn

W ustawie pragmatycznej zamieszczono przepis, który umożliwia ministrowi obrony narodowej awansowanie żołnierzy za czyny bohaterskie. W 2009 roku uratowałem trzech mężczyzn, ale wtedy nie byłem jeszcze żołnierzem. Mundur włożyłem rok później. Czy w takiej sytuacji mam szansę na awans na kaprała?

→ **Minister obrony narodowej może mianować na wyższy stopień wojskowy żołnierza zawodowego, który dokonał czynów o charakterze bohaterskim w szczególnie niebezpiecznych warunkach.** Awans jest zatem możliwy jedynie w sytuacji, gdy czynu o charakterze bohaterskim dokona żołnierz. Z Pana listu wynika, że nie był Pan żołnierzem, gdy uratował Pan trzy osoby. Mi-

nister obrony nie ma zatem podstaw, aby awansować Pana na wyższy stopień wojskowy jako żołnierza zawodowego, który dokonał czynów o charakterze bohaterskim spełnionych w szczególnie niebezpiecznych warunkach, z wykazaniem wyjątkowej odwagi, z narażeniem życia lub zdrowia w obronie prawa, nietykalności granic państwowych, życia, mienia i bezpieczeństwa obywateli. ■

DOROTA GUDALEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

PODSTAWA PRAWNA:
Ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych z 11 września 2003 roku (DzU 2003 nr 90 poz. 593) – art. 42c.

Przeterminowane nadgodziny

Jestem żołnierzem zawodowym. Pełniąc służbę i uczestnicząc w ćwiczeniach, nabyłem prawo do czasu wolnego za czas służby przekraczającej 40 godzin w tygodniu. Ze względów służbowych i osobistych nie wykorzystałem go w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym oraz w kolejnym. Zostałem przeniesiony do innej jednostki do dyspozycji dowódcy. W nowej jednostce uznano mi wszystkie przysługujące dni wolne jedynie z ostatnich ośmiu miesięcy, mimo że przedstawiłem zaświadczenie z rozliczenia się z poprzedniej jednostki i wykaz przysługującego mi czasu wolnego potwierdzonego przez sekcję personalną. Proszę o wyjaśnienie, czy ta decyzja jest słuszna. Czy czas wolny przepada?

→ **Tak. Decyzja jest słuszna. Kwestię tę reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku.** W §8 ust. 1 rozporządzenia jest mowa o tym, że żołnierzowi, który na polecenie dowódcy jednostki wojskowej

lub osoby upoważnionej przez tego dowódcę wykonywał zadania służbowe w wymiarze przekraczającym w danym tygodniu czas służby, udziela się czasu wolnego w tym samym wymiarze czasowym. Powinno to nastąpić w najbliższym tygodniu, nie później jednak niż w ciągu czteromiesięcznego okresu rozliczeniowego. Żołnierzowi, który w danym terminie z uzasadnionych względów służbowych lub osobistych nie wykorzystał przysługującego mu czasu wolnego, udziela się czasu wolnego w tym samym wymiarze nie później niż w następnym okresie rozliczeniowym – §8 ust. 3 rozporządzenia. Reasumując, żadnej niewykorzystanej nadgodziny, po upływie ośmiu miesięcy, nie można już odebrać w formie czasu wolnego. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA:
rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku (DzU 2008 nr 122 poz. 786) – §8 oraz §11 ust. 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

TOMASZ
SANAK

Badanie Śmierci

NAWET PO ŚMIERCI
POLEGLI PRZYCZYNIĄ SIĘ
DO ZWIĘKSZANIA
POZIOMU
BEZPIECZEŃSTWA SWOICH
TOWARZYSZY BRONI



Amerykańscy żołnierze giną na polu walki oraz w wyniku odniesionych ran. Każdy przypadek śmierci jest dokładnie analizowany. Dzięki wnioskowaniu statystycznemu nasi sojusznicy wprowadzają wciąż nowe, skuteczniejsze procedury zwiększające szanse przeżycia rannych. Można więc powiedzieć, że nawet po śmierci polegli przyczyniają się do zwiększania poziomu bezpieczeństwa swoich towarzyszy broni. Niestety, w Wojsku Polskim nie prowadzimy podobnych badań.

W US Army funkcjonuje specjalna komórka nadzoru nad wypadkami śmiertelnymi (Armed Forces Medical Examiner Service Mortality Surveillance Division – AFMESMSD), której zadaniem jest analiza każdego zgonu związanego z polem walki. Do opracowanych przez nią statystyk ma dostęp praktycznie każdy.

Mnie zainteresowały dane dotyczące operacji „Iracka wolność” (Operation Iraqi Freedom – OIF) oraz „Trwała wolność” (Operation Enduring Freedom – OIE). Analizie poddano zdarzenia, do których doszło między październikiem 2001 roku a lipcem 2011 roku. 87% wszystkich zgonów miało miejsce przed dotarciem poszkodowanych do placówki medycznej (Medical Treatment Facility – MTF), co wskazuje na konieczność poprawy opieki przedszpitalnej tam, gdzie tylko jest to możliwe. Prawie 76% wszystkich zgonów można zaklasyfikować do grupy tak zwanych nie do uniknięcia ze względu na stopień odniesionych obrażeń. Jednak 24% określa się jako potencjalne „zgony do uniknięcia”. Zasadniczą ich przyczyną są krwotoki z kończyn.

Podczas analizy wykazano powiązanie urazu z krwotokiem zewnętrznym prawie w 91% przypadków. Jeśli weźmie się pod uwagę lokalizację rany, krwotoki ze skutkiem śmiertelnym występowały z okolic tułowia w 67%, z okolic pachwiny oraz dołu pachowego – w 19%, natomiast z kończyn – w 13%.

Oczywiście badano także przyczyny powstawania obrażeń. Prawie 74% poległych to ofiary eksplozji improwizowanych urządzeń wybuchowych, 22% – ran postrzałowych. Śmierć 4% Amerykanów była efektem wypadków, między innymi komunikacyjnych.

Z analiz czasu oraz miejsca zdarzenia wynika, że w 35% doszło do zgonów natychmiastowych, u 52% ofiar skutek śmiertelny nastąpił od kilku minut do godziny po zdarzeniu, ale przed dotarciem poszkodowanego do placówki medycznej. Tylko niecałe 13% zmarło po przewiezieniu do MTF.

Tak szczegółowa analiza zgonów związanych z polem walki wskazuje, jakie zmiany trzeba wprowadzać w szkoleniu i wyposażeniu żołnierzy. Dzięki wnioskowaniu statystycznemu wiemy, jak ma być spakowany plecak ratownika medycznego.

Niestety, w Polsce brakuje odpowiednika AFMESMSD. Tę rolę przejmuje Zakład Medycyny Pola Walki WIM. Mam nadzieję, że nasze prace nabiorą tempa, między innymi dzięki życzliwości redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”, która udostępniła mi miejsce na cykl felietonów dotyczących problematyki medycyny pola walki. ■



TOMASZ SANAK JEST RATOWNIKIEM
MEDYCZNYM Z ZAKŁADU MEDYCZYNY POLA
WALKI WOJSKOWEGO INSTYTUTU
MEDYCZNEGO, UCZESTNIKIEM I, VI ORAZ
IX ZMIANY PKW AFGANISTAN,
WSPÓŁTWÓRCĄ CYKLU SZKOLEŃ
ZWIĄZANYCH Z WYKORZYSTANIEM
DOŚWIADCZEŃ Z POLA WALKI
W RATOWNICTWIE CYWILNYM
([HTTP://MEDYCYNARATUNKOWA.WIM.MIL.PL](http://medycynaratunkowa.wim.mil.pl)).

Przygotowany przez resort obrony narodowej projekt przepisów dotyczących wypłaty należności mundurowej wynika z nowelizacji obowiązującej od 1 stycznia ustawy pragmatycznej oraz innych, szczegółowych przepisów dotyczących umundurowania i wyekwipowania żołnierzy i kandydatów na nich. Projekt uwzględnia też zapisy „Koncepcji zmian umundurowania i wyekwipowania żołnierzy SZRP w latach 2014–2015”.

Nowe przepisy różnicują wysokość „mundurówki” w zależności od miejsca pełnienia służby. Inną kwotę mają otrzymać wojskowi (z wyjątkiem generałów i admirałów) pełniący służbę

Mundurówka 2015

Zmiana terminu wypłaty „mundurówki” oraz uzależnienie jej wysokości od miejsca pełnienia służby to główne założenia projektu rozporządzenia ministra obrony narodowej.

w dowództwach i sztabach od szczebla korpusu (flotylli), inspektoratach, wojewódzkich sztabach wojskowych, komendach uzupełnień, orkiestrach wojskowych, komórkach organizacyjnych MON i instytucjach naukowych – częściej korzystający z mundurów wyjściowych czy galowych, a inną żoł-

nierze służący w pozostałych jednostkach wojskowych.

W większości wypadków sztabowcy dostaną wyższe świadczenie niż żołnierze służący w linii. Na przykład pułkownik wojsk lądowych służący w sztabie otrzyma 2618 zł, kapitan 2567 zł, a żołnierze w tych samych stopniach,

Szkolenia rezerwistów

W przyszłym roku liczba przeszkalananych przez wojsko rezerwistów może się zwiększyć o połowę. Nie zmienia się natomiast limity powołań na ćwiczenia rotacyjne oraz do służby przygotowawczej.

Zgodnie z projektem do służby przygotowawczej w 2015 roku będzie mogło trafić do 6 tys. ochotników (2525 stanu średniorocznego). To oferta dla tych, którzy nie odbyli żadnej formy czynnej służby wojskowej, ale chcieliby zasilić szeregi Narodowych Sił Rezerwowych. W ramach służby na potrzeby korpusu szeregowych wojsko planuje zorganizować trzy turnusy: w styczniu, maju i we wrześniu.

Szacuje się, że służba przygotowawcza dla około sześciotysięcznej rzeszy ochotników będzie kosztować resort obrony blisko 60 mln zł. Najwięcej, bo ponad 30 mln, ma być przeznaczona na wyżywienie i zakwaterowanie ochotników w jednostkach wojskowych. Ponad 18 mln mają pochłonąć wynagrodzenia, w tym nagrody i zapomogi.

W przyszłym roku MON planuje także przeprowadzić wojskowe ćwiczenia rotacyjne dla żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych, którzy w 2015 roku będą mieli przydziały kryzysowe. Maksymalna liczba powołań ma wynieść 20 tys. Koszty zabezpieczenia takich ćwiczeń MON oszacowało na ponad 67 mln zł. Tu najwięcej zostanie przeznaczona na

uposażenia, nagrody i zapomogi (ponad 45 mln zł).

Według projektu obowiązkowe ćwiczenia rezerwy przejdzie o połowę więcej rezerwistów niż w 2014 roku. Limit średnioroczny wynosi 300 osób. W praktyce daje to możliwość powołania na ćwiczenia pięciodniowe do 21,6 tys. rezerwistów, a na dziesięciodniowe około 10,8 tys. rezerwistów. W limicie obowiązkowych ćwiczeń rezerwy przewidziano także miejsce na podnoszenie kwalifikacji przez szeregowych – na kursach podoficerskich, i podoficerów – na kursach oficerskich. To odpowiednio 70 i 50 osób średniorocznie. Przewidywane nakłady finansowe związane z ćwiczeniami rezerwistów nie powinny przekroczyć 11,5 mln zł. Tu także najwięcej – prawie 9 mln – pochłoną wynagrodzenia.

MON planuje też powołanie do okresowej służby wojskowej ochotników rezerwy, którzy znajdują się w dyspozycji szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Limit średnioroczny dla tej grupy to 50 osób. Służbę okresową pełni się w uzasadnionych wypadkach, na przykład klęsk żywiołowych, ale też podczas wykonywania zadań poza granicami kraju. PG/PZ

Z WOJSKOWEJ WOKANDY

Status weterana poszkodowanego dla sapersa

W wyniku wypadku podczas wykonywania zadań na misji poza granicami kraju w Polskim Kontyngencie Wojskowym SFOR w Bośni i Hercegowinie żołnierz doznał urazu kręgosłupa. Konieczna była długotrwała rehabilitacja, ale skutki zdarzenia dają o sobie znać do dzisiaj.

Do wypadku doszło, gdy żołnierz schodził z pojazdu w czasie patrolu rozminowania terenu. Mimo że został on skierowany poza granice kraju jako saper, Ministerstwo Obrony Narodowej uznało, że zdarzenie to nie może zostać zakwalifikowane jako uprawniające do nadania statusu weterana poszkodowanego. W decyzji organ wojskowy napisał, że wypadek nastąpił w trakcie wyładowywania niewybuchów przywiezionych przez patrol rozminowania. Jednak zdarzenie to i okoliczności, w jakich zaistniało, nie mieszczą się w definicji wypadku pozostającego w związku z działaniami poza granicami kraju, a dokładnie z innymi działaniami pozostającymi w bezpośrednim związku z wykonywaniem zadań przez żołnierza. Ostatecznie uznano, że przyznanie statusu weterana poszkodowanego byłoby sprzeczne z celem ustawy i prowadziłyby do nadania statusu osobie nieuprawnionej.

ale z innych jednostek odpowiednio – 2519 zł i 2468 zł.

Podoficer służący w strukturach sztabowych sił powietrznych dostanie „mundurówkę” w wysokości 2673 zł, zaś ten służący na przykład w bazie lotniczej 2635 zł. Podobne, niewielkie różnice w wypłatach odczują żołnierze marynarki wojennej. Tu na przykład porucznik sztabowy kobieta będzie mogła liczyć na 3161 zł, a pracująca w jednostce liniowej – na 2959 zł.

Nowelizowane przepisy przewidują też zmiany w wypłacie „mundurówek” dla szeregowych zawodowych. Teraz żołnierz najmłodszego w wojsku korpusu otrzymuje wyższy równoważnik po

1,5 roku służby wojskowej. Po zmianach na większe pieniądze będzie mógł liczyć dopiero po dwóch latach pobytu w wojsku. Świadczenie mundurowe dla szeregowego ze stażem do 24 miesięcy służby pracującego w sztabie wyniesie 392 zł lub 524 zł w pozostałych jednostkach. Po dwóch latach służby szeregowy wojsk lądowych otrzyma odpowiednio: 2431 zł i 2332 zł.

Zmiany w rozporządzeniu rozszerzają też katalog okresów, za które równoważniki nie będą przysługiwać. Chodzi szczególnie o urlop macierzyński, rodzicielski, urlop na warunkach urlopu macierzyńskiego oraz okres przebywania w rezerwie kadrowej, jeżeli w tym cza-

nie żołnierz nie będzie wykonywał obowiązków służbowych. Po zakończeniu urlopu równoważnik zostanie wypłacony, ale z pomniejszeniem okresu nieobecności w służbie.

W projekcie zaproponowano też zmianę terminu końcowego wypłaty równoważnika pieniężnego. Obecnie „mundurówka” jest wypłacana do końca drugiego kwartału roku kalendarzowego, po zmianach żołnierze mogliby ją otrzymać do końca marca.

Nowe przepisy powinny zostać wydane do końca listopada 2014 roku. MON szacuje, że wydatki na wypłatę równoważników pieniężnych w 2015 roku wyniosą około 231 mln zł. P G / P Z ■

Żołnierz decyzję tę uznał za krzywdzącą. Stała się ona przedmiotem kontroli sądowej dokonanej przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie, który oddalił skargę żołnierza, uznając racje MON. WSA w Warszawie w zasadzie powielił argumentację organu, uznając, że przypadek żołnierza to zwyczajny wypadek losowy. Tym samym trudno jest przyznać mu prawa do statusu weterana poszkodowanego.

Zainteresowany złożył skargę kasacyjną. Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie 12 sierpnia 2014 roku po rozpoznaniu skargi kasacyjnej uznał racje żołnierza (wyrok w sprawie o sygn. akt I OSK 2343/13, na mocy którego uchylony został w całości wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 5 czerwca 2013 roku w sprawie o sygn. akt II SA/Wa 617/13).

Naczelny Sąd Administracyjny uznał, że czynności, które wykonywał na misji saper, doznając urazu kręgosłupa, należy zaliczyć do czynności uprawniających go do uzyskania statutu weterana poszkodowanego w myśl przepisów ustawy o weteranach działań poza granicami państwa.

W uzasadnieniu sąd podkreślił, że do obowiązkowych zadań sapers na misji należało nie tylko rozminowanie terenu z niewybuchów, ale również ich zebranie i przewiezienie w bezpieczne miejsce celem detonacji. Tym samym wypadek, który się zdarzył, należy powiązać z czynnościami bezpośrednio związanymi z celem misji, na którą został skierowany. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Z WOJSKOWEJ WOKANDY

Bez prawa do odszkodowania

Sąd oddalił odwołanie wdowy po żołnierzu zawodowym w sprawie wypłaty odszkodowania.

Sprawa dotyczy prawa do jednorazowego odszkodowania dla wdowy i dzieci po zmarłym w wypadku samochodowym żołnierzu zawodowym. Odszkodowanie to jest przyznawane na podstawie przepisów ustawy o świadczeniach odszkodowawczych przysługujących w razie wypadków i chorób pozostających w związku ze służbą wojskową z 11 kwietnia 2003 roku (DzU 2003 nr 83 poz. 760 z późn. zm.).

Szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Warszawie uznał, że skoro do wypadku doszło z powodu niezachowania należytej ostrożności w wykonywaniu przez żołnierza manewru wyprzedzania, to zostały spełnione przesłanki prawne odmowy wypłaty odszkodowania dla wdowy i dzieci. Tym bardziej że zgodnie z art. 7 pkt 1 te same ustawy świadczenia w niej określone nie przysługują w razie wypadku lub choroby, których wyłączną przyczyną było udowodnione przez właściwy organ umyślne lub rażąco niedbałe działanie albo zaniechanie żołnierza, naruszające obo-

wiązujące przepisy lub rozkazy, jeżeli jego przełożeni zapewnili warunki odpowiadające tym przepisom, a żołnierz miał umiejętności potrzebne do wykonywania określonych czynności i był należycie przeszkolony ze znajomości tych przepisów.

29 lipca 2014 roku przed Sądem Rejonowym dla m.st. Warszawy (sprawa o sygn. akt. VII U 52/14) zapadł wyrok, na mocy którego zostało oddalone odwołanie wdowy po żołnierzu. Jednocześnie sąd uznał, że sankcja za naruszenie przepisów przez zmarłego żołnierza rozciąga się również na jego członków rodziny, ustawowo uprawnionych do odszkodowania.

Wyrok nie jest prawomocny. Rodzina zmarłego zapowiedziała wniesienie apelacji. Uważa bowiem, że przepis ustawy mówiący o sankcji dla żołnierza zawodowego nie powinien dotyczyć rodziny, która została najbardziej poszkodowana w tej sytuacji, a pozbawienie jej prawa do odszkodowania pozostawałoby w sprzeczności z celem zapisów ustawy. Podobne stanowisko zaprezentował już Sąd Najwyższy w wyroku z 9 grudnia 1997 roku (II UKN 377/97), w którym jest mowa o tym, że: „Członkom rodziny pracownika, który zmarł wskutek wypadku przy pracy, przysługuje jednorazowe odszkodowanie pieniężne niezależnie od tego, czy pracownik przyczynił się i w jakim stopniu do wypadku przy pracy”. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Do you speak English?

To druga część pisemnej części egzaminu poziomu trzeciego. Nie ma tu miejsca na notatki, dlatego, zanim zaczniesz pisać, przemyśl swoją wypowiedź, pamiętając o limicie słów.

Level 3



Task Two

Zadanie drugie pisemnej części egzaminu – raport do wojskowej agencji/komisji NATO – przysparza zdającym wiele problemów. W tym zadaniu będziesz poproszony o dostarczenie w zwięzłej formie (200–250 słów) jak największej ilości informacji na temat sytuacji na misji, opinii żołnierzy na jakiś temat itd. Polecenie dokładnie określa, co ma zawierać Twoja odpowiedź.

Pod poleceniem, jako ułatwienia, znajdują się dodatkowe informacje, które możesz wykorzystać, jednak nie wolno ich cytować słowo w słowo. Możesz również przedstawić swoją własną opinię na zadany temat, bez wykorzystywania informacji pomocniczych.

Przy ocenie komisja zwraca uwagę na poprawność stylistyczną i gramatyczną. Zdarza się, że niektórzy zdający nie mają pewności co do pisowni jakiegoś wyrazu, więc piszą go niewyraźnie. Nie jest to dobry sposób, bo nieczytelny charakter pisma jest również negatywnie oceniany. Niedopuszczalne są literówki w użytych słowach i kolokwializmy. Nie używaj też idiomów i zbyt często strony biernej. Twoim najważniejszym zadaniem jest klarowna komunikacja informacji. W tej części egzaminu komisja nie przewidziała miejsca na notatki, dlatego zanim zaczniesz pisać, przemyśl swoją wypowiedź, pamiętając o limicie słów.

Przykład:

Write a report for the NATO health commission about the state of military health service in Poland. Write about current situation (1), possible causes of present problems and their consequences (2), and steps that should be taken to remedy the situation (3).

Write between 200–250 words. The information below is given to help you, but does not have to be used. Remember not to copy the exact phrasing of the task instructions or input! Otherwise, you will be penalized.

To: Col James Hunt

From: 2ndLt... (pamiętaj, aby nie wpisywać siebie jako adresata raportu)

Subject: Polish military healthcare.

Date: mm/dd/yy

The objective of this report is to describe current situation of military healthcare in Poland, to determine the issues that hamper that service, and suggest possible solutions to deal with encountered issues.

Następnie w trzech punktach rozwiń zagadnienia postawione w poleceniu:

- 1) description of current situation,
- 2) explanation of possible causes of present problems and their consequences,
- 3) steps that should be taken to remedy the situation.

W trakcie przygotowań do egzaminu warto zawsze mieć pod ręką THESAURUS, aby wypisywać synonimy kluczowych czasowników i rzeczowników, np. *problem/issue, remedy/solution*. W ten sposób szybko rozszerzysz swoje słownictwo.

Na tym etapie największym problemem zdających jest *overconfidence*, czyli zbyt duża pewność siebie, której rezultatem są błędy gramatyczne. Trzymaj się poniższego schematu. Nie możesz pomijać części zdania, w tabeli zaznaczonych na czerwono.

OPRACOWAŁ ARKADIUSZ SAWA

Jeśli masz jakiegokolwiek pytanie związane z egzaminem, wyślij e-mail do autora: areksawa@yahoo.com.au

Slot 1	Slot 2	Slot 3	Slot 4	Slot 5	Slot 6	Slot 7	Slot 8
optional	obligatory	optional	obligatory	obligatory after linking verbs	obligatory if the verb is transitive optional if the verb is intransitive	optional	optional
adverbial / prepositional phrase	subject noun phrase	subject post-modification noun phrase or prepositional phrase or phrases describing the subject /relative clause /participle clause	predicate verb phrase (tenses)	subject complement	object noun phrase	object complement a prepositional phrase describing the object	adverbial / prepositional phrase
On the 26 th January	I		was		on a foot patrol.		
In the abandoned hospital building	insurgents		established		observation post.		
On Saturday	I		was	sick			after partying all night long.
	The battle of Jenin	in early April 2002	was		the most difficult campaign		in the current conflict.

ŁATWE

Nalewka z orzechów laskowych

Dwadzieścia orzechów, dwie szklanki wody, dwie szklanki spirytusu 96-procentowego, szklanka cukru, laska wanilii, skórka z pomarańczy, pięć goździków.

Rozbijamy skorupy orzechów, obieramy je dokładnie z brązowej skórki i drobno siekamy. Szykujemy syrop.

Wsypujemy cukier do zagotowanej wody, mieszamy do rozpuszczenia i dodajemy skórkę ze sparzonej pomarańczy. Odstawiamy do wystygnięcia. Laskę wanilii przekrawamy wzdłuż, wrzucamy do dużego słoja razem z posiekanymi orzechami i goździkami. Zalewamy syropem, z którego wyjmujemy skórkę pomarańczy, i spirytusem. Mieszamy,

zamykamy słoje i odstawiamy na miesiąc. Co kilka dni nim wstrząsamy. Po tym czasie filtrujemy nalewkę i przelewamy do butelek. Odstawiamy jeszcze na trzy miesiące.

Najlepsza jest nalewka robiona własnie na własnoręcznie zerwanych świeżych orzechach, a takich nie można kupić w sklepie. Krzewy leszczyny znajdziemy rosnące dziko w lasach liściastych, w zaroślach na polach i na suchych stokach. Owoce dojrzewają od września do października. AD ■

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA



PIOTR BERNABIUK

Kandydaci na żołnierzy nad podziw dobrze wypadali w teście dotyczącym działania wojsk rozpoznawczych. Ich wiedza na temat broni i taktyki imponowała egzaminatorom. Problemy pojawiły się dopiero przy tematach związanych z bytowaniem w warunkach naturalnych.

„Jak długo żołnierz może przetrwać w warunkach naturalnych bez jedzenia?”

„Dopóki catering nie przyjedzie”.

„A jeśli zostaniemy odcięci od sił własnych, znajdziemy się na terytorium zajęтым przez siły przeciwnika i catering nie ma szansy do nas dotrzeć, to co zrobimy?”

„Trzeba zadzwonić po pizzę”.

„Załóżmy jednakże, że znajdujemy się w głębi lasu...”

„Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby pizza gdziekolwiek nie dojechała. Kiedyś zamówiliśmy z kumplami na plażę...”

„Proszę wziąć pod uwagę, że dostawcę może namierzyć przeciwnik i zamiast pizzy będziecie mieli atak z powietrza. Może jednak spróbujecie zdobyć żywność w środowisku naturalnym?”

„No tak, ale mówił pan chorąży, że będziemy w lesie, a nie w naszym środowisku naturalnym”.

„W takim razie, jak byście pozyskali żywność w lesie?”

„Zbierałbym jagody i grzyby...”

„W listopadzie?”

„Acha, w listopadzie. No to...”

Przepraszam, takiego egzaminu nie było. Jeszcze nie było, bo zdaniem zaprzyjaźnionego podoficera szkoleniowca przytoczony dialog jest kwestią nieodległej przyszłości: „Rozmawiałem z moim sześciolatkiem synem na temat zwierzątek. Zaimponował mi rozległą wiedzą o krokodylach i rekinach. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia o świnkach, kurkach i krówkach. A na pytanie, skąd się bierze kotlecik, jednym

tchem wymienił kolekcję sklepów sieciowych. Zdesperowany zabrałem dzieciaka do lasu. Z bogactwa przyrody wyróżnił choinkę. Opisał też skrupulatnie znaną przyrodzie puszkę po coli light. To wszystko. Mam nadzieję, że nie zechce zostać zwiadowcą”.

Survival z pizzą



TRUDNE

Łagodny sos chrzanowy

Trzy świeże korzenie chrzanu, trzy łyżki soku z cytryny, szklanka gęstej śmietany co najmniej 18-procentowej, jabłko, cukier i sól.

Korzenie chrzanu myjemy i obieramy. Wkładamy do lodówki na co najmniej godzinę. Dzięki temu chrzan będzie mniej szczyptał w oczy podczas tarcia. Trudność tego przepisu polega bowiem nie na skomplikowanym przygotowaniu, ale drobnym utarciem ostrego chrzanu. Najlepiej robić to poza domem. Korzeń ścieramy na drobnej tarce. Dodajemy do niego sok z cytryny, aby nie ściemniał, śmietanę i starte jabłko. Doprawiamy solą i cukrem. Wkładamy sos do słoika i przechowujemy w lodówce. To świetny dodatek do mięs, wędlin czy jajek.

Chrzan rośnie w Polsce przy drogach, w rowach i na polach uprawnych. Najsmaczniejsze są korzenie wykopywane późną jesienią. W domu można je trzymać w lodówce, ale krótko i koniecznie zawinięte w folię, aby nie wyschły. Chrzan ma działanie bakteriobójcze, pobudza wydzielanie soków trawiennych i działa przeciwwirusowo. Okłady ze świeżo utartego korzenia pomagają też na reumatyzm. AD ■







NORBERT
BĄCZYK



TADEUSZ
WRÓBEL

| M S P O K I E L C E |

SALON REKORDÓW

W XXII Międzynarodowym Salonie Przemysłu
Obronno uczestniczyło niemal 500 firm,
o sto więcej niż przed rokiem.



NORBERT BĄCZYK



→ SALON REKORDÓW

Za najważniejsze wydarzenie tegorocznego XXII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach należy uznać zawarcie 2 września wieloletniej umowy na zakup przez Litwę przenośnych przeciwlotniczych zestawów Grom. Dokument podpisali: ze strony polskiej sekretarz stanu MON Czesław Mroczek, prezes zarządu Mesko SA Waldemar Skowron, dyrektor ds. sprzedaży i marketingu tej firmy Piotr Jaromin, a ze strony litewskiej krajowy dyrektor ds. uzbrojenia gen. Gintautas Zenkewicius. W ramach umowy o wartości 34 mln euro (ok. 140 mln zł) Litwa zakupiła zestawy Grom wraz pakietami szkoleniowym, obsługowym i technicznym. Pierwsze zestawy trafiają na Litwę już w tym roku, a cały kontrakt będzie realizowany do 2021 roku. Umowa jest tym bardziej znamieną, że litewskie siły zbrojne używają amerykańskie singery, ale nie są zadowolone z ich krótkiej żywotności eksploatacyjnej i kosztownej obsługi. Jest to dotąd niezwykle rzadki przypadek w ponad 20-letniej historii kieleckiego salonu podpisanie kontraktu na sprzedaż uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

Innym znaczącym wydarzeniem drugiego dnia XXII MSPO była oficjalna inauguracja Polskiej Grupy Zbrojeniowej z udziałem między innymi ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka, ministra skarbu Włodzimierza Karpińskiego i prezesa grupy Wojciecha Dąbrowskiego. „Od

dawna chcieliśmy mieć jednego silnego partnera po stronie polskiego przemysłu. Liczymy, że Polska Grupa Zbrojeniowa jak najszybciej ruszy do pracy”, stwierdził szef MON. PGZ docelowo ma kontrolować ponad 30 spółek przemysłu obronnego, stoczniowego i instytutów badawczych podległych wcześniej resortom skarbu państwa i obrony narodowej.

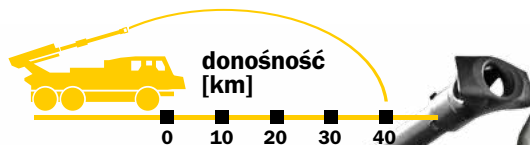
Tegorocznemu MSPO towarzyszyła wystawa narodowa Francji. Można było na niej zobaczyć między innymi elementy oferowanego Polsce systemu obrony przeciwrakietowej SAMP/T, kołowy transporter opancerzony VAB Mk 3 i śmigłowiec uderzeniowy Tiger. W sumie w MSPO uczestniczyło około 20 wystawców z Francji. Bardzo silnie reprezentowany był też w Kielcach przemysł obronny USA, Turcji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, Izraela i Kanady. Wiele firm przywiozło sprzęt wojskowy pod kątem przetargów, które w najbliższym czasie będą ogłoszone w Polsce, na przykład bezałogowe statki powietrzne i różnorodnie lekkie pojazdy opancerzone. Na XXII targach pojawiło niemal 500 firm z 27 państw świata, o 100 więcej niż przed rokiem. Przy czym wystawców zagranicznych było prawie dwa razy więcej.

Tradycyjnie elementem salonu jest wystawa Sił Zbrojnych RP. Wielu ze zwiedzających nie kryło rozczarowania, że nie pokazano na niej najnowszych czołgów Leopard 2A5. ■

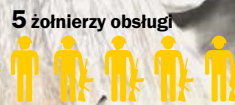
ARMATOHĄBICA

Premiera kryła

Armatohaubica samobieźna kalibru 155 mm Kryl to bez wątpienia najważniejsza premiera tegorocznego MSPO.



Huta Stalowa Wola zaprezentowała jako część projektu dywizjonowego modułu ogniowego o kryptonimie „Kryl”. Działo, izraelski ATMOS 2000 kalibru 155 mm firmy Elbit, zostało umieszczone na zupełnie nowym nośniku, również prototypowym samochodzie ciężarowym Jelcz 663.32 6x6 (Jelcz sp. z o.o. należy do Grupy HSW). Projekt ten jest realizowany od 2011 roku, między innymi za pieniądze Narodowego Centrum Badań



waga
23 t



długość
10,3 m



L-ATV

Propozycja Oshkosha

Czołowy dostawca pojazdów kołowych dla sił zbrojnych USA Oshkosh Defense promował w tym roku w Kielcach lekki terenowy wóz bojowy L-ATV, w którym zastosowano opracowany w tej firmie inteligentny system niezależnego zawieszenia kół TAK-4i. Pojazd ma możliwość regulacji wysokości, lepszą amortyzację i większy zakres skoku koła.

L-ATV zapewni załodze poziom ochrony podobny jak w pojazdach minoodpornych. Standardowo jest on oferowany z silnikiem wysokoprężnym, ale może być też wyposażony w napęd hybrydowy, z silnikami spalinowym i elektrycznym. W R

NORBERT BACZYK

SAMOLOT Z KOMPOZYTÓW

Atlante po polsku

Ważnym wydarzeniem na tegorocznym MSPO było nawiązanie ścisłej współpracy między Airbus Defence & Space (właścicielem m.in. zakładów na Okęciu) a Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych w dziedzinie rozwoju bezałogowych statków powietrznych. Podstawą do współdziałania ma być dalszy rozwój w Polsce opracowanego już przez hiszpańskich specjalistów BSP Atlante (maszyna została już w Hiszpanii certyfikowana), w Kielcach nazwanego IT-AIR-1. Jego polonizacją ma zająć się ITWL.

Masa startowa Atlante wynosi 570 kg, z czego 100 kg to między innymi kamery telewizyjne lub termowizyjne, uzbrojenie. Samolot jest zbudowany z kompozytów, w układzie grzbietopłata z usterzeniem motylkowym. Rozpiętość skrzydeł wynosi 8 m, długość całkowita 5,47 m, wysokość 1,99 m. BSP może przebywać w powietrzu do 14 go-

dzin, operując na pułapie nawet 6 km, i poruszać się z prędkością maksymalną 200 km/h. Starty odbywają się z kaptuły lub tradycyjnie z pasa.

Choć Atlante został już zaprojektowany i przetestowany, w Polsce ma powstać wersja na bazie doświadczeń inżynierów ITWL oraz Airbusa. B N



NORBERT BACZYK

i Rozwoju, a jego efektem ma być wykonanie do końca 2015 roku sprawdzonego w serii prób prototypu armatohaubicy oraz opracowanie dokumentacji do produkcji seryjnej.

Kryl ma być odpowiedzią na potrzebę posiadania przez wojsko ciężkiej artylerii dla jednostek wysokiej mobilności. Dlatego wybrano podwozie kołowe (nośnik samochodowy) zamiast gąsienicowego, które gorzej sprawdza się

w trudnym terenie, ale jest za to łatwiejsze w obsłudze, zdolne do szybkich zmian stanowisk ogniowych, a przede wszystkim intensywnych i częstych przemarszów własnymi siłami na duże odległości.

Kabina Jelcza 663.32 mieści pięciu żołnierzy obsługi, a działło samobieżne wraz z paliwem i amunicją waży 23 t (pojazd

można przystosować do transportu drogą powietrzną, redukując jego masę do 19 t – to ważne, bo teoretycznie kryl powinien móc być transportowany w ładowni samolotu C-130). ATMOS 2000 kalibru 155 mm na 52 kalibry długości, może być unoszony pod kątem do +70° (elewacja) i po 25° w azymucie. Szybkostrzelność teoretyczna wynosi sześć strzałów na minutę, a donośność zależy oczywiście od użytej amunicji, maksymalnie sięgając nawet 40 km. Przebieg z położenia pierwszego strzału powinno odbywać się w ciągu minuty.

Cały kryl mierzy 10,3 m długości, 3,4 m wysokości oraz 2,5 m szerokości. Samochód wyposażono w silnik wysokoprężny, 6-cylindrowy MTU 6R106TD21 o mocy do 326 KM, co pozwala rozpędzić kryla nawet do 90 km/h. W 2015 roku powinny zakończyć się badania tego zupełnie nowego pojazdu i wówczas będzie można powiedzieć, w jakim stopniu przedstawiony prototyp będzie podobny do rozwiązania docelowego. B A C Z

MILITARIUM STUDIO P.K./H.S.W.

ATMOS 2000

może być unoszony pod kątem +70 stopni



silnik
MTU
6R106TD21



szerokość
2,5 m

wysokość
3,4 m



ARMATOHAUBICA

Bezzałogowa wieża

NORBERT BĄCZYK

Zdalnie sterowany system wieżowy kalibru 30 mm to jedna z nowości na stoisku Huty Stalowa Wola.

Na razie to tylko pełnowymiarowa makietka. HSW oraz WB Electronics od wiosny 2013 roku prowadzą prace badawczo-rozwojowe, które do wiosny 2015 roku mają zaowocować powstaniem funkcjonalnego prototypu bezzałogowej wieży dla rosomaków

i innych docelowych bojowych wozów piechoty, uzbrojony w 30 mm armatę szybkostrzelną oraz zdwojoną wyrzutnię ppk Spike.

Wieża ma zostać wyposażona w SKO typu hunter-killer, stabilizowane przyrządy optoelektroniczne (obser-

wacyjno-celownicze), peryskop, system samoobrony SSP-1 Obra, wyrzutnie granatów dymnych. A wszystko to powinno zostać osłonięte pancernem. Tyle że system musi być na tyle lekki, aby wyposażony w niego rosomak zachował możliwość pływania. NOR ■

GMV

Kuzyn humvee

Znana z produkcji samochodów ZHMMWV amerykańska firma AM General pojawiła się na tegorocznym MSPO z pojazdem GMV (Ground Mobility Vehicle) 1.1, który jest przeznaczony dla wojsk specjalnych. Producent podkreśla, że ten wóz ma dużą ładowność przy małej masie własnej. Jego innymi walorami jest możliwość zamontowania uzbrojenia w sześciu różnych punktach i transportu pojazdu we wnętrzu chinooka. Zasięg GMV 1.1 wynosi 483 km, a maksymalna prędkość na utwardzonej nawierzchni przekracza 129 km/h. w ■

HAWKEI

Wąż z antypodów

Wtym roku w Kielcach można było zobaczyć lekki pojazd opancerzony firmy Thales Australia, którego nazwa Hawkei pochodzi od jadowitego australijskiego węża. Jego masa własna, zależnie od wersji, wynosi 6,8 t lub 7 t. Choć we wszystkich wariantach zachowano ten sam rozstaw osi, to ich długość jest różna – od 5780 mm do 6225 mm. Wersja dla wojsk specjalnych mieści do sześciu osób i ma trzy punkty montażu uzbrojenia. W wersji podstawowej z opancerzoną kabiną, w której przestrzeń chroniona ma 5,3 m³, mieści się do sześciu osób. Wersja wielofunk-



NORBERT BĄCZYK

cyjna (utility) to opancerzona kabina dla trzech osób i platforma transportowa, na której można przewozić ładunki o długości 2 m, szerokości 2,4 m i wysokości 1,5 m. Poziomy ochrony balistycznej i przeciwminowej wozu Hawkei mogą być różne, zależnie od wymagań zamawiającego. w w ■

HOLOWNIK LOTNISKOWY

Pegaz do holowania

Choć na tegorocznym MSPO wszyscy odmieniali przez przypadek słowo „pegaz”, to odnosiło się ono do Polskiej Grupy Zbrojeniowej (PGZ – zwanej potocznie Pegazem). Tymczasem „Pegaz” to także kryptonim wozu specjalnego i rozpoznawczego, a w Kielcach miał również premierę holownik lotniskowy z Warszawskiego Wojskowego Centralnego Biura Konstrukcyjno-Technicznego SA o takiej właśnie nazwie. Służący do holowania statków powietrznych o masie do 25 t pojazd jest naszej armii pilnie potrzebny, bo dotąd nie wypracowano w tej dziedzinie jednolitego standardu.

Na razie pegaz jest prototypem. Ma napęd hydrostatyczny, czyli oprócz głównej jednostki napędowej – diesla o mocy 65 KM, jest wyposażony w silniki hydrauliczne w kołach tylnej osi. Może być także obsługiwany spoza kabiny. N B ■



K. WILEWSKI

ŚMIGŁOWIEC UDERZENIOWY

Tiger po raz pierwszy

W Kielcach po raz pierwszy w Polsce zaprezentowano produkowaną przez Airbus Helicopters śmigłowiec uderzeniowy Tiger. Na stoisku można było zobaczyć maszynę w wersji HAD (Hélicoptère d'Appui Destruction) z uzbrojeniem zintegrowanym według

wymagań armii francuskiej. Oprócz działka kalibru 30 mm z 450 pociskami maszyna może przenosić amerykańskie przeciwpancerne pociski kierowane Hellfire (do ośmiu), przeciwlotnicze Mistral oraz niekierowane rakiety kalibru 68 mm (do 68 sztuk). W R ■

PARK PONTONOWY IRB

Most na kołach

General Dynamics Land Systems prezentował na MSPO zmodernizowany park pontonowy IRB na podwoziu samochodu ciężarowego Jelcz. Pontony pływający i brzegowy mają 6,92 m długości i 8,63 m szerokości

po rozłożeniu i ważą 6350 kg. Szerokość użytkowa dla podwójnego pasa ruchu w różnych kierunkach wy-

nosi 6,75 m. Elementem parku jest kuter holowniczy BEB.

Montaż mostu o długości 100 m z dwóch pontonów brzegowych i 13 pływających trwa około pół godziny. Nowa rampa załadunkowa, pochylona pod kątem 30°, umożliwia pokonywanie skarpy brzegowej do 2 m z poziomu lustra wody. Pontony można też wykorzystywać jako promy. Park IRB jest klasy MLC 80, czyli można przewozić nim pojazdy gaśnicowe o masie do 80 t i kołowe do 96 t. T E D ■

NORBERT BACZYK



Pontony
po rozłożeniu
ważą 6350 kg

Wyróżnienie ministra obrony narodowej

Fabryka Broni Łucznik – Radom sp. z o.o. z Radomia oraz Wojskowa Akademia Techniczna im. Jarosława Dąbrowskiego z Warszawy za karabinek standardowy (podstawowy) kalibru 5,56 mm i karabinek reprezentacyjny kalibru 5,56 mm modułowego systemu broni strzeleckiej kalibru 5,56 mm (MCBS 5,56)

O P O - 1 7 0 T

Nowe oczy

Przedsiębiorstwo Prexer zaprezentowało na MSPO nowe urządzenie obserwacyjne dla pojazdów pancernych, opracowane we współpracy z firmą Vigo System. Przyrząd termowizyjny OPO-170T jest wyposażony w dwie kamery: termowizyjną i dzienną TV. Tym samym, co podkreśla jego wytwórca, urządzenie łączy w sobie dwie funkcje – peryskopu dziennego i termowizora. Obraz pochodzący z tych kamer jest wyświetlany na monitorze LCD. OPO-170T ma masę 1,8 kg i jest zamienny z użytkowymi obecnie przyrządami TNPO-170A i OPO-170F. Można go montować w bojowych wozach piechoty i kołowych transporterach opancerzonych. W T ■

WOJSKA SPECJALNE

Modułowy pojazd



NORBERT BĄCZYK

Niemiecka firma Krauss-Maffei Wegmann na tegorocznych targach zbrojeniowych w Kielcach zaprezentowała lekki pojazd z przeznaczeniem dla

jednostek rozpoznawczych i wojsk specjalnych. Może się nim przemieszczać od trzech do sześciu żołnierzy. Podwozie wozu, który ma masę bojową 7,5 t (pusty waży 5 t), zapewnia im ochronę przeciwmimową i balistyczną. Główne uzbrojenie stanowi wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm lub granatnik kalibru 40 mm zamontowany na obrotnicy, ale można ją zastąpić zdalnie sterowanym modulem uzbrojenia.

Zasięg działania bojowego pojazdu to 900 km. Wóz w wariantcie z otwartym dachem może być transportowany we wnętrzu śmigłowca Ch-47 Chinook lub CH-53, bo można złożyć stelaż z obrotnicą, obniżając w ten sposób jego wysokość z 2632 mm do 1870 mm. w w ■



NORBERT BĄCZYK

LPU-1 WIRUS

Wszechstronny

Konsorcjum Polskiego Holdingu Obronnego z firmami Concept sp. z o.o., Zakładami Mechanicznymi „Tarnów” SA, Przedsiębiorstwo Sprzętu Ochronnego „Maskpol” SA i Cenrex sp. z o.o. pokazało w Kielcach pojazd bojowy klasy LSV (Light Strike Vehicle) LPU-1 Wirus. Ładowność pojazdu, którym mogą się przemieszczać trzy lub cztery osoby, wynosi około 1,3 t, a dopuszczalna masa całkowita to 3 t. Podwozie, które opancerzono z wykorzystaniem materiałów kompozytowych, zapewnia ochronę przeciwmimową na poziomie 1. według STANAG 4569. Pojazd może być przewożony między innymi samolotem transportowym C-130 lub podwieszony pod śmigłowcem. Normalizacja gniazd montażowych różnej broni sprawia, że uzbrojenie może być konfigurowane zależnie od charakteru misji bojowej. w t ■

SHERPA LIGHT

Francuska propozycja

W tym roku Francuzi przywieźli do Kielc samochód Sherpa Light. Powstało pięć wersji pojazdów na bazie tego samego podwozia. W tej dla wojsk specjalnych sherpa ma masę 10,4 t, ładowność 2 t i może pomieścić we wnętrzu pięć osób. W odmianie patrolowo-rozpoznawczej scout masa wozu waha się od 7,9 do 10,4 t. Z tym jest związana też różna ładowność: 1–4,15 t. W kabinie samochodu przewidziano miejsce dla pięciu żołnierzy, a jego zasięg wynosi aż

1400 km. Największą masę, do 10,9 t, ma lekki transporter opancerzony, w którego wnętrzu mieści się dwuosobowa załoga i ośmiu pasażerów. Odmiana transportowa ma natomiast tylko dwuosobową opancerzoną kabinę i platformę, na której można na przykład zamontować kontenerowe stanowisko dowodzenia, wyrzutnie pocisków przeciwpancernych lub przeciwlotniczych, moździerz, armatę 20-milimetrową czy 105-milimetrowe działo bezodrzutowe. w w r ■

MSPO 2014 Nagrody i wyróżnienia

Nagroda Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej dla produktu najlepiej służącego podniesieniu poziomu bezpieczeństwa żołnierzy Sił Zbrojnych RP

- PIMCO sp. z o.o. z Warszawy oraz Teldat sp. z o.o. spółka komandytowa z Bydgoszczy za automatyczny sygnalizator skażeń Prometheus zintegrowany z Jaśminem – systemem systemów.

Nagroda Defender

- Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii z Warszawy za mobilne laboratorium do poboru próbek środowiskowych i identyfikacji zagrożeń biologicznych;

- PCO SA z Warszawy za stabilizowaną obserwacyjno-celowniczą głowicę optoelektroniczną;

- Wojskowe Centralne Biuro Konstrukcyjno-Technologiczne spółka akcyjna z Warszawy za holownik lotniskowy Pegaz;

- Kongsberg Defence & Aerospace AS z Norwegii oraz PIT-RADWAR SA z Warszawy za system rakiety NSM;

- Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych z Warszawy za bezzałogowy statek powietrzny Atrax;

- Lubawa SA z Ostrowa Wielkopolskiego za lekki kombinezon przeciwdławkowy Titania Microflown Avisa BV z Holandii za Acoustic

Vector Sensor do lokalizacji pocisków snajperskich, artyleryjskich, przeznaczonych do integracji z bezzałogowymi statkami powietrznymi klasy micro i mini;

- Zakłady Mechaniczne Tarnów SA z Tarnowa za obiekt szkolenia podstawowego i zaawansowanego użytkowników broni osobistej;

- PIT-RADWAR SA z Warszawy we współpracy z EUROTECH sp. z o.o. z Mielca za bezzałogowy system lotniczy BSL E-310;

- Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia z Zielonki za nabój z dalekonośnym pociskiem odłamkowo-burzącym do 120 mm do moździerza samobieżnego Rak.



Jednostka Wojskowa Komandosów

Jednostka w Lublińcu należy do wojsk specjalnych i pod obecną nazwą funkcjonuje od 1 października 2011 roku. Wcześniej, w latach 1995–2011, była znana jako 1 Pułk Specjalny Komandosów, a w latach 1993–1995 jako 1 Pułk Specjalny. Zespoły bojowe JWK dziedziczą tradycje 1 Samodzielnej Kompanii Commando, walczącej na Zachodzie, Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego, działającego na froncie wschodnim, oraz bata-

lionów Armii Krajowej „Parasol”, „Zośka” i „Miotła”. Do jej zadań należy prowadzenie różnorodnych operacji specjalnych w czasie pokoju, kryzysu i wojny. Komandos z Lublińca są przygotowani do wykonywania między innymi rozpoznania specjalnego, akcji bezpośrednich i działań niekonwencjonalnych, jak również misji związanych ze zwalczaniem terroryzmu. Dlatego uczestniczyli w licznych operacjach poza granicami Polski, w tym w Afganistanie i Iraku. ■

Nr 10.

Ubiór polowy

KOMANDOS, JEDNOSTKA WOJSKOWA KOMANDOSÓW (2014 ROK)

Przedstawiamy żołnierza wojsk specjalnych w ubiorze polowym. Dwuczęściowe mundury w kamuflażu MultiCam są nazywane też kombinezonami ćwiczebnymi. Na kieszeni, na prawym rękawie bluzy jest widoczna oznaka rozpoznawcza. Całość dopełniają kapelusz i buty taktyczne. Komandos używa ponadto rękawiczek taktycznych, okularów balistycznych i siatki maskującej. Żołnierz ma patrolowy zestaw słuchawkowy i szelki taktyczne do taktyki zielonej z zasobnikami na wyposażenie, między innymi radiostację i nóż wielofunkcyjny. Potrzebne podczas misji rzeczy nosi również w plecaku patrolowym i zasobniku cargo pod nim. Podstawowym uzbrojeniem komandosa jest ręczny karabin maszynowy FN Minimi Mk 3 kalibru 7,62 mm. Do broni jest podpięty zasobnik z 200-nabojową taśmą rozsypaną i celownik optyczny. Następne zasobniki z amunicją są przy szelkach taktycznych. Dodatkową bronią komandosa jest pistolet HK USP kalibru 9 mm.

Nr 11.

Spadochroniarz, 6 Brygada Powietrzno-desantowa (2014 rok)



OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



Nr 10.

KOMANDOS, JEDNOSTKA
WOJSKOWA KOMANDOSÓW
(2014 ROK)



Podstawowe uzbrojenie – ręczny
karabin maszynowy FN Minimi Mk 3
kalibru 7,62 mm



Kapelusz, okulary balistyczne
i siatka maskująca

Monika Rokicka

RYS. MONIKA ROKICKA



PIOTR STOKARSKI

Pora na scouta

Tuż przed szczytem NATO brytyjski rząd ogłosił zawarcie największego od około 30 lat kontraktu na dostawę nowych pojazdów pancernych.



Główną wersją w rodzinie pojazdów Scout SV jest wóz rozpoznawczy. Jego podstawowe uzbrojenie stanowi armata kalibru 40 mm systemu artyleryjskiego CTAS.

Brytyjskie ministerstwo obrony 3 września 2014 roku podpisało z General Dynamics UK kontrakt o wartości 3,5 mld funtów szterlingów na zakup 589 gąsienicowych pojazdów pancernych Scout SV (specialist vehicles). „Dzisiejsza umowa to fantastyczna wiadomość dla naszych żołnierzy, gdyż zapewni im najbardziej wszechstronne i zaawansowane technologicznie opancerzone pojazdy bojowe do pokonywania przyszłych zagrożeń”, stwierdził minister obrony Michael Fallon. „To największe pojedyncze zamówienie na pojazdy pancerne złożone przez ministerstwo obrony od około 30 lat. Jednocześnie to jedna z inwestycji, które mają sprawić, że Wielka Brytania będzie bezpieczna”. Również premier David Cameron zwracał uwagę na to, iż jest to największy kontrakt od lat osiemdziesiątych XX wieku. Minister Fallon podkreślił jeszcze, że umowa na produkcję nowych pojazdów pancernych pozwoli utrzymać 1300 miejsc pracy w kluczowych przedsiębiorstwach przemysłu obronnego na terenie Wielkiej Brytanii.

TRZY W JEDNYM

Opracowany przez firmę General Dynamics UK, mającą siedzibę w Oakdale w południowej Walii, Scout SV opiera się na technologii opracowanego wspólnie przez Austrię i Hiszpanię bojowego wozu piechoty ASCOD (Austrian Spanish Cooperation Development). W armii pierwszego z tych państw znany jest jako Ulan, a drugiego jako Pizarro. Umowę na fazy demonstracyjną i kwalifikacyjną o wartości 500 mln funtów szterlingów resort obrony podpisał z General Dynamics UK 1 lipca 2010 roku. Firma zobowiązała się wówczas między innymi do wyprodukowania siedmiu prototypów, w tym wozu rozpoznawczego i pojazdów specjalistycznych na bazie wspólnej platformy bazowej.

Główną wersją w rodzinie pojazdów Scout SV jest wóz rozpoznawczy. Jego najważniejsze uzbrojenie stanowi armata kalibru 40 mm systemu artyleryjskiego CTAS (Case Telescoped Armament System), w którym jest wykorzystywana amunicja teleskopowa. Armata została sprzężona z karabinem maszynowym kalibru 7,62 mm. Uzbrojenie zamontowano w dwuosobowej wieży, którą opracowała firma

Lockheed Martin UK we współpracy z Rheinmetall Landsysteme. Na wieży są też wyrzutnie granatów dymnych.

Do armii brytyjskiej trafi 245 wozów rozpoznawczych, które w przyszłości staną się jej „oczami i uszami”. Te pojazdy będą produkowane w trzech wariantach. Najwięcej, bo aż 198 w wersji podstawowej rozpoznawczo-uderzeniowej, dostaną pododdziały rozpoznawcze jednostek kawalerii pancernej. Scout SV zastąpi w nich stare gąsienicowe bojowe pojazdy rozpoznawcze Scimitar. Do brytyjskich sił lądowych trafią 23 wozy rozpoznania i obserwacji artylerii. Kolejne 24 egzemplarze Scout SV będą natomiast wyposażone w wynośny radar pola walki.

WSPÓLNA PLATFORMA

Do armii brytyjskiej trafią też pojazdy wsparcia skonstruowane na bazie tej samej platformy, które zastąpią takie wozy, jak Spartan (mały transporter opancerzony), Sultan (wóz dowodzenia) czy Samson (wóz zabezpieczenia technicznego).

Najwięcej spośród pojazdów pomocniczych będzie wóz dowodzenia – aż 112. Wojsko otrzyma też 59 małych transporterów, w których wnętrzu, oprócz dwuosobowej załogi, zmieści się czterech pasażerów. Kolejne 51 maszyn Scout SV będzie w wersji rozpoznania inżynierskiego. Zostaną one wyposażone między innymi w system do oznaczania dróg przejazdu. Zamówiono też 34 pojazdy osłony i wsparcia oraz 88 wozów zabezpieczenia technicznego, w tym 38 do ewakuacji uszkodzonych pojazdów.

Prace nad rodziną Scout SV nie są jeszcze ukończone, dlatego ich dostawy rozpoczną się w 2017 roku. Pierwszy szwadron rozpoznawczy ma być w pełni wyposażony do połowy 2019 roku. Dostawy Scout SV potrwać do 2024 roku. „Scout jest programem transformacyjnym, który nie tylko odświeży nasze bojowe zdolności pancerne, lecz także sprawi, że armia pozostanie podstawową siłą manewrową”, stwierdził gen. sir Peter Wall, szef sztabu generalnego armii brytyjskiej. ■

GENERAL DYNAMICS UK



PAWEŁ HENSKI

Niezamierzony oblot

Czterdzieści lat temu został oblatany YF-16
– prototyp późniejszego myśliwca F-16.
Doszło jednak do tego trochę przez przypadek...

Firma General Dynamics, która zbudowała prototyp YF-16, zaplanowała jego pierwszy lot na 2 lutego 1974 roku. Miał się odbyć w kalifornijskiej bazie sił powietrznych Edwards. 7 stycznia 1974 roku samolot przetransportowano na pokładzie C-5A Galaxy z zakładów General Dynamics w Fort Worth w Teksasie do Kalifornii. Tam najpierw miały się odbyć próbne kołowania, następnie oficjalne oblatanie samolotu.

NIESPODZIANKA NA PASIE

Do prób wyznaczono grupę doświadczonych pilotów firmy General Dynamics, wśród których znaleźli się: Phil Oestricher (pierwszy pilot), Jim Rider, Neil Anderson oraz Duke Johnston. 20 stycznia 1974 roku Phil Oestricher miał wykonać szybkie kołowanie. Plan zakładał, że na kilka sekund przesunie manetkę sterowania silnikiem z „zapłonu” na „ciąg bojowy”, co prawdopodobnie mogło na chwilę oderwać koła samolotu od podłoża, ale nic poza tym.

Gdy Phil Oestricher rozpedził YF-16 do prędkości 250 km/h, zaczął wykonywać drobne ruchy drążkiem sterowym w poziomie, aby zmusić maszynę do dziesięciostopniowego przechyłu. Samolot nie zareagował, bo koła cały czas jeszcze dotykały pasa. Wówczas pilot nieznacznie zwiększył kąt natarcia. YF-16 natychmiast uniósł się w powietrze, ale z gwałtownym przechyłem na lewe skrzydło. Po korekcie drążkiem sterowym w prawo samolot wpadł w wymuszoną,

dość szybką oscylację. Oestricher wspominał później: „Za każdym razem, gdy próbowałem zniwelować oscylację, samolot zaczynał składać się do pełnej beczki. Co więcej, cały czas przyspieszał, gdyż zwężyła się dysza wylotowa silnika i to pomimo, że manetka silnika była na pozycji zapłonu”.

Zanim pilot zdołał opanować oscylację, lotka zamontowanej na końcu lewego skrzydła rakiety AIM-9 Sidewinder dotknęła pasa startowego, następnie YF-16 uderzył prawym statecznikiem poziomym (stabilatorem) o pas i kilka razy odbił się ko-

łami od ziemi. Podskoki zniosły samolot z osi pasa i to sprawiło, że Oestricher postanowił ratować sytuację. Uznał, że sprowadzenie YF-16 z powrotem na pas jest zbyt niebezpieczne, więc przestawił manetkę sterowania silnikiem na średni ciąg, pozwalając mu na lekkie wznoszenie ze skrzętem w lewo. Następnie wykonał sześciominutowy lot, który zakończył udanym lądowaniem. W ten sposób doszło do pierwszego lotu YF-16.

Problemy, które napotkał Phil Oestricher, były spowodowane dwoma czynnikami. Po pierwsze, okazało się, że drążek sterowy był

zbyt czuły i drobne odchylenia powodowały za duże wychylenie lotek. Po drugie, regulacja dyszy silnika „na sztywno” była sprzężona z funkcjami podwozia samolotu. Dysza pozostała maksymalnie otwarta tak długo, jak koła dotykały ziemi. Gdy tylko odrywały się od niej, dysza automatycznie się zawężyła, zwiększając dwukrotnie siłę ciągu, chociaż manetka sterowania silnikiem była ustawiona na pozycji zapłonu. Według

**MOŻLIWOŚCI
YF-16
ZASZOKOWAŁY
WIELU
OBSERWATORÓW.
NADCHODZIŁA
ERA MYŚLIWCA
F-16**



YF-16
(na pierwszym planie)
i Northrop YF-17
z zamontowanymi na
końcach skrzydeł
rakietami AIM-9
Sidewinder

U S A F



Pilot testowy
General Dynamics
Phil Oestricher
przy prototypie
YF-16 nr 1
w Fort Worth
w Teksasie



LOCKHEED MARTIN

Oestrichera te problemy można byłoby wykryć wcześniej, gdyby w latach siedemdziesiątych były dostępne bardziej precyzyjne symulatory lotu.

W ciągu trzech dni inżynierowie General Dynamics wprowadzili poprawki w pracy drążka sterowego i wymienili uszkodzony stabilator. 2 lutego 1974 roku za sterami naprawionego YF-16 po raz kolejny zasiadł Phil Oestricher. Wykonał trwający półtorej godziny lot, który przebiegł bezproblemowo. W raporcie pilot napisał, że samolot jest wygodny i wyjątkowo przyjemny w pilotażu, bez problemu można przyzwyczaić się do bocznego drążka sterowego oraz fotela ustawionego pod kątem 30°, widzialność z kabiny jest tak dobra, że wymaga pewnej adaptacji, samolot doskonale reaguje we wszystkich trzech płaszczyznach i lata się nim praktycznie bez wysiłku.

5 lutego 1974 roku YF-16 nr 1 osiągnął prędkość Mach 1, a 11 marca odbył lot z prędkością Mach 2. Prototyp drugi został oblatany 9 maja tego samego roku, a za jego sterami siedział Neil Anderson. Zamontowano w nim działko pokładowe oraz instalację do przepompowywania paliwa. Dzięki temu samolot mógł przenosić pod skrzydłami dwa dodatkowe zbiorniki paliwa. Problem z dyszą wylotową silnika wyeliminowano dopiero w piątym prototypie. Wymagało to uniezależnienia pracy dyszy od

Le Bourget oraz w bazach zainteresowanych państw NATO. Na międzynarodowe tournée miał zostać wysłany YF-16 nr 2, ale w maju w trakcie jego pokazu w powietrzu w Fort Worth okazało się, że samolot nie może wypuścić podwozia. Pilotujący go Neil Anderson podjął decyzję o lądowaniu na brzuchu, na trawie, obok pasa startowego w bazie lotniczej Carswell. Lądowanie awaryjne przebiegło pomyślnie, pilot nie odniósł żadnych obrażeń, a zniszczenia samolotu okazały się zadziwiająco małe.

W majowym tournée wziął zatem udział prototyp pierwszy. W przelocie nad Atlantykiem towarzyszył mu myśliwiec RF-4 Phantom II. Pilotujący YF-16 Duke Johnston cały czas musiał pozostawać z nim w kontakcie wzrokowym, gdyż prototyp miał zamontowane tylko podstawowe przyrządy nawigacyjne. Wyprawa do Europy okazała się niezwykle udana, co przełożyło się na późniejszy sukces eksportowy myśliwca F-16. W ciągu 50 dni piloci Duke Johnston, Neil Anderson oraz Jim Rider wykonali 52 loty demonstracyjne, z czego 40 podczas oficjalnych pokazów lotniczych. Aby nie odwołać żadnego z nich, główny inżynier General Dynamics Gordon Smith musiał przerzucić części zapasowe do samolotu lotem czarterowym z Fort Worth do Hiszpanii.

funkcji pracy podwozia. Wówczas nawet po wzbiciu się samolotu w powietrze dysza mogła pozostać w pozycji otwartej.

MIĘDZYNARODOWE TOURNÉE

Na początku 1975 roku siły powietrzne oficjalnie zapowiedziały przyjęcie nowego myśliwca do uzbrojenia. Zainteresowani nim byli również sojusznicy USA: Belgia, Dania, Holandia i Norwegia. General Dynamics oraz USAF postanowiły zaprezentować YF-16 podczas salonu lotniczego

Możliwości YF-16 zaszokowały wielu obserwatorów. Szczególnie gdy przeprowadzano pokazy porównawcze z dwusilnikowym myśliwcem RF-4 Phantom II. Wyjątkowe właściwości lotne YF-16 wynikały z tego, że prototyp był mniejszy niż myśliwiec seryjny, nie miał radaru pokładowego i awioniki oraz był wytrzymały tak, by maksymalnie zwiększyć manewrowość. Założenia aerodynamiczne, na których bazie powstał YF-16, były jednak tak starannie dopracowane, że większy i cięższy F-16A zachował jego znakomite właściwości. ■



TOMASZ OTŁOWSKI

| B L I S K I W S C H Ó D |

POCHÓD ISLAMISTÓW

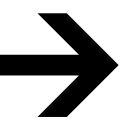
Ekstremiści z Państwa Islamskiego, umocnieni sukcesami irackimi, od kilku miesięcy idą w Syrii od zwycięstwa do zwycięstwa.





EKSTREMISTA
z Państwa Islamskiego,
uzbrojony w nóż i broń
automatyczną, pilnuje
żołnierzy pojmanych
w zwycięskiej bitwie
o bazę syryjskich sił
powietrznych w Tabqa,
27 sierpnia 2014 roku.





POCHÓD ISLAMISTÓW

W cieniu niedawnych wydarzeń w Iraku, czyli letniej ofensywy Państwa Islamskiego (Ad-Dawla al-Islamiya – IS, wcześniej znane jako Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie – ISIL), utworzenia kalifatu i budzących grozę swą brutalnością działań islamistów, tuż obok, w Syrii, również trwa trudny do wyobrażenia dramat. Ekstremiści z Państwa Islamskiego, umocnieni sukcesami irakimi, od kilku miesięcy idą w Syrii od zwycięstwa do zwycięstwa. Nieprzerwane pasmo militarnych wiktorii bojowników kalifatu przyczyniło się już do poważnej zmiany sytuacji strategicznej w Syrii, od czterech lat pogrążonej w odmetach krwawej wojny domowej.

Zagrożenie ze strony Państwa Islamskiego, które zwalcza wszystkie strony wojny w Syrii, doprowadziło także do całej serii niemożliwych jeszcze niedawno lokalnych, taktycznych sojuszy, a nawet współpracy między dotychczasowymi śmiertelnymi wrogami w syryjskim konflikcie. Wydaje się jednak, że te doraźne i mało stabilne sojusze nie będą w stanie powstrzymać zdeterminowanego przeciwnika, jakim jest kalifat. Przyszłość wojny w Syrii – i w ogóle sytuacji na Bliskim Wschodzie – jawi się więc na razie w ciemnych barwach.

PRZEDWCZESNE ZADOWOLENIE

Jeszcze w połowie 2014 roku wydawało się, że pozycja polityczna i militarna rządu w Damaszku umacnia się, a reżim ma coraz większe szanse na przetrwanie. Siły lojalistyczne odzyskały na przełomie lat 2013 i 2014 inicjatywę strategiczną i zaczęły stopniowo odbijać miasta i regiony, utracone wcześniej na rzecz rebeliantów. Zaangażowanie przez Damaszek do walki z rebeliantami najlepszych jednostek libańskiego szyickiego Hezbollahu (wyszkolonych do działań w terenie zurbanizowanym i doświadczonych w bojach z Izraelczykami), a także kilku tysięcy ochotników szyickich z całego regionu oraz instruktorów i oficerów z irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej – pozwoliło reżimowi Baszara al-Asada na odniesienie kilku spektakularnych i ważnych strategicznie sukcesów militarnych. Gdy wiosną 2014 roku siły rządowe zdołały odbić Homs – przed wojną jedno z największych miast kraju, strategicznie położone na skrzyżowaniu głównych szlaków komunikacyjnych – stało się jasne, że rebelia sunnicka znajduje się w głębokim kryzysie. Władze w Damaszku mogły więc odetchnąć z ulgą, licząc na to, że najgorsze chwile w tej wojnie mają już za sobą.

Niestety, ulga i radość rządu Al-Asada okazały się przedwczesne. W czerwcu br. Państwo Islamskie – powstrzymane wcześniej w Syrii przez tamtejszych Kurdów, umiarkowane islamistyczny Front Islamski (Al-Dżabhat al-Islami'ja) oraz Front al-Nusra (Al-Dżabhat An-Nusra li-Ahl asz-Szham, będący oficjalną ekspozyturą Al-Kaidy w Syrii) – niespodziewanie podjęło ofensywę w Iraku. Kampania dżihadystów doprowadziła do

zdziśniętowania armii irackiej, uznawanej dotychczas za jedną z najlepszych w regionie, i powołania kalifatu. Tylko natychmiastowe bezpośrednie zaangażowanie militarne Iranu, wsparcie Rosji i mobilizacja irackich szyitów zapobiegły całkowitemu upadkowi Bagdadu.

Sukces w Iraku, choć niepełny, i tak dał islamistom z IS wiatr w żagle. Błyskawiczne rozgromienie dyslokowanych na północy Iraku jednostek armii irackiej (a były to formacje należące do jednych z najlepszych!) sprawiło, że w ręce terrorystów wpadły duże ilości broni, amunicji i wyposażenia militarnego, nierzadko najnowszej zachodniej produkcji. Państwo Islamskie zdobyło w porzuconych przez Irakijczyków bazach wojskowych setki pojazdów (w tym m.in. słynne humvee), dziesiątki sztuk ciężkiej artylerii i moździerzy oraz tysiące sztuk broni lekkiej.

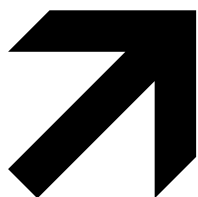
Należy pamiętać, że są to bardzo ostrożne i najpewniej mocno zaniżone szacunki, w których nie uwzględnia się na przykład istnienia w północnym Iraku kilku dużych „hubów” logistycznych, stworzonych na potrzeby irańskiej operacji wsparcia dla reżimu Al-Asada w Syrii. Magazyny te zawierały dosłownie wszystko, co Irańczycy transportowali do niedawna przez terytorium Iraku dla władz w Damaszku: od broni, amunicji i sprzętu, przez paliwo lotnicze, po żywność i dobra luksusowe. Wszystko to wpadło w ręce islamistów; spora część tych zdobyczy zasiliła jednostki Państwa Islamskiego walczące w Syrii.

Zdobycze islamistów w Iraku nie ograniczały się jednak wyłącznie do arsenałów pełnych nowoczesnej broni i sprzętu wojskowego. W metodycznie rabowanych bankach, sklepach i składach handlowych na północy Iraku bojownicy IS „zdobyli” co najmniej 400 mln dol. w gotówce, nie mówiąc już o trudnych do oszacowania sumach w walucie irackiej czy precjozach, takich jak złoto, srebro, kamienie szlachetne. Ten finansowy zastrzyk dla i tak już bardzo bogatej organizacji w dłuższej perspektywie może mieć dużo większe znaczenie dla jej przyszłych działań niż zdobyte składy broni i amunicji. Podobnie zresztą, jak zajęte irackie obiekty i instalacje petrochemiczne, które Państwo Islamskie stara się od razu uruchamiać, zarówno na potrzeby samego kalifatu, jak i w celu handlu na czarnym rynku.

ZASTRZYK ENERGII

Sukcesy strategiczne w Iraku oraz zdobyte tam materiały wojenne i fundusze musiały wzmocnić struktury Państwa Islamskiego również w Syrii. Na pierwsze oznaki nie trzeba było długo czekać. Ofensywa IS w północnym Iraku trwała jeszcze w najlepsze, gdy równoczesne działania zbrojne zostały podjęte przez islamistów na „froncie syryjskim”. Jako pierwsze na celowniku bojowników kalifatu znalazły się pozycje konkurencyjnego Frontu al-Nusra we wschodniosyryjskich prowincjach Dajr az-Zaur i Al-Hasakah. W poprzednich dwóch latach Al-Nusra stworzył w tej części Syrii sieć swoich obozów szkoleniowych, baz i instalacji logistycznych, skąd prowadził operacje w zachodniej i północnej części kraju.

14 lipca 2014 roku zaatakowane zniemacka przez grupy bojowe Państwa Islamskiego oddziały Al-Kaidy bardzo szybko poszły w rozsypkę, oddając niemal cały zajmowany wcześniej teren. Emir Safwan al-Hant, dowodzący w tej części kraju jednostkami Frontu al-Nusra, próbował uciec w kobiecej burce. Pojmany w takim upokarzającym dla islamskiego wojownika stroju, został zamordowany, a jego głowę powieszono nad wejściem do niegdysiejszej kwatery Al-Kaidy w Dajr az-Zaur.



Państwo Islamskie ze szczególnym zacięciem tępi działające w Syrii grupy powiązane z Al-Kaidą, traktując je jako przeciwników w walce o rząd dusz w świecie sunnickiego dżihadu. Na zdjęciu parada islamskich bojowników w syryjskiej miejscowości Raqqa.

PAŃSTWO ISLAMSKIE CIESZY SIĘ ROSNĄCYM POPARCIEM ISLAMSKICH EKSTREMISTÓW NA CAŁYM ŚWIECIE.

Przekłada się to na rosnącą liczbę „ochotników dżihadu”, chcących walczyć w szeregach IS. Dotyczy to także ekstremistów z zachodnimi paszportami w kieszeniach. Już teraz jest ich tak wielu, że na przykład w okolicach Aleppo, w ramach tamtejszych formacji IS, działają całe kilkusetosobowe odrębne „brygady”, złożone z dżihadystów frankofońskich (z Francji i Walonii), niemieckojęzycznych (RFN, Austria) lub posługujących się językiem angielskim.

Ta wieloetniczność sił zbrojnych Państwa Islamskiego jest zresztą kolejnym fenomenem, który odróżnia tę organizację od znacznie bardziej hermetycznej i zachowawczej pod tym względem Al-Kaidy. Element ten przysparza też jednak sporych trudności organizacyjnych: gdy islamiści z IS przygotowywali operację w Tabqa, instrukcje i plany ataku dla swych bojowników musieli sporządzać aż w trzech wersjach językowych (arabskiej, czeczeńskiej i angielskiej), jako że duża część zagranicznych rekrutów „świętej wojny” nie zna języka arabskiego. Co ciekawe, dowódcą tej największej w ostatnim czasie operacji IS w Syrii był „tadżycki emir” (niewymieniany w źródłach z nazwiska), a nadzorował ją sam „naczelnny wódz” sił kalifatu, Omar al-Cziczani („Czeczecien”).

Pikanterii tej historii dodaje fakt, że kwatery owa mieściła się w... jednym z kościołów chrześcijańskich obrządku wschodniego, zbezczeszczonego i zdesakralizowanego przez islamistów po zajęciu przez nich miasta w 2012 roku.

Umocniwszy stan posiadania w prowincji Dajr az-Zaur, Państwo Islamskie z marszu zajęło instalacje naftowe w odludnym regionie Pustyni Syryjskiej, w pobliżu ruin zabytkowego starożytnego miasta Palmyra (obecnie Tadmur). Znajdujące się tam złoża gazowe Sha'ir, zaliczane do najzasobniejszych w Syrii, zdobyto niemal bez walki 22 lipca 2014 roku. Zaskoczenie było całkowite, strzegący

tego złoża żołnierze syryjscy i członkowie lokalnych beduińskich milicji plemiennych nie zdołali stawić skutecznego oporu. Islamiści z IS nie bawili się zresztą w dyplomację: na miejscu zamordowali (tradycyjnie, przy użyciu noży) około 100 obrońców instalacji. Los pozostałych około 250 nie jest znany; należy przypuszczać, że także zostali zabici w brutalny sposób. Instalacje wydobywcze gazu ziemnego w Sha'ir, jedne z najnowocześniejszych w Syrii (oddane do użytku z wielką pompą przez prezydenta Al-Asada tuż przed wybuchem wojny w kraju w 2011 roku), wpadły tym samym niemal nieuszkodzone we władanie kalifatu.



W następnej kolejności na celowniku islamistów znalazły się trzy odizolowane bazy syryjskich sił rządowych we wschodnich prowincjach kraju, tkwiące niczym cień w boku Państwa Islamskiego. Te odcięte od dłuższego czasu od świata instalacje militarne sił wiernych Damaskowi w tej części Syrii były jednocześnie ostatnimi przyczółkami reżimu, pozwalającymi na sporadyczne działania ofensywne przeciwko tamtejszym rebeliantom. W serii szybkich, zdecydowanych operacji militarnych oddziały Państwa Islamskiego po kolei, z zadziwiającą precyzją, zlikwidowały te nieliczne punkty oporu sił rządowych.

Jeszcze pod koniec lipca 2014 roku padły koszary 17 Dywizji Zmechanizowanej, położone niedaleko miasta Ar-Rakka (stolicy prowincji o tej samej nazwie). W czasie szturmowania bojowników IS w bazie tej nie było oczywiście całej jednostki – przestała ona faktycznie istnieć jako zwarty związek taktyczny już w pierwszym roku wojny syryjskiej. Obiekt o kryptonimie „Dywizja 17” to w tym czasie szczytowe siły, będące najwyżej ekwiwalentem batalionowej grupy bojowej (ok. 800 żołnierzy). W czasie tej operacji zginęło co najmniej 85 syryjskich żołnierzy, z czego zdecydowana większość, już po walce, została brutalnie zamordowana. Pozostali zdążyli wycofać się do innej bazy sił rządowych w tej części kraju – koszar 93 Brygady Pancerniej (wchodzącej w skład 17 DZmech.). Siły Państwa Islamskiego otoczyły je i obległy już na początku następnego miesiąca, aby po kilkunastu zażartych, krwawych szturmach ostatecznie zdobyć 8 sierpnia 2014 roku. Zginąć miało tu wówczas kilkudziesięciu członków formacji rządowych; reszta się rozpierzchła i częściowo zasilila ostatni punkt oporu sił wiernych reżimowi we wschodniej Syrii, czyli bazę Syryjskich Arabskich Sił Powietrznych (SAAF) w miejscowości Tabqa.

Baza w Tabqa od połowy 2012 roku pozostawała w całkowitej izolacji od tych terenów kraju, które znajdowały się jeszcze pod kontrolą sił rządowych. Przed 2011 rokiem obiekt ten był macierzystą jednostką dla 12 Szwadronu Myśliwskiego SAAF (wyposażonego w maszyny MiG-21 różnych typów) oraz 24 Brygady Zmechanizowanej z 17 DZmech. Dzisiaj wiadomo już, że w chwili szturmowania oddziałów Państwa Islamskiego na tę bazę wciąż znajdowało się tam co najmniej kilka sztuk różnego typu samolotów bojowych i śmigłowców, najpewniej jednak były to egzemplarze uszkodzone do tego stopnia, że nie były w stanie ewakuować się na zachód. Większość sprawnego sprzętu i żołnierzy opuściła bowiem Tabqę kilkanaście godzin przed ostatecznym atakiem islamistów, który nastąpił o świcie 24 sierpnia 2014 roku. Zdobycie tego obiektu militarnego okazało się największym sukcesem IS w Syrii od czasu wypędzenia sił konkurencyjnego Frontu al-Nusra z prowincji Dajr az-Zaur. Likwidacja ostatniego punktu oporu sił rządowych w tej części Syrii otworzyła islamistom wolną drogę do dalekich wypadów na zachód kraju, szczególnie w rejon strategicznej aglomeracji Homs, mającej kluczowe znaczenie dla dalszych losów wojny.

TAKTYKA ISLAMISTÓW

We wszystkich wspomnianych działaniach w Syrii islamieści stosowali tę samą, zabójczo skuteczną, taktykę. Jej najważniejszym elementem jest przede wszystkim duża liczba atakujących: pole gazowe Sha'ir (bronione przez ok. 300 żołnierzy i ochotników z milicji plemiennych) zaatakowało ponad 2 tys. islamistów; na bazę lotniczą w Taqba (ok. 500 obrońców) Państwo Islamskie rzuciło już niemal 4 tys. bojowników. Kolejnym

PRECYZYJNE I SKUTECZNE DZIAŁANIA PAŃSTWA ISLAMSKIEGO ZMIENIŁY OBRAZ WOJNY DOMOWEJ W SYRII

stałym i równie ważnym z operacyjnego punktu widzenia elementem jest fakt, że każdy szturm islamistów rozpoczynał się od koncentrycznego, równoczesnego ataku z użyciem kilku SVBIED (zamachowców samobójców, kierujących dużymi samochodami, wypełnionymi setkami kilogramów materiałów wybuchowych), których zadaniem było fizyczne przełamanie perymetru obrony danego obiektu, zszokowanie i zdezorganizowanie obrońców. Za tymi „taranami” natychmiast podążały grupy szturmowe, każda złożona z kilku, kilkunastu zamachowców samobójców i najlepszych bojowników. Na koniec wchodziły do akcji setki zwykłych terrorystów, których zadaniem było oczyszczanie i utrzymanie zdobywanego terenu, zabezpieczanie „fantów” oraz wyłapywanie (i mordowanie) tych spośród obrońców danego obiektu, którzy przeżyli pierwszą falę ataku. Warto zauważyć, że niemal dokładnie w taki sam sposób islamieści i talibowie zaatakowali przed rokiem bazę afgańskiego Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Ghazni.

NA FALI SUKCESÓW

W bazach syryjskich sił rządowych, zajętych latem 2014 roku w prowincjach Ar-Rakka i Dajr az-Zaur, bojownicy Państwa Islamskiego zdobyli tysiące ton amunicji, sprzętu wojskowego i wyposażenia, a także dziesiątki pojazdów bojowych (włącznie ze sprawnymi czołgami, transporterami opancerzonymi, działami itd.), co dodatkowo wzmocniło potencjał militarny tej organizacji w Syrii. Już wkrótce został on wykorzystany w zachodniej i północno-zachodniej części kraju, między innymi w Aleppo. Sytuacja wokół tego miasta – przed wojną drugiego co do wielkości w kraju – już od kilku miesięcy ewoluowała w kierunku kolejnego spektakularnego sukcesu sił rządowych, systematycznie zacieśniających pierścienie okrażenia wokół rebeliantów. Ofensywa IS, podjęta w drugiej połowie sierpnia 2014 roku, bły-



To jest właśnie ta prawdziwa, brutalna rzeczywistość syryjskiej wojny domowej: w jednej części kraju są zawierane kruche, taktyczne rozejmy w celu walki ze wspólnym wrogiem, ale już w innych regionach walka na śmierć i życie toczy się po staremu. Na zdjęciu płonące miasto Homs.

skawicznie zmieniła sytuację strategiczną w tym regionie Syrii. Szybkie postępy islamistów z kalifatu, poczynione na północ od aglomeracji Aleppo, doprowadziły do osłabienia wielu formacji rebelianckich (w tym Frontu Islamskiego czy resztek laickiej Wolnej Armii Syryjskiej – FSA) oraz niemal całkowitego rozbitcia tamtejszych struktur Frontu al-Nusra. Ugrupowanie to, oficjalnie namaszczone przez centralne kierownictwo Al-Kaidy i korzystające z całej globalnej logistyki tej organizacji, najwyraźniej ma ostatnio pecha w relacjach z kalifatem. Jak się wydaje, Państwo Islamskie ze szczególnym zacięciem tępi działające w Syrii grupy powiązane z Al-Kaidą, traktując je jako głównych przeciwników ideologicznych i duchowych (religijnych) w walce o rząd dusz w świecie sunnickiego dżihadu.

Kolejnym frontem, otwartym późnym latem 2014 roku przez formacje IS w Syrii, jest pogranicze syryjsko-tureckie. W jego północno-zachodniej części, w pobliżu Aleppo i Idlib, celem działań Państwa Islamskiego stało się odcięcie głównej trasy przerzutu z Turcji ochotników, zaopatrzenia i materiałów wojennych dla syryjskich rebeliantów z konkurencyjnych dla IS ugrupowań. We wschodniej części terenów pogranicza tureckiego, zamieszkanego głównie przez Kurdów, kalifat dąży do likwidacji kurdyjskich enklaw, których nie zdołał podporządkować sobie pod koniec 2013 roku. Walki z lokalnymi kurdyjskimi Oddziałami Samoobrony Ludowej (YPG) i wspierającymi je jednostkami Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), przybyłymi z terenu Turcji, przybierają tam na sile. Działania IS wymierzone w Kurdów syryjskich wyraźnie zostały skorelowane z prowadzoną równocześnie ofensywą islamistów w północnym Iraku przeciwko tamtejszej Autonomii Kurdyjskiej.

NOWE OBLCICZE WOJNY

Błyskawiczne, zaskakujące swą precyzją i militarną skutecznością działania Państwa Islamskiego w Syrii zmieniły obraz całej wojny domowej w tym kraju. Islamiści z IS, jeszcze niedawno znajdujący się na marginesie syryjskiej rebelii i nieliczący się pod względem operacyjnym, obecnie niepodzielnie kontrolują już trzecią część Syrii.

Nie ulega już wątpliwości, że Państwo Islamskie to dzisiaj najpotężniejszy przeciwnik władz w Damaszku, znacznie bardziej niebezpieczny niż dotychczasowi rywale reżimu, biorący udział w sunnickiej rebelii w Syrii. Jeżeli siłom rządowym i wspierającym je szyckim formacjom ochotniczym nie uda się powstrzymać IS na bezkresnych przestrzeniach Pustyni Syryjskiej i na przedmieściach Aleppo, daleko od żywnych i ludnych wciąż regionów zachodniej części kraju, kalifat bardzo szybko rozszerzy swój zasięg terytorialny o nowe obszary.

Władze w Damaszku mają chyba tego pełną świadomość, zwłaszcza po utracie trzech wschodnich prowincji kraju. Podobnie rebelianci zdają sobie sprawę z tego, że kalifat w wydaniu IS może zdecydować o ich być albo nie być w walce o przyszłość tego, co zostało z przedwojennej Syrii. Sytuacja taka stworzyła specyficzny klimat, w którym jednostki rządowe oblegające Aleppo zaczęły przyrywać oczy na ruchy sił rebelianckich, umacniających swoje pozycje przed naddziałającym z północy zagrożeniem w postaci oddziałów Państwa Islamskiego. Ze swojej strony rebelianci w tej części Syrii zaprzestali działań zbrojnych wymierzonych w siły rządowe, a nawet zawarli z nimi kilka nieformalnych rozejmów. Zwłaszcza od czasu, gdy w początkach sierpnia 2014 roku lotnictwo SAAF rozpoczęło intensywne ataki na pozycje IS w okolicach Aleppo (nawet do 40 nalołów dziennie; dla porównania, siły powietrzne USA dokonywały w tym samym czasie w sąsiednim Iraku najwyższych dwóch–trzech ataków na dobę przeciwko pozycjom kalifatu).

Działania SAAF przeciwko instalacjom i celom Państwa Islamskiego – prowadzone zresztą sporadycznie także na terenie samego Iraku – pozwoliły na spowolnienie tempa ofensywy islamistów, odbyły się jednak kosztem zaangażowania rządowego lotnictwa w innych regionach Syrii. Pozbawione wsparcia z powietrza, padły pod koniec sierpnia pozycje sił rządowych na południu Syrii, w regionie Quneitry na wzgórzach Golan, przy granicy ze strefą okupowaną przez Izrael. Napastnikami okazały się... oddziały Frontu al-Nusra i Frontu Islamskiego. To jest właśnie ta prawdziwa, brutalna rzeczywistość syryjskiej wojny domowej: w jednej części kraju są zawierane kruche, taktyczne rozejmy w celu walki ze wspólnym wrogiem, ale już w innych regionach walka na śmierć i życie toczy się po staremu.

Czy w takiej sytuacji uda się w Syrii powstrzymać pochod – dotychczas niezmiennie zwycięski – Państwa Islamskiego? Wydaje się to coraz bardziej wątpliwe, tym bardziej że kalifat wciąż rośnie w siłę, napędzany sukcesami i zdobyczami, tak w Syrii, jak i w Iraku. Dotychczasowa skuteczność IS wynikała przede wszystkim z bezwzględności i bezbłędności wykorzystywania najmniejszych nawet słabości przeciwników. A do takich należy bez wątpienia rozdrobnienie i podział obecnych oponentów kalifatu w Syrii: reżim nie może liczyć w walce z IS na realną współpracę z rebeliantami, ci zaś są głęboko wewnętrznie podzieleni, co czyni ich słabym i bezwolnym przeciwnikiem dla sprawnego, zdeterminowanego i dobrze zmotywowanego organizmu, jakim jest Państwo Islamskie. Czy granice kalifatu sięgną więc już niedługo – tak jak pragnie tego kalif Ibrahim – wybrzeży Morza Śródziemnego? Najbliższe miesiące mogą być kluczowe dla odpowiedzi na to pytanie. ■

Z Patrycją Sasnal o idei kalifatu, która wciąż jest żywa wśród Arabów, oraz o bojownikach z Państwa Islamskiego, chcących dojść do Jerozolimy, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

GORĄCZKA DŽIHADU

Na południu rozciąga się łuk niestabilności – od Afryki Północnej do Bliskiego Wschodu, powiedział na szczycie NATO w Newport premier David Cameron. Czy miał na myśli tylko Państwo Islamskie, które zmieniło geopolityczną mapę Bliskiego Wschodu, czy też patrzył szerzej?

Cameron miał zapewne na myśli szerszy łuk. Sądzę, że odwołał się do unijnej retoryki tworzenia na południu pasa stabilności i dobrobytu. Mówiło się o tym od początku procesu barcelońskiego, czyli relacji państw europejskich z państwami leżącymi na południu basenu Morza Śródziemnego.

Jakie kraje tworzą ten łuk?

Państwa Afryki Północnej i kraje Lewantu – od Maroka po Irak, a niektórzy włączają do tej grupy także szeroko rozumiany Bliski Wschód, z Iranem włącznie. Kraje te są zdestabilizowane w różnym stopniu i z różnych powodów. Świątelnikiem w tunelu jest Tunezja, a także niektóre monarchie, na przykład Maroko, gdzie sprawnie poradzono sobie po Arabskiej Wiosnie z falą społecznego niezadowolenia. Czarnym punktem na tej mapie jest Libia, która znajduje się w kompletnej rozsypce: władze centralne nie sprawują kontroli nad terytorium kraju, funkcjonują cztery lokalne ośrodki władzy, na porządku dziennym są ataki na ministerstwa, bojówki (też te sponsorowane przez poprzedni rząd) obejmują kontrolę nad międzynarodowym lotniskiem w Trypolisie, a na głowę mieszkańca spadają trzy karabiny. Kolejnym czarnym punktem jest Egipt, który powraca do autorytaryzmu. Prezydent Abd al-Fattah as-Sisi przebija pod tym względem Husniego Mubaraka, być może nawet do potęgi. Znowu został zaogniony konflikt izraelsko-palestyński – nie ma w nim szans na spokój. W Syrii kolejny rok trwa wojna domowa, fala uchodźców rozlewa się po Jordanii, Turcji i Libanie. Aż w końcu to największe zagrożenie, czyli Państwo Islamskie.

Mówimy Państwo Islamskie, ale czy jest to już państwo, czy jeszcze organizacja terrorystyczna, posługująca się symbolami państwowymi, takimi jak flaga czy godło, i kontrolująca spore obszary Iraku i Syrii, na których ustanawia własne porządki?

Dżihadyści nie tylko burzą, ale chcą też budować państwo. Stąd Państwo Islamskie. Już pierwotna nazwa tej organizacji – Państwo Islamskie Iraku i Lewantu – dużo mówi o ich celach. Chcą ogarnąć kalifatem tereny pierwotnego Lewantu, czyli Irak, Syrię, Liban, Jordanię, Arabię Saudyjską i Izrael. Cele terytorialne są szerokie i dżihadyści będą budować państwo z gruntu antyzachodnie.

W jakim stopniu idea kalifatu jest żywa wśród Arabów?

To mit dawnej świetności. W wiekach średnich to my byliśmy brudnymi Europejczykami, którzy nie mieli pojęcia o świecie, a Arabowie byli matematykami, astronomami, którzy nieśli kaganek oświaty. I nagle po latach, w XIX wieku, po inwazji Napoleona na Egipt, okazuje się, że Europejczycy ich przegonili. Arabowie nie mogli zrozumieć, jak to się stało. Pamiętali własną świetność, uczyli się o niej w szkołach, dlatego idea kalifatu jest ciągle żywa. Ale w XX wieku stała się ona głównie przedmiotem rozważań islamistów, prądem

religijnym, przeciwko któremu występują sekularni Arabowie. Jest pewien problem z mówieniem o kalifacie: z jednej strony zwolennicy tej idei są narażeni na posądzenie o bycie skrajnymi islamistami, a z drugiej – w powszechnej świadomości Arabów jest to myśl pozytywna.

Jak doszło do powstania Państwa Islamskiego?

Bezpośrednią przyczyną była wojna domowa w Syrii. To w tym kraju dżihadyści znaleźli schronienie. Na jego terytorium mogli się bezkarnie rozwijać i dozbierać, także z pomocą zagranicy. Ogarniali coraz większy obszar, zajmowali pola naftowe. Praprzyczynę powstania Państwa Islamskiego znajdują w amerykańskiej agresji na Irak w 2003 roku. USA otworzyły wówczas puszkę Pandory, rozpętały wewnętrzną iracką wojnę domową. W latach 2005–2007 w Iraku zginęło ponad 100 tysięcy osób. Oficjalna liczba ofiar całego konfliktu do 2011 roku to 190 tysięcy, a według niektórych danych nawet pół miliona. Szyici walczyli z sunnitami, a wszyscy bili się z Amerykanami. W nowych władzach irackich sunniti nie znaleźli reprezentacji, czuli się zmarginalizowani. Ci sami ludzie, którzy w latach 2005–2006 walczyli z Amerykanami, przeczekali ich wyjście w 2011 roku. W tym samym czasie zaczęła się Arabska Wiosna – początkowo protest ten był rzeczy-

wiście społeczny i demokratyczny. Dżihadyści na tym skorzystali, w 2012 roku odrodzili się w Syrii, uzbili i dziś zagrażają całemu regionowi.

Są bardziej radykalni niż Al-Kaida?

W podobnym stopniu. Al-Kaida organizowała zamachy terrorystyczne, w których zginęły tysiące ofiar, oni robią to samo. Różnica polega na tym, że łączą główny cel Al-Kaidy – globalny dżihad, czyli walkę z USA i z niewiernymi – z lokalną działalnością podobną do działalności talibów – kreowania państwa. Dlatego są niebezpieczni.

Czy to jedyna różnica?

Są jeszcze inne. Al-Kaida nie miała odwagi walczyć z Izraelem, co zarzucali jej arabscy sojusznicy w walce z Zachodem. W jednym z krążących w sieci filmów, który pokazuje koniec porozumienia Sykes-Picot z 1916 roku, ustalającego granice i podziały wpływów na Bliskim Wschodzie między Francją, Wielką Brytanią i Rosją, twórcy Państwa Islamskiego zapowiadają, że nie zatrzymają się, póki nie dojdą do świętego miasta Jeruzolimy. Ponadto Państwo Islamskie jest po prostu silniejsze od Al-Kaidy – ma więcej pieniędzy i ludzi.

Państwo Islamskie może się rozlać na inne regiony?

To pytanie o absolutną klęskę Zachodu i społeczności międzynarodowej, bo dżihadyści musieliby opanować także terytorium Jordanii i Arabii Saudyjskiej.

Czy do Państwa Islamskiego mogą się przyłączyć podobne „państwka” w innych częściach świata? Dżihadystyczna organizacja Boko Haram ogłosiła powołanie islamskiego państwa w północno-wschodniej Nigerii.



Teoretycznie i teologicznie nie jest to możliwe, bo kalifat może być tylko jeden. Ale organizacje lokalne mogą przysiąc posłuszeństwo kalifatowi, który powstał w Syrii i Iraku. Mogą działać gdzie indziej, ale jako międzynarodowa część tej samej organizacji. Takie minikalifaty powstają w różnych miejscach, między innymi w Pakistanie. Państwo Islamskie stało się silne, popularne i znane w mediach. Dżihadyści wypowiadają walkę innym organizacjom islamistycznym, mówiąc, że albo są z nimi, albo przeciw nim. Ta siła przyciągania jest dla nas sporym niebezpieczeństwem.

Z kim chcą walczyć?

Ze wszystkimi, którzy nie są muzułmanami sunitami, i to w skrajnej wersji. Dają wybór: albo przechodzisz na naszą wiarę, albo uciekasz. Walczą z wszystkimi mniejszościami religijnymi: muzułmańskimi, chrześcijańskimi, z Żydami.

Szeregi islamskich bojowników, zaprawionych w walkach pod sztandarem Proroka, nadal zasilają młodzi Europejczycy?

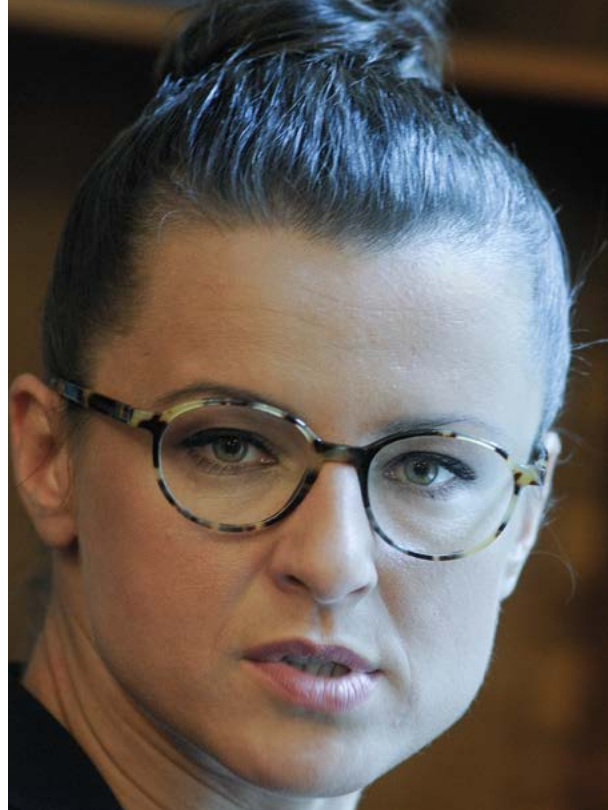
Międzynarodowe Centrum Studiów nad Radykalizacją i Przemocą Polityczną w Londynie oszacowało, że do końca 2013 roku do Syrii wyjechało dwa tysiące mężczyzn z Europy. Sądzę, że dziś, gdy idea kalifatu stała się jeszcze bardziej atrakcyjna, ta liczba mogła się zwiększyć. Jeśli wyjeżdżają oni z Europy, pozbywamy się radykalnych elementów, ale problem może się pojawić, gdy powrócą.

Kalifat jest większym zagrożeniem dla Europy czy dla Ameryki?

Przede wszystkim jest zagrożeniem dla samych Arabów. Dziś dżihadyści działają w Syrii oraz Iraku i terroryzują tamtejszą ludność. Zagrożenia dla Zachodu są dwojakiego rodzaju. Po pierwsze – bezpośrednie. Obywatele państw zachodnich, którzy opuścili szeregi dżihadystów, wracają do swych krajów, aby dokonać zamachu. W czerwcu, na przykład, w muzeum żydowskim w Brukseli Francuz, który wrócił z Syrii, zabił cztery osoby. Po drugie, dżihadyści są zagrożeniem niebezpośrednim. Budują państwo, którego częścią ma być Jordania, Arabia Saudyjska, a nawet Izrael. Byłoby ono ogromne i inkorporowało najważniejszych sojuszników Zachodu, co jest po prostu niewyobrażalne, bo zmieniłoby stosunki bezpieczeństwa na całym świecie. Mogłoby nawet wywołać wojnę cywilizacyjną.

To wręcz nieprawdopodobna perspektywa. Jak ocenia Pani ich szanse?

Kluczowe jest działanie USA. Amerykanie nie pozwolą, aby Państwo Islamskie za bardzo się rozrosło. Powstaje międzynarodowa koalicja złożona z około 40 krajów, które na konferencji w Paryżu zadeklarowały współpracę ze Stanami Zjednoczonymi. Niezbędne jest współdziałanie Ligi Państw Arabskich, choć nie będzie to łatwe, bo kraje arabskie są ze sobą skłócone, a dodatkowo chcą walczyć z Iranem, państwem perskim. Aby pokonać Państwo Islamskie w Syrii i Iraku, jest potrzebna Arabia Saudyjska, bo ma wpływ na sunnickie plemiona, z którymi Państwo Islamskie wchodzi w sojusz. Jednak Arabia ma dwa sprzeczne cele. Po pierwsze, nie dopuścić dżihadystów na swoje terytorium, na którym znajdują się Mekka i Medyna – dwa najświętsze miej-



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Dżihadyści wypowiadają walkę innym organizacjom islamistycznym, mówiąc, że albo są z nimi, albo przeciw nim

sca dla każdego muzułmanina. Po drugie, używać dżihadu sunnickiego do kontrowania wpływów szyickich. Pierwszy cel jest jednak ważniejszy. Proszę zauważyć, że mamy sytuację, gdy Arabia Saudyjska, Jordania, ale także Rosja i USA, znajdują się po jednej stronie w walce z Państwem Islamskim. Pytanie tylko, które interesy każdego z tych państw wezmą górę nad innymi, co jest ważniejsze dla nich dla przetrwania.

Mówi się, że fanatyków z Państwa Islamskiego wspiera Katar, korzystający z amerykańskiego parasola bezpieczeństwa w rejonie Zatoki Perskiej.

To ogromne uproszczenie. Oficjalnie rządy państw Zatoki nie wspierają Państwa Islamskiego. Robią to prywatne osoby – Katarczycy, Saudyjczycy, a często także Kuwejtczy, o czym głośno się nie mówi. Problem polega na tym, że dżihadysty są samowystarczalni – nie potrzebują wsparcia. Ich dochody ze sprzedaży ropy z syryjskich i częściowo irackich pól naftowych wynoszą około 100 milionów dolarów miesięcznie. Kluczowe jest natomiast wsparcie polityczne ze strony Arabii Saudyjskiej, na przykład wpłynięcie na lokalnych liderów plemiennych, tak aby odwrócili się od Państwa Islamskiego. Trzeba im coś zaofiarować – pewnie pieniądze. Takie działania polityczno-finansowe powinny zostać dopełnione wojskowymi, którym będą przewodniczyć Stany Zjednoczone.

Z operacją lądową włącznie?

Nie możemy tego wykluczyć, choć administracja amerykańska będzie starała się za wszelką cenę tego uniknąć. Sposób, w jaki dziś Amerykanie mówią o Państwie Islamskim, jak wielkim jest ono zagrożeniem, świadczy o tym, że przygotowują opinię publiczną na ewentualną interwencję. Nie trzeba wysłać tysięcy amerykańskich żołnierzy, można wykorzystać sojuszników – Kurdów, sunnitów. Amerykanie są już obecni na tej wojnie – widać to chociażby na przykładzie ponad 150 lotów odrzutowców wojskowo zaangażowanych w Irak.

Czy bez rozwiązania konfliktu syryjskiego możliwe jest pokonanie Państwa Islamskiego?

Trzeba chyba spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że jakaś forma współpracy z reżimem Al-Asada w Syrii jest konieczna, by zwalczyć Państwo Islamskie. Możliwe, że dżihadystów w Syrii nie uda się pokonać jedynie z pomocą syryjskiej opozycji, bo jest ona słaba i skłócona wewnętrznie. Tym samym Al-Asad wydaje się mniejszym złem. Jego celem jednak jest przetrwanie. Za współpracę będzie oczekiwał przyzwolenia na tłumienie opozycji – tego z kolei moralnie nie można uzasadnić.

Mimo teorii o „zderzeniu cywilizacji”, która mówi o zagrożeniu zachodniego świata islamem, jak na razie wszystkie wojny islamiści toczą głównie ze swymi współwyznawcami. Czy z Państwem Islamskim mogą rozprawić się sami Arabowie?

Jordania i Arabia Saudyjska zareagują dopiero wtedy, gdy zostaną zagrożone ich granice. Arabowie muszą się zaktywizować, potrzebują motywacji – będzie nią rosące zagrożenie. To dlatego prezydent Barack Obama nie interweniował na prośbę poprzedniego irackiego premiera Nuriego al-Malikiego, który chciał przenieść ciężar walki z Państwem Islamskim na barki Amerykanów. Stany Zjednoczone mądrze postępują, zmuszając do działania samych Irakijczyków, a więc angażując siły lokalne, niezbędne do pokonania Państwa Islamskiego.

Niemcy postanowiły dostarczyć Kurdom broń przeciwpancerną i karabiny. Czy Zachód powinien dozbrajać przeciwników Państwa Islamskiego?

W wypadku Kurdów dozbrajanie było konieczne, bo oni nie mieli wystarczająco sprawnej broni. Ale to obosieczny miecz. Można wygrać kilka taktycznych bitew, ale nie zdarzyło się, aby większa liczba broni skutkowałą mniejszą liczbą ofiar. Wręcz odwrotnie. Gdy patrzymy na grupy uzbrojonych szyitów, którzy wykrzykują islamskie hasła, pojawia się refleksja, czy nie jest to zwiastun kolejnego konfliktu, przystąpienia do władzy kolejnego dyktatora.

Czy powstanie niepodległy Kurdystan?

Taka możliwość pojawiła się kilka miesięcy temu, gdy Kurdowie nie pozwolili dżihadystom wejść na swoje terytorium i udowodnili siłę. Teraz widać, że prawdopodobnie zawarli z Amerykanami porozumienie: w zamian za międzynarodową pomoc odstąpią od proklamacji własnego państwa w najbliższym czasie. Zresztą nie muszą tego robić – mają sporą autonomię, a pozostając w granicach Iraku, nie przyczyniają się do rozpadu tego państwa.

Co stanie się z Państwem Islamskim? Dopuszcza Pani scenariusz negatywny?

W długiej perspektywie nie dopuszczam scenariusza negatywnego, bo już sam stosunek sił przemawia na niekorzyść Państwa Islamskiego: 40 tysięcy dżihadystów wobec 400-tysięcznej armii syryjskiej oraz 600-tysięcznej armii irackiej, wspieranej przez siły amerykańskie. Problem w tym, jak wykorzystać tę przewagę, aby uniknąć ofiar cywilnych.

A jaki jest scenariusz pozytywny?

Uważam, że jest to pierwszy moment w pozimnowojennej historii Bliskiego Wschodu, kiedy Arabowie będą witać Amerykanów z otwartymi rękami. Podwaliną wszelkich konfliktów w tym regionie jest rozdźwięk między władzą a społeczeństwem. Fakt, że władze za nic mają własną ludność, sprawia, że takie organizacje jak Państwo Islamskie, żerujące na ludzkiej frustracji, mogą się szybko rozprzestrzeniać. Dżihadysty próbują pozyskiwać lokalne społeczności, ale gdy się okaże, że ich celem jest religijny fanatyzm, a nie dobro społeczeństwa, ludzie się od nich odwrócą.

Na płaszczyźnie militarnej uda się ich pokonać dzięki akcji wojskowej pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych, ale konieczny jest udział samych Arabów oraz społeczności międzynarodowej. Można już wskazać na pewne sukcesy takiej taktyki – dżihadystom nie udało się dotrzeć pod miasto Irbil, leżące w północnym Iraku, musieli opuścić tamę mosulską. Pojawia się jednak pytanie, co zrobić, aby wpłynąć na 20 mil-

lionów popierających ich sunnitów. Potrzebny jest długofalowy plan i strategia. Arabia Saudyjska musi się zaangażować w Irak, przekonać lokalnych liderów, aby budowali własne państwo w ramach obecnej mapy politycznej i porzucili średniowieczną ideę kalifatu, przekraczającego dzisiejsze granice, który miałby być obszarem homogenicznym religijnie i w którym nie ma miejsca na inność. Takie założenia są sprzeczne z naturą Bliskiego Wschodu, którego specyficznością jest właśnie różnorodność. ■

WIZYTÓWKA

PATRYCJA SASNAŁ

Jest doktorem nauk politycznych. W Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych kieruje projektem „Bliski Wschód i Afryka Północna”. Specjalizuje się w tematyce polityki USA i Unii Europejskiej na Bliskim Wschodzie, wyzwaniach transformacji państw arabskich, konfliktu arabsko-izraelskiego.



TADEUSZ WROBEL

SIEĆ OBRONNA

Podczas tegorocznej operacji w Strefie Gazy Izraelczycy w praktyce sprawdzili zdolność swych wojsk do działań sieciocentrycznych.

ELBIT SYSTEMS

Izraelskie siły zbrojne latem 2014 roku przeprowadziły wielką operację pod kryptonimem „Protective Edge” (Ochronny brzeg), wymierzoną w palestyńskie organizacje Hamas i Islamski Dżihad na terenie Strefy Gazy. Wyjątkowo krwawe walki rozpoczęły się 8 lipca i trwały 50 dni. Po stronie palestyńskiej było ponad 2 tys. zabitych, a po izraelskiej zginęło 66 wojskowych i ośmiu cywilów. Podczas tej operacji siły zbrojne Izraela pokazały swe nowe zdolności bojowe.

CZUJNOŚĆ SENSORÓW

W pierwszym dniu „Protective Edge” na terytorium Izraela w rejonie kibucu Zikim przedostało się pięciu pętwonur-

ków Hamasu, którzy chcieli zaatakować znajdującą się tam bazę wojskową. Ich obecność wykryły jednak rozmieszczone na wybrzeżu sensory marynarki wojennej i natychmiast informacja o tym znalazła się we wspólnej sieci dowodzenia. Dzięki temu można było użyć przeciwko pętwonurkom broni, jaką dysponują flota, lotnictwo i siły lądowe. Dowódca batalionu piechoty Nahal, stacjonującego w tym rejonie, miał do wyboru kilka opcji. Mógł rozkazać ostrzelać intruzów z czołgu Merkawa IV lub skierować na nich uzbrojonego w pociski drona. W pobliżu znajdował się również okręt patrolowy z kierowanymi optoelektronicznie pociskami raketowymi Tammuz. „W końcu wszyscy strzelili w tym sa-

WSZYSCY OFICEROWIE W JEDNOSTKACH OPERACYJNYCH PRZESZLI 15-DNIOWE SZKOLENIA Z UŻYCIA TZAYAD

mym czasie”, wyjawiał w artykule autorstwa Barbary Opall-Rome zamieszczonym w serwisie internetowym Defense News gen. bryg. Eyal Zelinger, szef wojsk C4I Izraelskich Sił Obrony. Oficer podał też, że operacja „Protective Edge” była pierwszą, w której została w pełni wykorzystana wspólna cyfrowa sieć dowodzenia i kontroli, nazywana w języku angielskim Digital Army Program (DAP), a w hebrajskim Tzayad (wcześniej dowódcy jednostek wojsk lądowych dostawali informacje o lokalizacji własnych sił i wroga drogą radiową, a następnie te dane nanosili na mapy). Wojskowi wprowadzają też do systemu dane o podległej im jednostce, liczbie żołnierzy i ich uzbrojeniu, a ten na ich podstawie określa na przykład jej potrzeby logistyczne. Urządzenia tworzące Tzayad są różnej wielkości, w zależności od potrzeb i rodzaju jednostki wojskowej. Te używane przez piechurów są podobne do tabletek.

Według Zelingera dzięki cyfrowej sieci informatycznej zdołano zapobiec wielu akcjom Hamasu, które mogły spowodować liczne ofiary po stronie izraelskiej. Jednym z takich zdarzeń była próba ataku na kibuc Sufa 17 lipca 2014 roku, której chciała dokonać grupa palestyńskich komandosów. Przedostali się oni na terytorium Izraela ze Strefy Gazy jednym z podziemnych tuneli pod granicą. Oni też zostali odkryci. Zrezygnowali z ataku i postanowili się wycofać. Wtedy mający pełny obraz sytuacji dowódca izraelski, który mógł wykorzystać przeciwko intruzom różne systemy uzbrojenia, wydał rozkaz ataku lotniczego na rejon wejścia do tunelu.

Operacja w Strefie Gazy była najtrudniejszym sprawdzianem dla sieci łączącej najwyższe szczeble dowodzenia sił obronnych Izraela z czujnikami i systemami uzbrojenia na poziomie batalionu, a często nawet kompanii. Program Tzayad

uruchomiono dziesięć lat temu i pochłonął on miliardy dolarów (był dofinansowany przez USA), bo uznano go za jeden z priorytetowych projektów w sferze obronności. Sieć opracowała firma Elbit Systems z Hajfy, a dużą jej część wyprodukowała spółka zależna Elbit System of America.

SKUTECZNOŚĆ I PRECYZJA

Większość izraelskich brygad i batalionów była przygotowana do działań sieciocentrycznych już w listopadzie 2012 roku, gdy w odpowiedzi na ostrzał raketowy ze Strefy Gazy władze w Jerozolimie rozpoczęły operację „Pillar of Defense” (Filar obrony). Wówczas konflikt zakończył się rozejmem po ośmiu dniach i nie doszło do wkroczenia jednostek lądowych do palestyńskiej enklawy. „Ale tym razem manewrowe siły lądowe były dominującym i znaczącym graczem w prawdziwych, połączonych sieciocentrycznych działaniach wojennych”, uznał gen. Zelinger. Wojska lądowe operujące w Gazie miały stałe połączenie z marynarką wojenną, siłami powietrznymi, wojskami specjalnymi i wywiadem.

Podczas działań w Strefie Gazy izraelska artyleria wystrzeliła 34 tys. pocisków – tak twierdzi w artykule opublikowanym na portalu Defense News jej szef, gen. bryg. Roy Riftin. Połowę z nich stanowiły pociski dymne, mające maskować ruchy sił manewrowych, a reszta to oświetlające i odłamkowe kalibru 155 mm. Użyto też kilkaset pocisków raketowych Tammuz. Dzięki sieci Tzayad poszczególne baterie mogły wybierać konkretne cele. Gen. Riftin zwrócił również uwagę na to, że pozwoliła ona nie tylko zwiększyć skuteczność bojową wojsk, lecz także ograniczyć straty od pomyłkowych ostrzałów ze strony własnych sił.

Jako przykład przytoczono walki stoczone 19 lipca w Shuja'iyah, jednym z przedmieść Gazy, które określono jako „podziemny wojskowy garnizon Hamasu”. Po wezwaniu cywilów do ewakuacji izraelscy żołnierze zaczęli przeszukiwać dom po domu, by znaleźć zamaskowane wejścia do tuneli. Niebawem rozpoczęły się zaciekle walki z członkami Hamasu. W pewnym momencie piechurzy, będący pod silnym ostrzałem, poprosili o wsparcie artylerii. Tyle że znajdowali się oni bardzo blisko wroga, ale dzięki Tzayad artylerzyści znali ich położenie. Żołnierze dostali więc rozkaz, by ukryli się w transporterach opancerzonych Namer. Następnie artyleryjskie pociski spadły na pozycje Hamasu zaledwie 100–120 m od nich. W tej bitwie zginęło 13 żołnierzy izraelskiej brygady Golani, ale żaden z nich nie był ofiarą „friendly fire”. Niemniej jednak Izraelczycy podejrzewają, że podczas całej operacji od własnego ognia mogło zginąć trzech wojskowych.

Nie udało się też uniknąć dużych strat wśród ludności palestyńskiej. Roy Riftin odrzucił jednak oskarżenia, że wojska izraelskie użyły nieproporcjonalnie dużej siły w Strefie Gazy. Twierdzi, że nawet było wręcz przeciwnie – by zredukować ofiary wśród cywilów, stosowano taktykę, która zwiększała ryzyko strat wśród żołnierzy. I tak w tym roku zginęło ich 66 w ciągu 50 dni walk; dla porównania podczas 23-dniowej operacji „Cast Lead” (Płynny ołów) straciło życie dziesięciu izraelskich wojskowych (czterech z nich było ofiarami „friendly fire”). Gen. Zelinger twierdzi, że taka statystyka wynika z tego, iż palestyńscy bojownicy są znacznie lepiej przygotowani do działań asymetrycznych niż w 2011 roku. „Wszystkie ofiary są bolesne, ale to jest wojna. Błędy się zdarzają. Żołnierze giną ...”, dodał izraelski wojskowy. ■



MAŁGORZATA BARWICKA

ZMIANA KURSU

Nieobecny na szczycie w Newport Putin sprawił, że przeżywające kryzys NATO wróciło do swoich korzeni.

Wwalijskim Newport NATO postanowiło mocniej zaakcentować obecność wojskową we wschodnioeuropejskich krajach sojuszu oraz wyodrębnić siły natychmiastowego reagowania, nazywane szpicą – w razie zagrożenia będą mogły zostać rozmieszczone na wybranym terenie w ciągu dwóch–pięciu dni. Dla nas najważniejszymi decyzjami szczytu są wzmocnienie tzw. wschodniej flanki sojuszu oraz zwiększenie roli szczyńskiego korpusu.

Eksperti zgodnie przyznają, że w odpowiedzi na rosyjską agresję na Ukrainie NATO przyjęło solidny plan działań, jak poprawić bezpieczeństwo swych wschodnich członków. Testem będzie jego wdrożenie. Trzeba utworzyć odpowiednie struktury dowództwa i kontroli na terenach wschodnich krajów sojuszu, zbudować infrastrukturę i rozmieścić sprzęt. Konieczne są także lepsza współpraca wywiadowcza w ramach NATO, uaktualnienie planów obronnych oraz częstsze ćwiczenia.

POMOCNY KRYZYS

Jeszcze na początku 2014 roku sojusz rozważał swoją przyszłość w związku z kończącą się misją w Afganistanie. Marcin Zaborowski, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw

Międzynarodowych (PISM,) który był w grupie ekspertów przygotowujących założenia nowej strategii NATO, opowiada, że w pierwszym tekście deklaracji ani słowem nie wspomniano o Ukrainie i nie odniesiono się do Rosji. Trwała dyskusja nad przyszłym kształtem sojuszu i było widać, że kraje członkowskie coraz mniej nakładów chcą przeznaczać na obronność.

Dopiero kryzys ukraiński sprawił, że po kilkunastu latach zwalczania międzynarodowego terroryzmu sojusz zdecydował, że wróci do korzeni, czyli obrony swojego terytorium. Taki powrót zapowiada także naczelny dowódca sił NATO w Europie gen. Philip Breedlove, gdy podkreśla, że Rosja działaniami na Ukrainie zniszczyła budowane od lat zaufanie. Dlatego szczyt w Newport był jednym z najważniejszych spotkań transatlantyckich ostatniego ćwierćwiecza (za takowy uznał go m.in. „New York Times”). Były ambasador Polski przy NATO Jerzy Maria Nowak woli unikać zwrotu „historyczny”: „To ważny etap w rozwoju nowej doktryny obronnej NATO i nowego stanowiska wobec Rosji”. Uważa on też, że szczyt w Newport to początek ewolucji sojuszu: strategiczne plany obronne NATO uwzględnią teraz wyzwania na wschodzie Europy, ale także zagrożenia związane z Bliskim Wschodem i terroryzmem.



NATO (2)

W Newport prezydent Ukrainy Petro Poroszenko usłyszał wiele słów poparcia. Gorzej było z konkretnymi.

W POLSCE NIE BĘDZIE BAZ – W TEN SPOSÓB **NATO** POKAZUJE ROSJANOM, ŻE DOTRZYMUJE UMOWY Z 1997 ROKU, ŻEBY NIE ROZMIESZCZAĆ NA STAŁE W SĄSIEDZTWIE ROSJI WIĘKSZYCH SIŁ ZBROJNYCH

„Decyzje podjęte na szczycie świadczą o wzmocnieniu spójności sojuszu, co przełoży się na chęć USA do angażowania się w naszej części Europy”, twierdzi Wojciech Lorenz, kierownik projektu dotyczącego bezpieczeństwa europejskiego i przemysłu obronnego w PISM. Jak mówi, ustalenia z Newport przywracają równowagę między zdolnościami do obrony terytorium NATO i do prowadzenia misji, o co Polska od dłuższego czasu zabiegała.

KOMPROMIS NA SZCZYCIE

Ambasador Jerzy Maria Nowak uważa, że najmniej powodów do zadowolenia mają Bałtowie, bo nie zyskali poczucia pełnego bezpieczeństwa, a najbardziej rozczarowani mogą być Ukraińcy – gdyby na szczycie zapadły inne ustalenia, prezydent Petro Poroszenko nie podpisałby zapewne następnego dnia w Mińsku zawieszenia broni z Rosją. Europa Zachodnia ma powody do satysfakcji, bo nikt jej nie zmusił do zerwania kontaktów z Moskwą i większego wysiłku zbrojeniowego. Polska i kraje Europy

Środkowej oraz Stany Zjednoczone mogą być umiarkowanie zadowolone. Dla Rosji natomiast ustalenia szczytu (zapowiedziane manewry) są prowokacją, która przybliżyła do jej granic machinę wojenną. „Z naszego punktu widzenia najważniejsze jest to, że NATO przesuwa swoją uwagę z działań o charakterze ekspedycyjnym w kierunku obrony terytorialnej na wschodniej flance”, podsumowuje Nowak.

Podjęte w Newport decyzje (w tym „Plan działań na rzecz gotowości” – Readiness Action Plan) są kompromisem między żądaniami wschodnioeuropejskich członków sojuszu, w tym Polski i Rumunii oraz krajów bałtyckich, a stanowiskiem państw zachodnich (np. Niemiec) oraz bardziej oddalanych od Rosji krajów środkowoeuropejskich (Czech, Węgier, Słowacji), które nie mają równie silnego poczucia zagrożenia ze strony Rosji, więc obstają przy przestrzeganiu układu NATO–Rosja z 1997 roku i sprzeciwiają się stałemu stacjonowaniu wojsk sojuszu północnoatlantyckiego w krajach Europy Wschodniej. →

W deklaracji końcowej szczytu podkreślono, że „Plan działań na rzecz gotowości” przyczyni się do tego, iż NATO pozostanie silnym, solidnym i zdolnym do reakcji sojuszem, który może poradzić sobie z obecnymi i przyszłymi wyzwaniami, skądkolwiek się pojawią. Ma on też odpowiadać na specyficzne zagrożenia, związane z tzw. wojną hybrydową, prowadzoną za pomocą różnych „środków militarnych, paramilitarnych i cywilnych”. Na szczycie zdecydowano także, że atak cybernetyczny na dużą skalę na którekolwiek z 28 państw członkowskich NATO może być uznany za atak na cały sojusz, kwalifikujący się do wojskowej riposty.

NATOWSKA SZPICA

Wzmocnioną obecność wojskową na wschodnich rubieżach sojuszu zapewni tzw. szpica, która powstanie w ramach istniejących od kilku lat wielonarodowych Sił Odpowiedzi NATO, a mogą być one rozmieszczone na całym świecie w celu zbiorowej obrony albo zarządzania kryzysowego. Prezydent Bronisław Komorowski mówił o liczącej około 4 tys. żołnierzy brygadzie natychmiastowego reagowania. Czy to wystarczy? „Wystarczy na konflikt o małej skali, a takie zagrożenie jest bardziej prawdopodobne niż duży konflikt”, ocenia były minister obrony Janusz Onyszkiewicz.

Na szczycie zapadły decyzje polityczne, a teraz do rozmów siądą wojskowi. Konkretnie efekty ich pracy poznamy za kilka miesięcy, prawdopodobnie w lutym 2015 roku, gdy spotkają się ministrowie obrony państw NATO. Dziś wiadomo, że większość żołnierzy sił szybkiego reagowania stanowią Brytyjczycy. Ponadto swój akces zgłosiły: Dania, Łotwa, Estonia, Litwa, Norwegia i Holandia. Zainteresowanie wyraziła też Kanada. Żołnierze „szpicy” będą stacjonować w krajach macierzystych, a centra logistyczne powstaną w Polsce, krajach bałtyckich i Rumunii (nam szczególnie zależy na utworzeniu bazy sprzętu pancernego). Na pytanie, gdzie będzie się znajdowało dowództwo „szpicy”, szef MON Tomasz Siemoniak wyjaśnił, że tam, gdzie będzie ona używana: „Jeśli w Turcji, to pewnie w Izmirze, jeśli u nas, to może w Szczecinie”.

SZCZECIŃSKIE CENTRUM

Marcin Zaborowski, dyrektor PISM, zwraca uwagę, że utworzenie „szpicy” oznacza odejście od mechanizmów, którymi NATO posługuje się na co dzień: gdyby pojawiło się zagrożenie, o użyciu tych sił będzie decydował dowódca wojskowy, a nie politycy. Mówiąc obrazowo, gdyby pojawiły się „zielone ludziki”, dowódca „szpicy” nie będzie musiał pytać o zgodę Rady Północnoatlantyckiej (zapewne Niemcy by się nie zgodzili, a Francuzi chcieli negocjować), lecz zadzwoni do głównodowodzącego wojskami NATO w Europie. „Szybsza odpowiedź na zagrożenie podnosi bezpieczeństwo regionu”, uważa ambasador Nowak. Akcja zostanie wówczas podjęta w ciągu dwóch–trzech dni. „To jest przełomowa decyzja”, ocenia dyrektor Zaborowski.

Prezydent Bronisław Komorowski podkreślał, że naszemu bezpieczeństwu będzie sprzyjała też widoczna stała obecność sił NATO, która polega na przykład na rotacyjnych ćwiczeniach sojuszniczych wojsk w Polsce i krajach bałtyckich. „Nie jest to 100% tego, czego byśmy chcieli, ale to ważny krok w stronę wzmocnienia wschodniej flanki”, komentuje dyrektor Zaborowski.



USTALENIA Z NEWPORT PRZYWRACAJĄ RÓWNOWAGĘ MIĘDZY ZDOLNOŚCIAMI DO OBRONY TERYTORIUM NATO I DO PROWADZENIA MISJI, O CO POLSKA ZABIEGA

W przyjętej w Newport deklaracji końcowej zapowiedziano między innymi podwyższenie gotowości i zdolności dowództwa Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie, którego trzon obecnie stanowią żołnierze z Polski, Danii i Niemiec. Wzmocniona zostanie też jego rola jako centrum współpracy regionalnej.

Prezydent, który w drodze powrotnej z Newport zatrzymał się w Szczecinie, tłumaczył, że korpus dostanie także konkretne zadania w dziedzinie koordynacji oraz przygotowania planów użycia wojsk sojuszniczych na wschodniej

flance. W dokumentach szczytu zapisano między innymi, że pierwszym widocznym posunięciem będzie zwiększenie obsady etatowej dowództwa szczebińskiego korpusu w połowie 2015 roku. Pełne zdolności operacyjne jako dowództwo wysokiej gotowości korpus osiągnie w roku 2016, a jako dowództwo dla mniejszych operacji połączonych – do końca 2018 roku.

NIEOBECNA ROSJA

Temat Rosji nie był poruszany na szczycie, co z niejakim zalem odnotowały rosyjskie media, ale to tamtejszy przywódca, bardziej niż ktokolwiek inny, wpłynął na kształt przyjętych dokumentów. Władimir Putin, choć nie było to jego intencją, wzmocnił NATO wojskowo.

„Szczyt dowodzi, że NATO zaczęło myśleć o Rosji jako o zagrożeniu nie tylko militarnym, lecz także handlowym, elektronicznym, energetycznym i technologicznym”, uważa James Nixey, ekspert brytyjskiego think tanku Chatham House. Pojawiły się także opinie, że nawet państwa powściągliwe w krytyce Rosji ze względu na interesy gospodarcze (Grecja, Słowacja czy Hiszpania) pozbyły się już iluzji co do strategicznego partnerstwa NATO–Rosja. James Nixey napisał wprost, że „to sfera politycznego science fiction”.

Chociaż politykę Rosji uznano za wyzwanie dla bezpieczeństwa sojuszu, retoryka w tej sprawie jest umiarkowana, co oznacza, że uwzględniono stanowiska między innymi Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Grecji i Francji. Jak tłumaczy ambasador Nowak, „te kraje liczą na to, że Rosja się opamięta, co pozwoli na wznowienie współpracy”.

Analizy Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Anna Maria Dwyer zwraca uwagę, że w Moskwie rozpoczęła się debata nad zmianą doktryny wojennej: „Po raz pierwszy Rosja zadeklarowała, że zostawia sobie możliwość prewencyjnego uderzenia jądrowego. Wcześniej zakładała jedynie możliwość odpowiedzi jądrowej, a w ostatnich latach przede wszystkim sił konwencjonalnych”.

NIEDOCENIONA UKRAINA

„Wojna na Ukrainie ma bezpośredni wpływ na system bezpieczeństwa w Europie, ponieważ postulaty Moskwy dotyczą nie tylko Kijowa. Putin rości sobie prawo do ochrony rosyjskich obywateli wszędzie i według własnego widzimisię. Prowadzi wojnę hybrydową i marzy o Noworosji”, napisano w dzienniku „Sueddeutsche Zeitung”. Dlatego – co podkreśla także Anna Maria Dwyer – NATO uważa wydarzenia w Donbasie za największe zagrożenie dla pokoju od czasu zimnej wojny.

W Newport prezydent Poroszenko usłyszał wiele słów poparcia. Gorzej było z konkretami. Bezpośrednie wsparcie dla Kijowa okazało się kroplą w morzu potrzeb. „Ukraina wysłała tysiące żołnierzy na misję NATO na Bałkanach i w Afganistanie, walczyła o swoją wolność na ulicach i zasługuje na coś lepszego”, ocenił konserwatywny „Wall Street Journal”.

NATO zapowiedziało utworzenie funduszu powierniczego na wsparcie dla Ukrainy o wartości 15 mln euro (ambasador Nowak nazywa tę sumę „kompromitującą”, bo to koszt dwóch–trzech czołgów). Fundusze te zostaną przeznaczone na modernizację ukraińskiej armii, cyberbezpieczeństwo, logistykę, rehabilitację weteranów, ale nie na „sprzęt

śmiercionośny”. Sekretarz generalny sojuszu Anders Fogh Rasmussen wyjaśnił, że NATO jako sojusz nie może dostarczyć Ukrainie sprzętu wojskowego (zachodnie kraje NATO obawiają się, że byłaby to zbyt duża konfrontacja z Rosją), ale mogą to zrobić poszczególne kraje członkowskie.

Według opinii Anny Marii Dwyer z ewentualną sprzedażą broni na Ukrainę są dwa problemy. Po pierwsze, państwa członkowskie, kierując się polityczną odpowiedzialnością, będą się w tej sprawie konsultowały z innymi partnerami. Po drugie, sama sprzedaż nowoczesnej broni Ukrainie nie wystarczy, ponieważ trzeba wyszkolić żołnierzy w jej obsłudze.

MNIEJSZE RÓŻNICE

Kraje sojuszu uzgodniły, że będą zwiększać wydatki na cele obronne, aby w ciągu dekady osiągnąć pułap co najmniej 2% PKB (podobną deklarację przyjęto w 2006 roku). O więcej funduszy na wojsko od dawna apelują do europejskich sojuszników Stany Zjednoczone. Obecnie tylko cztery państwa NATO przeznaczają na obronność co najmniej 2% PKB: USA, Wielka Brytania, Grecja i Estonia (do tego grona dołączy Polska). Najmniej – poniżej procenta – wydają na ten cel Luksemburg, Litwa oraz Węgry, Łotwa i Hiszpania. Statystycznie, przez pięć minionych lat Rosja zwiększyła wydatki na obronność o 50%, a kraje NATO zmniejszyły je średnio o 20%.

Na szczycie podsumowano także operację sił międzynarodowych w Afganistanie. Z końcem 2014 roku spod Hindukuszu zostaną wycofani żołnierze ISAF. Planowana jest natowska misja szkolenia afgańskich armii i policji, która ma liczyć około 14 tys. osób, w tym 9,8 tys. Amerykanów. Nie będzie ona jednak brać udziału w działaniach bojowych. Władze afgańskie muszą jednak najpierw podpisać umowę o takiej współpracy z USA i NATO, co na razie utrudnia przedłużający się kryzys polityczny po nierozstrzygniętych wyborach prezydenckich.

Szczyt w Newport zapoczątkował proces lepszego równoważenia działań ekspedycyjnych i obrony terytorialnej, ale – co podkreśla ambasador Nowak – NATO nie rezygnuje z obrony terytorialnej. Świadczy o tym apel sekretarza stanu USA Johna Kerry’ego, który wezwał dziesięć krajów sojuszników, w tym Polskę, do udziału w koalicji przeciwko bojownikom Państwa Islamskiego w Iraku. Minister Siemoniak wyjaśnił, że Polska jest zainteresowana ewentualnym udzielaniem pomocy humanitarnej. Także ambasador Nowak uważa, że „nie musimy brać udziału w działaniach bojowych, ale powinniśmy dołączyć do sojuszników, jeśli chcemy, aby wykazali oni zrozumienie dla wzmocnionej obrony flanki wschodniej sojuszu”.

Kolejny szczyt NATO w 2016 roku odbędzie się w Warszawie. „Ta decyzja jest ważna ze względów prestiżowych”, ocenia dyrektor PISM Marcin Zaborowski. „Rola gospodarza na szczycie w Newport, czyli premiera Davida Camerona, jest poważna. Bierze on udział w bilateralnych dyskusjach, rozdaje karty i nadaje ton temu szczytowi”.

Czy po walijskim szczycie sojusz północnoatlantyczny nadal wyraźnie dzieli się na starych i nowych członków? Na tak postawione pytanie ambasador Nowak odpowiada, że rozpoczął się proces zmniejszania tych różnic – dzięki wprowadzeniu ciągłej obecności wojskowej w Polsce i krajach bałtyckich. ■

ANDRZEJ KOZŁOWSKI

Dowodzenie w cyberprzestrzeni

Pięć lat temu Amerykanie utworzyli
Dowództwo Operacji Cybernetycznych USA.
Czy ta instytucja skutecznie
chroni ich przed atakami na sieci wojskowe?

Amerykanie szybko dostrzegli znaczenie cyberprzestrzeni na współczesnym polu walki i postanowili stworzyć struktury odpowiedzialne za funkcjonowanie i wspieranie wojska w wirtualnym środowisku. W 1993 roku powstało Centrum Wojny Informacyjnej Sił Powietrznych, a dwa lata później utworzono 609 Dywizjon Wojny Informacyjnej. Obie jednostki były jednak ograniczone tylko do jednego rodzaju wojska.

Dalsze próby utworzenia bardziej skonsolidowanych struktur podjęto w czasie kadencji George'a W. Busha i powstały wówczas Wspólna Grupa Zadaniowa do spraw Operacji Globalnych w Sieci oraz Połączone Dowództwo Komponentu Funkcjonalnego do spraw Wojny Sieciowej. Nie przyniosły one jednak pożądanego rezultatu. Kompetencje obu jednostek często się pokrywały, a one same były zbyt małe, żeby obsłużyć rosnącą w zastraszającym tempie liczbę sieci Departamentu Obrony.

Coraz częściej w środowisku amerykańskich wojskowych dyskutowano zatem o konieczności powołania scentralizowanego dowództwa odpowiedzialnego za operacje w cyberprzestrzeni. Tymczasem w siłach lądowych oraz powietrznych, piechocie morskiej, marynarce wojennej, a nawet w Gwardii Narodowej utworzono oddzielne jednostki operujące w cyberprzestrzeni. Tyle że brak odgórnej struktury koordynującej ich poczynania oraz problemy z wymianą informacji powodowały, że ich działania nie przynosiły oczekiwanych efektów.

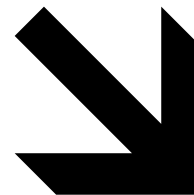
Problem był również z wykorzystaniem tych jednostek. Dowódcy, którzy w akademiach wojskowych zdobyli wiedzę o konwencjonalnych si-

łach zbrojnych, nie wiedzieli, w jaki sposób wykorzystać cyberprzestrzeń w działaniu. Zamiast próbować wdrożyć taktykę odpowiednią dla tych oddziałów, stosowali w stosunku do nich reguły klasycznego pola bitwy, nie dostrzegając specyficzności świata wirtualnego. Dodatkową trudność sprawiała rekrutacja ekspertów do walki w cyberprzestrzeni. Aby wstąpić do cyberoddziałów wojsk lądowych, kandydaci musieli przejść standardowy trening, składający się z wymagających ogromnej sprawności ćwiczeń fizycznych, zdecydowanie nieprzydatnych na polu walki w rzeczywistości wirtualnej.

Pojawiła się również przeszkoda czysto techniczna, utrudniająca współpracę marynarki wojennej i sił powietrznych. Lotnicy preferowali bowiem scentralizowane metody zarządzania sieciami w przeciwieństwie do optycznych za decentralizacją marynarzy.

Stworzenie jednolitego dowództwa miało z jednej strony stanowić remedium na te problemy, a z drugiej odgrywać rolę czynnika odstrasżającego potencjalnych przeciwników przed zaatakowaniem amerykańskich sieci. Tyle że w trakcie dyskusji nad powołaniem Dowództwa Operacji Cybernetycznych USA (USCYBERCOM) pojawił się kolejny kłopot – stwierdzono, że może nastąpić powielenie ról z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), odpowiedzialną za wywiad elektroniczny oraz działalność w cyberprzestrzeni.

W czerwcu 2009 roku ówczesny sekretarz obrony Robert Gates nakazał jednak stworzenie w ramach Dowództwa Sił Strategicznych jednolitego szefostwa, na którego czele miał stanąć czterogwiazdkowy generał (amerykański prof. Paul B. Strassmann porównał tę decyzję do zwodowania



Początkowo zatrudniające niecałe tysiąc osób dowództwo obecnie rozbudowuje się, stając się najważniejszym organem odpowiedzialnym za ochronę sieci wojskowych.

NOWA STRUKTURA WYKONUJE ZADANIA BĘDĄCE POZA KOMPETENCJAMI WIĘKSZOŚCI DOWÓDZTW

pierwszego okrętu podwodnego z napędem nuklearnym). Bezpośrednim impulsem, który doprowadził do powstania nowej struktury, było włamanie do sieci wojskowych w 2008 roku. Utrata wielu cennych danych spowodowała konieczność działania.

Problem z powieleniem kompetencji z NSA rozwiązano natomiast w ten sposób, że szefa tej agencji gen. Keitha B. Alexandra mianowano jednocześnie dowódcą USCYBERCOM (obie organizacje mają również swoją siedzibę w tym samym miejscu – w Fort Meade).

INTEGRACJA W SIECI

USCYBERCOM odpowiada za codzienne monitorowanie sieci wojskowych w celu wykrywania i zwalczania szkodliwego oprogramowania. Co więcej, wspiera operacje wojskowe oraz antyterrorystyczne, przeprowadzając dodatkowe działania w środowisku wirtualnym. Odpowiada również za rozporządzanie zasobami sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w cyberprzestrzeni, odpowiednio planując ich użycie.

Cyberdowództwo ma też współpracować z innymi podmiotami, zarówno rządowymi, jak i należącymi do sektora prywatnego, w celu zwalczania zagrożeń w cyberprzestrzeni, między innymi przez dzielenie się informacjami na temat znalezionej złośliwego oprogramowania oraz naprawianie wykrytych luk w zabezpieczeniach. USCYBERCOM zajmuje się również działalnością edukacyjną – prowadzi zajęcia na temat bezpieczeństwa w sieci oraz tworzy →



PROCES DECYZYJNY

Prezydent Stanów Zjednoczonych



Sekretarz obrony



Dowództwo Sił Strategicznych (USSTRATCOM)



Dowództwo do spraw Cyberprzestrzeni (USCYBERCOM)

Jednostki podporządkowane Dowództwu Operacji Cybernetycznych USA:

- Army Cyber Command/Second Army
- Army Network Enterprise Technology Command/9th Army Signal Command
- United States Army Intelligence and Security Command
- 1st Information Operations Command
- 780th Military Intelligence Brigade
- Fleet Cyber Command/ 10th Fleet
- Naval Network Warfare Command
- Navy Cyber Defense Operations Command
- Naval Information Operations Commands
- Combined Task Forces
- Air Forces Cyber/ 24th Air Force
- 67th Network Warfare Wing
- 668th Information Operations Wing
- 689th Combat Communications Wing
- Marine Corps Cyberspace Command

MILITARIUM STUDIO PK/US DOD





W NAJBLIŻSZEJ PRZYSZŁOŚCI MOŻEMY SIĘ SPODZIEWAĆ UTWORZENIA Z USCYBERCOM ODDZIELNYCH DOWÓDZTW I ZERWANIA Z PODLEGŁOŚCIĄ WOBEC DOWÓDZTWA SIŁ STRATEGICZNYCH

raporty dotyczące strategii, taktyki oraz operacji w świecie wirtualnym.

Jak widać, nowa struktura wykonuje zadania będące poza kompetencjami większości dowództw. Wynika to jednak ze specyficzności działań w cyberprzestrzeni, gdzie zacierają się granice między sferą wojskową i cywilną.

Prawdopodobnie początkowo większość zaawansowanych ataków wykonywali wykwalifikowani hakerzy z NSA. Potwierdziły to informacje dostarczone przez Edwarda Snowdena, który wskazał agencję jako odpowiedzialną za stworzenie skomplikowanego robaka Stuxnet, mającego za zadanie zneutralizowanie sieci irańskiego ośrodka wzbogacania uranu w Natanaż.

ZWYCIĘSTWA I PORAŻKI

Przez pięć lat od powstania USCYBERCOM poprawiło się cyberbezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. W 2011 roku hakerom pochodzącym z niewiadomego państwa udało się włamać do tokenów z firmy RSA, odpowiedzialnej za zabezpieczenie komputerów Departamentu Obrony. Natychmiastowa reakcja pracowników nowej instytucji pozwoliła na skoordynowanie działań – wysłano ostrzeżenia do osób zarządzających sieciami, aby wprowadziły odpowiednie środki zabezpieczające. W ten sposób udało się uniknąć kradzieży cennych informacji. Tego samego roku hakerzy wykorzystali dziury w oprogramowaniu firmy Adobe. Wówczas dowództwo zablokowało wszystkie próby spenetrowania wojskowych sieci.

Nowe dowództwo nie zapobiegło jednak najpoważniejszej operacji cyberspiegowskiej, wymierzonej w siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. W 2013 roku chińskim hakerom udało się wykraść ponad 20 tys. dokumentów zawierających informacje o systemach obronny antyrakietowej: Patriot Pac-3, THAAD, Aegis oraz o amerykańskich samolotach wojskowych F/A-18, V-22 Osprey i F-35.

Powstanie USCYBERCOM spotkało się ze zdecydowaną krytyką na arenie międzynarodowej, szczególnie ze strony Chin i Rosji. Oba państwa oskarżyły Amerykanów o militarzację cyberprzestrzeni. Tyle że ten proces rozpoczął się o wiele wcześniej, a duży wpływ na jego pogłębienie miały właśnie Pekin i Moskwa. Co więcej, wiele państw stworzyło podobne struktury w swoich siłach zbrojnych jeszcze zanim powstało USCYBERCOM, ale identyczne jak w siłach zbrojnych USA powstały tylko w Indiach i Korei Południowej.

Początkowo w nowym dowództwie pracowało około tysiąca osób, a sam budżet USCYBERCOM oscylował wokół 120 mln dol. Nie była to kwota duża, wzięwszy pod uwagę zwiększające się wydatki na cyberbezpieczeństwo. Taka okrojona struktura wynikała jednak z zadań jednostki, która nie tworzyła cyberarmii, lecz zajmowała się koordynacją działań zdecydowanie liczniejszych cyberjednostek wszystkich sił zbrojnych. W 2013 roku zapowiedziano jednak reformy. Postanowiono między innymi zwiększyć liczbę pracowników do 5 tys. i podzielić ich na trzy grupy: narodowe siły zadaniowe, odpowiedzialne za ochronę elementów infrastruktury krytycznej, takich jak sieci energetyczne, elektrownie, tamy oraz inne obiekty kluczowe dla funkcjonowania państwa; bojowe siły zadaniowe, których głównym celem jest pomaganie dowódcom wojskowym poprzez prowadzenie operacji o charakterze ofensywnym w cyberprzestrzeni; siły cyberochrony, odpowiedzialne za monitorowanie i ochronę sieci Departamentu Obrony.

RAZEM CZY OSOBNO

Nie wszystkie jednak reformy wprowadzono w życie. W 2014 roku odszedł na emeryturę obecny szef USCYBERCOM i NSA gen. Keith Alexander. Część ekspertów i wojskowych uznała wówczas, że to najlepszy moment na rozdzielenie obu instytucji. Wskazywano na zbyt dużą akumulację władzy w rękach jednej osoby, co dawało jej możliwość kontrolowania wywiadu oraz jednoczesnego przeprowadzania operacji ofensywnych w cyberprzestrzeni. W szczególności fakt ten nabral znaczenia po ujawnieniu przez Edwarda Snowdena dokumentów o szpiegowaniu w internecie.

Zwolennicy kontynuowania dotychczasowych rozwiązań podkreślali natomiast, że współpraca NSA i USCYBERCOM przebiegała wzorcowo. Wskazywano również na zyski wynikające z korzystania przez te dwie instytucje z tych samych sieci. Były to znaczne oszczędności, tak bardzo potrzebne w czasie kryzysu ekonomicznego i zmniejszających się wydatków na zbrojenia. Obawiano się też, że po rozdzieleniu obu struktur rozpocznie się rywalizacja o zasoby i wystąpi nakładanie się na siebie kompetencji. Okazało się, że administracja Baracka Obamy przychyliła się do argumentów prezentowanych przez zwolenników obecnego modelu. Nowym dowódcą USCYBERCOM i zarazem szefem NSA został adm. Michael Rogers, były dowódca cyberjednostki marynarki wojennej. ■



PAŃSTWO
ISLAMSKIE

Dżihad lekarstwem

ANDRZEJ
MROCZEK

Z analiz służb wywiadowczych wynika, że na terenie Syrii i Iraku może przebywać około 2 tys. obywateli z paszportami państw zachodnich, którzy przyłączyli się do grup terrorystycznych. Mamy do czynienia z nową falą terroryzmu islamskiego, a właściwie ze starą, ale w nowym wydaniu – za sprawą organizacji terrorystycznej Państwo Islamskie. Jej przebojowość i konsekwencja w działaniu stały się magnesem dla dżihadystów na całym świecie. Problem jest poważny, gdyż prowadzonej przez Państwo Islamskie indoktrynacji z wykorzystaniem najnowszych technologii ulegają bardzo młode osoby – nawet 14-latkowie – choć większość to mężczyźni w wieku do 30 lat. To nowoczesna organizacja terrorystyczna, bardziej niebezpieczna niż Al-Kaida. Doskonale wykorzystuje wszelkie narzędzia medialne do propagandy, komunikacji, dezinformacji, szkolenia oraz zdobywania informacji. Poprzez artykuły, filmy, gazety, ulotki, gry wideo, aktywność na portalach społecznościowych, takich jak Facebook i Twitter, trafia do umysłów młodych ludzi w państwach zachodnich.

Przyciąganie do dżihadu młodych ludzi z państw cywilizacji zachodniej świadczy o dalekowzrocznym myśleniu propagandyistów organizacji. To będzie „mięso armatnie” na froncie, ale także uśpione zaplecze do przeprowadzania zamachów terrorystycznych na całym świecie. Główne hasło propagandowe Państwa Islamskiego kierowane do odbiorcy w krajach zachodnich brzmi: „W sercu masz depresję, a lekarstwem na depresję jest dżihad”. Odwoływanie się do poczucia historycznej krzywdy (robiła tak też Al-Kaida) oraz sztandarowe hasło zjednoczenia sunnickich muzułmanów „Dziel i zwyciężaj” pobudzają wyobraźnię młodych ludzi i ugruntowują ich w przekonaniu, że podjęli dobrą decyzję o wstąpieniu na drogę dżihadu. Takie działania Państwa Islamskiego odróżniają je od Al-Kaidy, która stała się dla młodych ludzi organizacją skostniałą. Państwa zachodnie nie mają strategii uniemożliwiającej pozyskiwanie młodych obywateli przez Państwo Islamskie. Działania takie muszą być koherentne z działalnością strictly policyjną, kontrwywiadowczą i wywiadowczą. ■

ANDRZEJ MROCZEK JEST KOORDYNATOREM
DS. SZKOLEŃ CENTRUM BADAŃ NAD TERRORYZMEM
COLLEGIUM CIVITAS.



FRANCJA

Droga bez powrotu



KLAUS
BACHMANN

Niewiele wiemy o powodach skłaniających obywateli państw zachodnich do walki po stronie radykalnych ugrupowań islamistycznych w Syrii czy w Iraku. Jednak to, co wiemy, choćby z ich wspomnień i wywiadów z krewnymi, wskazuje, że nie są to typowi terroryści. Kilkanaście lat temu amerykański uczyony Vamik Volkan próbował stworzyć charakterystykę osobowości terrorysty, który po silnym wstrząsie w życiu prywatnym staje się bezkompromisowym, mocno zideologizowanym bojownikiem. To pasowało do klasycznych przywódców ugrupowań terrorystycznych, takich jak Abdullah Öcalan, szef PKK, ale nie odpowiada osobowości szeregowych członków organizacji tego typu z Europy Zachodniej. Nie sprawdza się także teza, że terroryzm przyciąga ludzi z marginesu, bo wiele osób należących do ugrupowań terrorystycznych pochodzi z dobrze sytuowanych rodzin. Pewną rolę odgrywa tu religia, ale nie jako przyczyna takiego zachowania, lecz jako uzasadnienie. Młodzi ludzie szukają sensu życia i trafiają na radykalnych demagogów, którzy dają im odczuć, że są wariaci więcej niż inni. To może przekonać syna biednych, wykluczonych imigrantów z przedmieść Paryża, ale też znużonego potomka arabskiego biznesmena w pałacu w Prowansji. Działanie według jasnych rozkazów daje pewność, której często brakuje w społeczeństwach, gdzie obywatel sam musi podejmować decyzje i za nie odpowiada. W radykalnych ugrupowaniach „żołnierze” mogą to scedować na przywódców. Takie organizacje dają też silne poczucie przynależności – wiadomo, kto jest z nami i kto jest wrogiem, wszystko jest czarno-białe.

Nie da się zapobiec takiej rekrutacji. We Francji dżihadystów werbowano w więzieniach, co pokazuje, że nawet odosobnienie nie zapobiega radykalizacji – po wyjściu na wolność niejedyn przestępca znika. Wyjeżdża na przykład do Turcji, gdzie granica z Syrią jest nadal niestrzeżona, mimo nacisków rządów europejskich. Nie ma możliwości powrotu – kto wyjechał do islamistów w Syrii, jest na nich skazany; już za sam pobyt w obozie szkoleniowym po powrocie można dostać wieloletnią karę więzienia. ■

KLAUS BACHMANN JEST PROFESOREM POLITOLOGII
SZKOŁY WYŻSZEJ PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ.

**wojny
i pokoje**



PIOTR BOCZOŃ

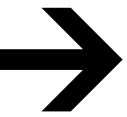
| II WOJNA ŚWIATOWA |

SŁOWACKI MARSZ KU WOJNIE

Ponad 75 lat temu na Polskę uderzyły armie państw z nią sąsiadujących – III Rzeszy, Związku Sowieckiego i... Słowacji.



24 sierpnia 1939 roku
armia słowacka została
postawiona w stan
gotowości, a 28 sierpnia
ogłoszono mobilizację.
Na zdjęciu żołnierze
słowaccy pochodzenia
niemieckiego



SŁOWACKI MARSZ KU WOJNIE

E efektem I wojny światowej było pojawienie się na mapie Europy kilku państw, które po latach niewoli odzyskały niepodległość. Do tego grona należały Polska i Czechosłowacja. Od pierwszej chwili odzyskania wolności podjęły one walkę o kształt swoich granic. Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego między naszymi krajami dochodziło do zatargów oraz incydentów zbrojnych i dyplomatycznych, a także regularnych potyczek o obszary przygraniczne – Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawę. W tym miejscu należy na moment cofnąć się do roku 1918.

Rozpad Austro-Węgier wywołał ruchy niepodległościowe na Rusi, w znacznej części zamieszkiwanej przez ludność pochodzenia słowiańskiego. Efektem owego ożywienia było powstawanie tak zwanych rad, które formułowały własne programy polityczne i narodowościowe. Do momentu zakończenia I wojny światowej władza Węgier nad tymi terenami była oczywista, a miejscowych nazywano nawet Rusinami węgierskimi. Tyle że była to ludność pochodzenia słowiańskiego, więc większość rad opowiadała się za wejściem w skład nowo powstałej Czechosłowacji, a nie Węgier.

W styczniu 1919 roku wojska czeskie wkroczyły na tereny Rusi Zakarpackiej, gdzie powitano ich jak wyzwolicieli. Węgrzy, z powodu zawirowań politycznych, nie mogli jednak przeciwdziałać aneksji dokonanej przez Czechosłowację. Z biegiem lat sytuacja się zaogniała – głównie w wyniku działalności ugrupowań nacjonalistycznych, między innymi Organizacji Nacjonalistów Ukraińskich (OUN), nawołujących do powstania samodzielnego bytu politycznego. Nie pomogły nawet wysiłki Pragi, która inwestowała znaczne sumy w rozwój gospodarczy regionu.

OPERACJA „ŁOM”

W pewnym momencie OUN jawnie zaczęła nawoływać do stworzenia niepodległej Rusi. Jednocześnie członkowie tej organizacji przystąpili do działań wymierzonych w Polskę – chcieli oderwać województwa lwowskie, tarnopolskie oraz stanisławowskie od naszego kraju. Sytuacja stała się groź-



Gen. I rangi Ferdinand Čatloš rozmawia z gen. E. Engelbrechtem



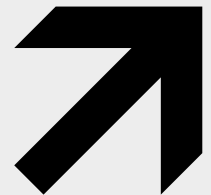
Sojusznicy – żołnierze Wehrmachtu pozują do zdjęć z żołnierzami armii słowackiej.



na, kiedy Abwehra zaczęła wspierać nacjonalistów z OUN. Rządy Węgier oraz Polski postanowiły wówczas podjąć działania destabilizujące sytuację na terenach Rusi Zakarpackiej. Dzięki temu Polska przestałaby mieć problem z Organizacją Nacjonalistów Ukraińskich i wspierającym ją wywiadem niemieckim. Węgrzy natomiast odzyskaliby tereny utracone w 1919 roku.

Realizacją tego planu miał się zająć Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Mimo że rozkaz rozpoczęcia operacji „Łom” wydał stojący na jego czele gen. bryg. Wacław Stachewicz, początkowo z przyczyn politycznych nie chciano do niej angażować regularnych oddziałów Wojska Polskiego. Na dowódcę operacji wyznaczono mjr. Feliksa Ankersteina, pełniącego obowiązki zastępcy kierownika Ekspozytury nr 2 Oddziału II SGWP.

Przygotowania do akcji trwały do 20 października 1938 roku. Sformowano grupy dywersyjne – głównie z Polaków zamieszkałych na terenie Spisza, Orawy lub Zaolzia, legitymujących się dokumentami czechosłowackimi. Wielu z nich miało przeszkolenie wojskowe lub było członkami różnych polskich organizacji paramilitarnych. Jedną z pierwszych grup zorganizowano w schronisku w Rozluczu, a jej członków szkolono między innymi w walce wręcz, technikach strzeleckich i posługiwaniu się materiałami wybuchowymi. W połowie października grupy mogły przystąpić do działania.



W skład nowo powstałej Armii Polowej „Bernolák”, przeznaczonej do ataku na Polskę, miało wchodzić ponad 51 tys. żołnierzy.



Dowództwo Armii Polowej „Bernolák”

MUSEUM HISTORYCZNE - PAŁAC W DUKLI (3)

Oddział II SGWP planował udział w zadaniach pomocniczych pracowników placówek dyplomatycznych. Do transportu materiałów wybuchowych, przeznaczonych do zniszczenia wiaduktu kolejowego oraz drogi w okolicach Užhorodu, chciano wykorzystać na przykład radcę Ministerstwa Spraw Zagranicznych Piotra Kurnickiego, który w towarzystwie pracowników placówki wywiadowczej miał je dostarczyć samochodem należącym do konsulatu.

Oprócz niszczenia infrastruktury drogowej i kolejowej przewidywano również ataki na urzędy pocztowe, komisariaty policji, siedziby różnych organizacji. Nie zapomniano również o akcji propagandowej. Grupy kolportowały ulotki odwołujące się do poczucia wspólnoty narodowej Rusinów oraz do przyłączenia Rusi Zakarpackiej do Węgier. Samodzielny referat techniczny Oddziału II SGWP wydrukował ponad 15 tys. ulotek i większość z nich rozkolportowano tuż przed rozpoczęciem operacji.

Do akcji nocą z 22 na 23 października 1938 roku jako pierwszą wysłano grupę z Rozluczca. Pozostałe rozpoczęły działania kilka dni później. Przeprowadzono kilkadziesiąt akcji: wysadzano mosty, niszczone linie telefoniczne, atakowano urzędy. Tylko 8 listopada dokonano pięciu ataków dywersyjnych w różnych miejscach. Do najgłośniejszego doszło w miejscowości Nižné Verecké, gdzie oddział pod dowództwem kpt. Konrada Guderzkiego (późniejszego dowódcy obrony Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku) w mundurach armii czechosłowackiej opanował miasteczko, zniszczył pocztę i posterunek policji oraz wezwał do powstania i przyłączenia okolicznych terenów do Węgier! Na koniec uprowadzono do Polski 20 żandarmów, których osadzono w więzieniu w Drohobyczu. Wypuszczono ich dopiero po czterech miesiącach, już po aneksji Czechosłowacji.

W związku ze skierowaniem do walki z polskimi grupami dywersyjnymi regularnych oddziałów armii Czechosłowackiej podjęto decyzję, aby w miejsce niedużych grup dywersyjnych wprowadzić do działania większe pododdziały, niejednokrotnie w sile kompanii, wyposażone w broń maszynową. W ich składzie znaleźli się zawodowi oficerowie oraz żołnierze regularnych oddziałów Wojska Polskiego.

Operację „Łom” prowadzono do 25 listopada 1938 roku – wysadzono wówczas 12 mostów drogowych, jeden kolejowy i zapórę wodną, zniszczono urząd pocztowy oraz centralę telefoniczną. Przerwano blisko 30 linii telefonicznych oraz sieć wysokiego napięcia. Stoczono co najmniej cztery potyczki z wojskami czechosłowackimi. Polskie straty wyniosły 11 zabitych, dziewięciu rannych, trzech wziętych do niewoli oraz dwóch zaginionych. Akcję przerwano po proteście III Rzeszy, która dowiedziała się o planowanej węgierskiej aneksji Rusi Zakarpackiej. Włochy początkowo wspierały Węgrów, ale po konsultacjach z Berlinem również ogłosiły swój sprzeciw w tej sprawie. Węgierskie plany zostały wówczas zawieszono.

OMAMIENI PRZEZ BERLIN

Sytuacja Czechosłowacji drastycznie się pogorszyła po podpisaniu 30 września 1938 roku tak zwanego układu monachijskiego. Początkowo słowaccy liderzy, między innymi ksiądz Jozef Tiso, byli tak przyjaźnie nastawieni do Polski, że jeszcze przed uzyskaniem autonomii, na posiedzeniu koła parlamentarnego Słowackiej Partii Ludowej podjęto decyzję o oddaniu Słowacji pod polską „opiekę”. Polscy politycy jednak zignorowali tę propozycję. Kilka dni później Słowacy wymusili na rządzie w Pradze zgodę na autonomię, którą oficjalnie ogłosili 6 października 1938 roku. W ten sposób powstała Druga Republika Czechosłowacka.

W wyniku rewizji decyzji Ligi Narodów w marcu 1924 roku Polska zajęła miejscowość Jaworzyna oraz część Spisza i Orawy (27–29 listopada 1938 roku), uzyskawszy tym samym obszar około 220 km² zamieszkiwany przez około 3200 mieszkańców, z których zaledwie 400 było Polakami. To był szok dla Słowaków, którzy od tej pory zmienili nastawienie do Polaków.

Mamieni przez Berlin Słowacy, kreując się na jedyne obrońcy słowackich interesów narodowych, zwrócili się w jego stronę. 14 marca 1939 roku powstała Pierwsza Republika Słowacka z ks. Jozefem Tiso i Vojtechem Tuką na czele. Chociaż zostało to usankcjonowane decyzją parlamentu słowackiego, tak naprawdę był to efekt zakulisowego wsparcia Niemiec. Już w chwili powstania Pierwsza Republika Słowacka poniosła znaczną stratę terytorialną – utraciła na rzecz Węgier Ukrainę Zakarpacką.

15 marca 1939 roku wojska III Rzeszy zajęły Pragę i Druga Republika Czechosłowacka przestała istnieć. Rząd ks. Jozefa Tiso zdecydował się wówczas na dalsze zacieśnianie stosunków z III Rzeszą, upatrując w niej obrońcy swojej niepodległości. Wkrótce przedstawiciele republiki zawarli z Niemcami układ reasekuracyjny, który podporządkowywał politykę zagraniczną oraz politykę obronną Słowacji III Rzeszy.

W podpisanym 23 marca 1939 roku układzie niemiecko-słowackim czytamy: „W celu dopełnienia opieki, której podjęła się Rzesza Niemiecka, armia niemiecka ma prawo w każdej chwili na chronionych terenach na zachodniej granicy państwa słowackiego i na wschodzie, wzdłuż linii wschodniego skraju Małych Karpat, wschodniego skraju Białych Karpat i wschod-





Kolumna żołnierzy słowackich

PROPAGANDOWA ULOTKA SZTABU GŁÓWNEGO WP

Bracia!!! Nadszedł czas wyzwolenia! W Monachium rozstrzygnięto o losie Czechosłowacji. Nastąpił rozbiór zbudowanego na kłamstwie państwa, w którym liczne narody jeszcze cierpią. Rusini! Przygotowujcie się do tego dnia! Dzień Waszego wyzwolenia już się zbliża! Nie wiercie Czechom, którzy znowu chcą Was oszukać nowymi obietnicami! W „nowej” Czechosłowacji znów będziecie niewolnikami! Czesi zniszczyli Waszą gospodarkę! Zamknięte fabryki, gdzie wcześniej pracowaliście! Wasi synowie na próżno uczą się i (tak) nie otrzymują pracy! Czesi są dyrektorami w zakładach i fabrykach! Czesi są robotnikami! Rusini są wszędzie pozbawieni kawałka chleba! Wszystkie plony z Waszych pól zabrała Praga! Z podatków Waszych opłacano żandarmów, którzy Was gnębili. Synowie Wasi służyli w wojsku w obcych stronach, w tym czasie kiedy bracia Wasi cierpieli głód w domu. Dość!! Zrzucicie z siebie jarzmo czeskie! Granica Węgier zbliża się do Was i Wy idźcie na jej spotkanie! Zamiast nędzy czeskiej, ucisku czeskiego otrzymacie od kraju madziarskiego – pszenicę, wino i pokój. W blasku korony świętego Stefana będziecie żyć w bogactwie i korzystać z wolności religijnej, gospodarczej i politycznej.

Źródło: www.kresy.pl

niego skraju Jaworzyny, budować urządzenia wojskowe i obsadzać je takimi siłami, jakie uzna za potrzebne. Rząd słowacki podejmie kroki, aby armii niemieckiej zostały oddane do dyspozycji odpowiednie tereny pod te urządzenia”.

W wyniku tajnych rozmów prowadzonych między dwoma krajami uzgodniono też, że słowackie wojska wraz z Wehrmachtem uderzą na Polskę. Ponadto Słowacja udostępni niemieckiej armii potrzebną do tej operacji infrastrukturę drogową oraz kolejową. 12 lipca 1939 roku podpisano jeszcze dodatkowo dwustronną umowę tworzącą w zachodniej części Słowacji tak zwaną niemiecką strefę ochronną. Dzięki zabiegom politycznym Niemcy uzyskały nie tylko sojusznika do planowanego ataku, lecz także doskonałą bazę wypadową do ataku z południowej flanki.

W ostatnich tygodniach poprzedzających wybuch wojny Wehrmacht rozpoczął dyslokowanie swoich jednostek na terenach przygranicznych. Prasa słowacka głosiła, że ma to związek z agresywną polityką Polski, a wojska niemieckie są rozmieszczane na wypadek ewentualnych polskich akcji militarnych wymierzonych przeciwko Słowacji. Prezydent ks. Jozef Tiso powołał do życia nowy organ władzy państwowej – Najwyższą Radę Ochrony Państwa, w której skład wchodził minister spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych i obrony narodowej, a także dowódca Gwardii Hlinkovej (była zbrojnym ramieniem rządzącej Słowackiej Partii Ludowej i jednocześnie pełniła funkcję policji).

24 sierpnia 1939 roku armia słowacka została postawiona w stan gotowości, a 28 sierpnia ogłoszono mobilizację. Między 26 a 30 sierpnia pod broń powołano żołnierzy rezerwy. W skład nowo powstałej Armii Polowej „Bernolák”, przeznaczonej do ataku na Polskę, miało wchodzić ponad 51 tys. żołnierzy. Prasa

słowacka informowała społeczeństwo o wzrastającym zagrożeniu ze strony Polski oraz prześcigała się w opisach wręcz barbarzyńskiego traktowania przez Polaków miejscowej ludności z terenów przyłączonych do Polski. Pojawiały się między innymi takie teksty: „Jeszcze dzisiaj stoi mi przed oczami chłopiec, który skarży się z płaczem: »Nowy polski nauczyciel ciągnął nas za uszy do telefonu i bił nas, żebyśmy krzyčeli do aparatu: ‘Niech żyje Polska!’«. Ten chłopiec i tuziny innych przeżyli barbarzyństwo, o jakim trudno mówić w dzisiejszej Europie. Szowinistyczny sadystyczny nauczyciel zadzwonił do swojego instruktora w Nowym Targu i prosił go, żeby słuchał przy aparacie, jak nasze wyzwolone jaworzynskie dzieci z entuzjazmem wołają na sławę Polsce”.

Wziąwszy pod uwagę sytuację polityczną, w jakiej znalazła się Słowacja, oraz nastroje społeczeństwa, nie dziwi, że 30 sierpnia 1939 roku podczas posiedzenia rządu prezydent kraju ks. Jozef Tiso poinformował zebranych, że armia słowacka weźmie udział w wojnie z Polską. Decyzję o ataku uzasadnił rzekomym rosnącym zagrożeniem ze strony Polski oraz wciąż świeżym konfliktem o Spisz i Orawę. Nikt z obecnych nie oponował.

1 września 1939 roku słowacka armia wraz z wojskami niemieckimi zaatakowała Polskę. O świcie żołnierze 1 Batalionu 1 Dywizji Piechoty armii słowackiej oraz żołnierze Wehrmachtu przekroczyli granicę Rzeczypospolitej. ■

PIOTR BOCZOŃ OD PONAD 20 LAT JEST ZWIĄZANY Z WOJSKIEM POLSKIM – NAJPIERW JAKO ŻOŁNIERZ ZAWODOWY, A NASTĘPNIE PRACOWNIK WOJSKA.

DZIAŁA RÓWNIEŻ W GRUPACH REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ, MIĘDZY INNYMI W GRH WOLF ORAZ W KLUBIE SPADOCHRONOWYM SIŁ SPECJALNYCH.



ANDRZEJ
FAŁARA

Bojowy peleton

CO ZDOLNIEJSI KOLARZE
PRZECHODZILI W WARSZAWIE
OKRES REKRUCKI, SKŁADALI
PRZYSIĘGĘ, PO CZYM PRZEZ DWA
LATA ŚCIGALI SIĘ KU CHWALE
LUDOWEGO WOJSKA POLSKIEGO

Sukcesy Rafała Majki pobudziły moje zainteresowanie kolarstwem do tego stopnia, że sprawdziłem, czy rowery były kiedykolwiek w wyposażeniu Wojska Polskiego. Okazuje się, że były. W okresie międzywojennym istniały oddziały kolarzy, które w 1939 roku uczestniczyły w kampanii polskiej. Nie na pierwszej linii, rzecz jasna. Odgrywały rolę łącznikową.

Swoją drogą ciekawe, dlaczego ci wszyscy, którzy wciąż próbują przekonywać, że nasi we wrześniu 1939 roku atakowali niemieckie czołgi konno, z szablami w dłoniach, nie włączyli rowerzystów do tych swoich mitycznych opowieści. Przekaz byłby znacznie ciekawszy. Na jednym skrzydle kawaleria, na drugim kolarski peleton.

Po wojnie kolarze znów znaleźli się pod kuratelą wojska, ale już na innych zasadach. Armia za komuny miała na utrzymaniu sporą część wyczynowego sportu. W wojskowych klubach sportowych nie brakowało sekcji kolarskich. Dominowała oczywiście Legia, która ściągała do siebie co zdolniejszych zawodników w wieku poborowym. Młodzi ludzie przechodzili w Warszawie okres rekrucki, składali przysięgę, po czym przez dwa lata ścigali się ku chwale ludowego Wojska Polskiego, a ci najlepsi nawet ku chwale ojczyzny.

Stanisław Królak, pierwszy polski zwycięzca Wyścigu Pokoju, imprezy kultowej, której triumfatorzy zyskiwali popularność większą niż dziś Małysz i Radwańska razem wzięci, był żołnierzem, członkiem CWKS – Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego (tak wtedy nazywała się Legia), gdy stawał na najwyższym podium w Pradze w 1956 roku. Kilkanaście lat później trafił do Legii inny wybitny kolarz, Stanisław Szozda. Wygrał swój Wyścig Pokoju (1974) już po zakończeniu służby wojskowej, ale srebrny medal olimpijski w jeździe drużynowej (1972) zdobył, można powiedzieć, w mundurze.

Kolarze Legii mieli swoje małe gniazdko na zapleczu kortów przy ulicy Myśliwieckiej. Wśród rowerów, kół i rozmaitych kolarskich akcesoriów urzędował tam przez długie lata szef sekcji Roman Siemiński, autor wspaniałych opowieści z wyścigowych tras. Można tam było spotkać znakomitego trenera Andrzeja Trochanowskiego, który wypuścił w świat wielu wybitnych zawodników. Jednym z jego podopiecznych był Czesław Lang, wicemistrz olimpijski z 1980 roku, pierwszy polski zawodowiec, a obecnie organizator ekskluzywnego Wyścigu Dookoła Polski. Wojsko sporo mu pomogło w wyjeździe do Włoch. Przypomnę: był 1982 rok, w Polsce obowiązywał stan wojenny, a sport profesjonalny uważano za niezgodny z ideami ludu pracującego miast i wsi.

Te wszystkie wspomnienia obudził we mnie Rafał Majka, który z wojskiem nie ma nic wspólnego. Urodził się w 1989 roku. Gdy osiągnął wiek poborowy (19 lat), w Polsce zniesiono akurat obowiązkową służbę wojskową. A gdyby nawet tego nie zrobiono, to Majka i tak nie miałby szans trafić do Legii albo do Floty Gdynia. Wojskowe kluby sportowe już dawno przestały istnieć. Bojowy peleton definitywnie przeszedł w stan spoczynku. ■



ANNA DĄBROWSKA

Troska o pamięć

Grobom bohaterów, którzy życie oddali z widmem wolnej Polski na oczach, największa cześć się należy.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

na moczarach i w lasach. „One są najbardziej zapomniane, napisy tam zbladły, a w zaroślach luzem leżą kości. Stan ten musi ustać. Groby opuszczone i skazane na zagładę obrażają nasze głębsze uczucia. Bądźmy konsekwentni, skoro stworzyliśmy prawo, to musimy go przestrzegać i dać minimum tego, co grobom żołnierskim się słusznie należy”.

ZAORANE MOGIŁY

Do realizacji tych planów powstał wydział grobownictwa wojskowego przy Ministerstwie Robót Publicznych. „Rząd poczynił już zarządzenia celem odszukania, ekshumacji i przenoszenia zwłok poległych na wspólne cmentarze. Powitać należy z zadowoleniem pożądaną objaw takiego zainteresowania”, stwierdzono w „Polsce Zbrojnej”.

Referent wydziału Jan Tokarski zapewniał na łamach gazety, że troszczy się o mogiły naszych żołnierzy rozrzucone po frontach światowej wojny. „Robimy co możemy, ale własnymi siłami nie damy rady. Konieczne jest wsparcie całego społeczeństwa. To dzięki niemu udało się popchnąć sprawę polskiego cmentarza wojskowego we Francji”.

Urzędnik podaje też, że Polska ma jeszcze dużo mogił w Rosji Sowieckiej. „Tu można by wiele zrobić. Traktat Ryski zobowiązuje obie strony do wzajemnego szanowania grobów i odpowiedniego ich utrzymania, zezwala na stawianie nagrobków, ekshumacje i przewóz zwłok do ojczyzny”, tłumaczy Tokarski. Apeluje, aby powiadamiać wydział o opuszczonych i zapomnianych mogiłach, a urzędnicy drogą dyplomatyczną dołożą wszelkich starań, aby rozciągnąć nad nimi należytą opiekę.

W kwestii natomiast żołnierzy poległych na terenie ojczyzny sprawa według niego przedstawia się nie najgorzej. „Z rozporządzenia rządu ścisła

Wojnie światowej nasza ziemia dosłownie krwią nasiąkała. Wielu spoczywa w niej bohaterów, którzy walczyli wierząc w wolną Polskę i dla niej umierali. A jak im się teraz Polska odwdzięcza?”, pytał w październiku 1926 roku Maciej Gruszczyński na łamach „Polski Zbrojnej”.

KOŚCI W LESIE

Jak pisał, polegli nie chcą pomników, posągów ani metalowych wieńców. Ale mają prawo, aby miejsce ich wiecznego spoczynku ogrodzić tak, żeby mogli ich nie deptał człowiek ani zwierzę. „Także ustawodawca mówi, że groby ich mają być wieczyste i nienaruszalne i podlegać opiece narodu. Groby polskich żołnierzy to bowiem dalszy ciąg nierozdzielny polskiego państwa”, argumentował dziennikarz.

Inaczej jednak wygląda to w rzeczywistości. „Pół biedy, jeśli mogiła leży blisko jakiegoś garnizonu, gdzie odpowiedzialny dowódca we własnym

skromnym zakresie zadba o nią, ogrodzi i postawi drewniany krzyż. To jednak są tylko wyjątki, a w ogólności ochrona cmentarzy poległych w ostatniej wojnie pozostawia wiele do życzenia”, potwierdzał w 1927 roku w wojskowej gazecie Mateusz Nawaro.

Pojedyncze mogiły rozrzucone po całym obszarze państwa dają smutny obraz rzeczywistości, pisał dziennikarz. „Groby albo zanikły zupełnie pod wpływem czasu albo grozi im zaniedbanie ze strony społeczeństwa i są na drodze do zaniku. A przecież spoczywają w nich zwłoki bohaterów, którzy życie oddali w sprawie wyzwolenia”.

Dziennik podaje też przykłady profanowanych nekropolii. Należy do nich położony niedaleko od Zwierzyńca cmentarz poległych. „Jest on w stanie zupełnego zaniedbania, bez dozoru, a spacerowiczom groby służą do rozsiania się, zastawiania ich jadem i trunkami”, donosi korespondent z Lublina.

Jak stwierdza Gruszczyński, dużo jest też grobów na terenach odludnych,

ewidencję grobów prowadzi każde województwo, a my je sumujemy i uzupełniamy. Niestety z dawnych lat po wielu mogiłach nie został już ślad. Żołnierz padł w polu, ktoś postawił krzyż, ale po wojnie któryś z kmiotków zaorał ziemię pod siew i mogiła zniknęła”.

ALBUM PAMIĘCI

Jak twierdzili dziennikarze, przykład szczególnej pieczy na grobami wojskowymi daje nam zagranica, gdzie znajdują one wśród społeczeństwa żywe zainteresowanie. Świadczyła o tym wizyta w wydziale grobownictwa francuskiej misji wojskowej. Jej celem było omówienie prac nad ekshumacją i ponownym pochówkiem żołnierzy francuskich poległych na naszych terenach. Jak poinformowały polskie władze, odszukaliśmy 267 Francuzów. Są wśród nich jeńcy zmarli w czasie wojny w niemieckiej obozach i polegli walczący w polskich szeregach od 1919 roku.

Dziennik wojskowy przedstawił też pomysł, jak uczcić i godnie uwiecznić pamięć polskich poległych. „Stwórzmy nasze wielkie wydawnictwo Krzyż Drewniany. Wszak nie ma w Polsce rodziny, która by w czasie wielkiej wojny nie straciła w walce kogoś z najbliż-

szych. Niech każdy napisze krótką i ciepłą wzmiankę o poległym, niech poda miejsce wiecznego spoczynku i doda fotografie, a stworzymy potężne wydawnictwo utrwalające ich czyny”.

Gazeta proponowała, aby publikacje podzielić na działy: legioniści, kaniowczycy, bojończycy, dowborczycy, peowiacy, puławczycy i regularne formacje niepodległej ojczyzny. „Ten możliwie pełny spis ogółu poległych w walce o wolność w latach 1914–1920 stałby się jeszcze jednym żywym świadectwem samodzielności naszych wysiłków zbrojnych w tej wojnie i wielkości poniesionych ofiar stanowiąc nie tylko dokument historyczny, ale też doniosły czynnik moralny i pedagogiczny jako wyraz narodowej czci i pamięci dla poległych na polu chwały”, pisała „Polska Zbrojna”. Gazeta argumentowała też, że album mógłby stać się źródłem dochodów umożliwiającym władzom stawianie nie tylko drewnianych krzyży, lecz także kamiennych nagrobków.

„Dajmy poległym opiekę, a za nią przyjdzie kult obywateli, którzy zobaczą wreszcie, że miejsca te są istotnie święte. Gdy obowiązek ten zostanie spełniony, pokażemy, że Polska potrafi być wdzięczna”.



POLSKA ZBROJNA
20 KWIETNIA
1933 ROKU

KAPITAN LEON BOŃKOWSKI:

Gołąb pocztowy podczas ostatniej wojny odzyskał dawne swe znacznie jako symbol łączności. W technice gołębiarskiej nastąpiły też w czasie wojny radykalne zmiany. Ptaki musiały przyzwyczać się do gołębników ruchomych, nauczyć latać tam i z powrotem między dwoma punktami, a nawet przystosować do lotów nocnych. Dzięki temu mogły być używane do przenoszenia meldunków z pierwszej strefy bojowej i tam oddawały nieocenione swe usługi.

PITAWAL

Kłopoty w podróży

Atakowany oficer wyciągnął rewolwer i ranił szofera w brzuch.

W czerwcu 1926 roku kpt. Bogdana Zagrajskiego z Wojskowego Instytutu Geograficznego odkomenderowano w okolice Nowogródka do dokończenia tam pomiarów geodezyjnych. Pod koniec miesiąca został wezwany do swoich przełożonych, żeby zdał relację z postępu prac.

Najął więc konie i jechał nimi w kierunku stacji kolejowej w Nowojelni. Jednak w miejscowości Dzieciół postanowił dalszą drogę odbyć kursującym stąd autobusem. Okazało się jednak, że kierowcy jeszcze nie ma, a do odjazdu pozostało 45 min.

Kapitan rozkazał więc ordynansowi szers. Szawlakowi pozostać z rzeczami

i po nadejściu szofera zarezerwować miejsce. Sam zaś, zdruzgotany podróżą, udał się do lokalu oddalonego około 300 m od postoju. Gdy nadszedł kierowca Aleksander Zdanowicz, ordynans zakomunikował mu, że oficer w pilnych sprawach jedzie do Nowojelni. Żołnierz, pozostawiając rzeczy w autobusie, pobiegł po kapitana. Kierowca nie zczekał jednak na oficera i odjechał bez niego.

Zagrajski był zmuszony udać się na stację końmi. Odszukał tam kierowcę, aby odebrać swoje rzeczy i przy okazji zwrócił mu uwagę na niewłaściwe zachowanie. Zdanowiczowi nie spodobała się ta krytyka i między pa-

nami doszło do ostrej scysji. „Szofer rzucił się na kapitana i schwycił go za piersi i ręce, rozpoczęło się kilkuminutowe szamotanie”, podawano w „Polsce Zbrojnej”.

Ponieważ Zdanowicz, mimo kilkakrotnych ostrzeżeń, oficera nie odstępował, ten wyjął rewolwer. Padł strzał, kula ugodziła szofera w brzuch. Po kilku dniach w szpitalu ranny zmarł.

„Wojskowy Sąd Okręgowy w Wilnie uznał kapitana winnego zabójstwa pod silnym wzburzeniem duchowym wywołanym przez gwałt i napaść na jego osobę”.

Biorąc pod uwagę wiele okoliczności łagodzących, wynikających z samego zajścia, oraz świetną opinię i kwalifikacje służbowe oskarżonego, który dotąd nie miał zatargów z prawem, sąd zasądził dla niego tylko rok twierdzy. Wyrok jako za niski zaskarżył prokurator, jednak po ponownym rozpatrzeniu sprawy Najwyższy Sąd Wojskowy odrzucił zażalenie.

Czytelnicy „Polski Zbrojnej” przyłączyli się do naszej akcji ratowania od zapomnienia historii rodzinnych, dotyczących tradycji wojskowych. Do redakcji napływają zdjęcia, dokumenty, pamiątki.



Leon (drugi z prawej, wyżej) ze swoimi pracownikami przed budynkiem WKU w Nowogardzie



Leonard z synem Leszkiem

Materiały do publikacji prosimy przysyłać na adres: polska-zbrojna@zbrojni.pl z tytułem e-maila „Album”. W wiadomości trzeba zawrzeć podpis pod ilustrację i zgodę na publikację fotografii.

Oficerski klan

Długie życie obrasta wspomnieniami. W zyciorys Leonarda Kośnego, 96-letniego dziś majora w stanie spoczynku, historia wpisała dole i niedole podobne milionom Polaków żyjących w tym czasie na Kresach. Jego przeżyć wystarczyłoby na kilka zyciorysów.

Po raz pierwszy włożył mundur w piątej klasie Szkoły Powszechnej nr 1 we Włodzimierzu Wołyńskim w 1932 roku, kiedy został harcerzem. W 1935 roku był w składzie harcerskiej drużyny szkolnej na międzynarodowym zlocie skautów w Spale. Po ukończeniu szkoły rzemieślniczo-przemysłowej pracował jako monter sieci telefonicznej. Skorzystał z propozycji Towarzystwa Wojskowo-Technicznego z Warszawy, oferującego trzyletnią naukę w zawodzie wojskowego specjalisty mechanika samolotowego na koszt wojska w zamian za zobowiązanie służby zawodowej. Został żołnierzem. Jako mechanik płatowca służył w 62 Eskadrze Bombowców w 6 Pułku Lotniczym, stacjonującym koło Lwowa, a potem, jako starszy szeregowy w 63 Eskadrze Rozpoznawczej. Tam ukończył szkołę podoficerską.

W 1939 roku przeszedł z pułkiem cały szlak bojowy – od przegrupowania na lotnisko Lubliniek koło Łodzi, przez kolejne lotniska, położone coraz bardziej na wschodzie. Kiedy 17 września kolumna techniczna pułku zmierzała na Lwów, doszło do walki z radzieckimi czołgami i piechotą. Po walce ukrył karabin, wypruł dystynkcje i po wielotygodniowej tułaczce dotarł do domu.

Armia upomniała się o niego ponownie pod koniec 1941 roku, tyle że „czerwona”. Leonarda Kośnego powołano do służby w 419 Batalionie Budowy Lotnisk Armii Radzieckiej w Kołomyi. Podczas przeprawy jednostki przez bród na Dniestrze w miejscowości Kaplica uciekł z radzieckiego wojska. Wrócił do Włodzimierza.

Po raz trzeci włożył mundur w 1944 roku. Został powołany do służby w ludowym Wojsku Polskim. Przydzielono go do Oficerskiej Szkoły Czołgów organizowanej w Chełmie. W 1945 roku, po przeniesieniu już wtedy Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej do Modlina, Leonard Kośny został promowany na podporucznika. W służbie zajmował wiele stanowisk. Między innymi był zastępcą dowódcy 2 Pułku Czołgów do spraw technicznych oraz pomocnikiem szefa Wydziału Technicznego do spraw Zaopatrzenia 2 Korpusu Zmechanizowanego we Wrocławiu.

W 1956 roku, w wyniku pierwszej powojennej demobilizacji, mjr Kośny został przeniesiony do

Centralnej Składnicy Sprzętu Pancernego w Gałkówek koło Łodzi, a następnie do administracji wojskowej. W 1970 roku znalazł się w rezerwie.

W 1940 roku Leonard zawarł związek małżeński z Janiną Borusiewicz. Wychowali czworo dzieci – trzech synów i jedną córkę. Wszyscy synowie poszli w ślady ojca.

Konstanty Leszek ukończył Oficerską Szkołę Radiotechniczną w Jeleniej Górze w 1965 roku. Zajmował wiele stanowisk dowódczych w jednostkach oraz sztabie 3 Dywizji Artylerii Rakietowej OPK.

Adam po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze w 1969 roku, następnie Akademii Sztabu Generalnego WP w Rembertowie w 1980 roku, służył na stanowiskach dowódczych w 3 Łużyckiej Dywizji Artylerii OPK oraz w Dowództwie Wojsk OPK. W 1987 roku ukończył kurs w Akademii Obrony Powietrznej ZSRR w Kalininie, a w 1995 roku – sześciomiesięczny kurs języka angielskiego w Kanadzie. Następnie objął obowiązki szefa Wydziału Kontaktów Zagranicznych, po czym szefa Oddziału Współpracy Międzynarodowej Dowództwa WLOP. Uczestniczył między innymi w pracach związanych z programem „Partnerstwo dla pokoju”, był inspektorem traktatu CFE oraz inspektorem traktatu „Open Sky”.

Bogdan ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Obrony Przeciwlotniczej w Koszalinie w 1978 roku. Zajmował wiele stanowisk – od dowódcy plutonu – dowódcy wyrzutni po dowódcę baterii w 18 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej w Jeleniej Górze, a po studiach w Wojskowej Akademii Obrony Przeciwlotniczej Wojsk Lądowych w Kijowie był między innymi dowódcą 11 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej w Bolesławcu, szefem Obrony Przeciwlotniczej 11 Dywizji Kawalerii Pancernej w Żaganie oraz wykładowcą w Wyższej Szkole Oficerskiej w Poznaniu. Jeden z wnuków Leonarda, Gustaw, w 2004 roku został podchorążym Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Na trzecim roku, na własną prośbę, został zwolniony ze służby kandydackiej, by w 2009 roku rozpocząć studia wojskowe – 12-miesięczne Studium Oficerskie w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Rok później, promowany na podporucznika, objął stanowisko nawigatora-operatora eskadry lotniczej w 44 Bazie Lotnictwa Morskiego. ■

OPRACOWAŁ: WŁODZIMIERZ KAŁETA

Adam na pokładzie samolotu rozpoznawczego podczas rutynowych lotów nad Niemcami

Okrety podwodne, określane potem jako podwodne krążowniki, najwcześniej zbudowano w Niemczech – w czasie I wojny światowej. Powstało dziesięć jednostek, z których każda, oprócz wyrzutni torped, miała dwie armaty kalibru 150 mm. W latach 1916–1919 w Wielkiej Brytanii zbudowano trzy okręty podwodne, uzbrojone w armatę kalibru 305 mm, nazywane podwodnymi monitorami. Przed końcem wojny do służby wszedł jeden z nich, ale nie użyto go operacyjnie.

GIGANT Z CHERBOURGA

W latach międzywojennych podobne okręty znalazły się we wszystkich największych marynarkach wojennych. Najpotężniejszy z nich, „Surcouf” (NN 3), zbudowano na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku we Francji. Uzbrojono go w armaty największego kalibru dopuszczalnego przez traktat waszyngtoński o ograniczeniu zbrojeń morskich. Decyzja o budowie pierwszej z trzech potężnie uzbrojonych jednostek podwodnych, których zadaniem miało być niszczenie wrogich statków handlowych, zapadła w 1926 roku. Prace nad nią rozpoczęły się w lipcu 1927 roku w stoczni Arsenal de

Cherbourg. Wodowanie miało miejsce 18 listopada 1929 roku (niektóre źródła podają 18 października).

Szczegółem wyróżniającym „Surcoufa” od innych jednostek była 196-tonowa wieża z dwiema armatami kalibru 203/50 mm, którą obsługiwało dziesięciu marynarzy. Maksymalny kąt podniesienia ich luf (każda o masie 20 716 kg) wynosił 30°, a zasięg ognia 26–27,5 km, jednak możliwości prowadzenia precyzyjnego ostrzału były znacznie mniejsze. Dalmierz pozwalał kierować ogniem na odległość do 12 km, a z wykorzystaniem peryskopów jego zasięg był o 4 km większy. Na pokładzie „Surcoufa” było 600 pocisków kalibru 203 mm, z których każdy ważył ponad 120 kg. Armaty mogły rozpocząć ostrzał w trzy i pół minuty po wynurzeniu. I oddać trzy salwy w ciągu minuty. Prędkość początkowa pocisków wynosiła 895 m/s. Okręt dysponował też dwiema armatami przeciwlotniczymi kalibru 37/50 mm oraz dwoma podwójnymi wielkokalibrowymi karabinami maszynowymi 13,2/76 mm.

W hangarze był złożony niewielki, jednosilnikowy wodnosamolot rozpoznawczy Besson MB-411. Jego czas rozładowania i montażu lub demontażu i załadunku wynosił 30 min. MB-411 mógł być w powietrzu sześć, siedem godzin. „Surcouf” miał

PIOTR STOKARSKI

W okresie międzywojennym we Francji zbudowano największy i najsilniej uzbrojony okręt podwodny owych czasów.



PODWODNY

motorówkę, która mogła służyć jako wysunięty punkt obserwacyjny dla artylerii lub środek transportu grupy abordażowej. Łódź ta rozwijała prędkość 18 w. i miała zasięg 70 Mm.

„Surcoufa” wyposażono w wyrzutnie torpedowe dwóch różnych kalibrów – 400 i 550 mm. To dość rzadkie rozwiązanie pojawiło się na kilku typach francuskich okrętów podwodnych budowanych przed II wojną światową. Torpeda Mle 1924 kalibru 550 mm miała masę 1490 kg, w tym 310 kg materiału wybuchowego. Przy prędkości 35 w. jej zasięg wynosił 7 km, gdy były to 44 w., spadał do 3 km. Masa 400-milimetrowej torpedy Mle 1926 to z kolei 654 kg, w tym 144 kg materiału wybuchowego. Przy prędkości 43 w. jej zasięg wynosił około 2 km.

Jeśli chodzi o rozmieszczenie wyrzutni torpedowych „Surcoufa”, w źródłach pełna zgodność panuje tylko co do czterech dziobowych kalibru 550 mm. W wypadku pozostałych pojawiają się wątpliwości. Najczęściej jest podawane, że poczwórna wyrzutnia torped kalibru 400 mm była na rufie, a na śródokręciu ulokowano cztery kalibru 550 mm. Były one ruchome, oprócz kadłuba ciśnieniowego. Według niektórych źródeł okręt miał mieć, zamiast poczwórnych, dwa potrójne

aparaty torpedowe Mle 1926 OSD, każdy z dwoma wyrzutniami kalibru 400 mm i jedną 550-milimetrową. „Surcouf” był jedynym okrętem francuskim, na którym można było na morzu ponownie załadować wyrzutnie zewnętrzne. Okręt zabierał 22 torpedy, w tym 14 kalibru 550 mm.

ZMIENNE LOSY

Wbrew planom „Surcouf” pozostał jedynakiem. Powodem były nowe ograniczenia dotyczące okrętów podwodnych przyjęte podczas międzynarodowej konferencji morskiej w Londynie. Postanowiono, że jednostki mogą mieć do 2 tys. t wyporności i armaty najwyżej kalibru 130 mm. Przy czym mocarstwa zastrzegły sobie prawo budowy trzech większych, o wyporności do 2800 t i maksymalnym kalibrze armat 155 mm. Nawet, gdyby nie było tych ustaleń, Francuzi prawdopodobnie nie podjęliby się budowy następnych podwodnych krążowników typu Surcouf ze względów finansowych. Okręt kosztował ich około 87 mln franków, dwa razy więcej niż początkowo szacowano. Owa suma stanowiła połowę ceny ciężkiego krążownika z ośmioma armatami kalibru 203 mm.



KRĄŻOWNIK



„SURCOUF” W LICZBACH

Długość	110 m
Szerokość	9 m
Zanurzenie	7,18 m
Wyporność	3304 t (na powierzchni); 4318 t (w zanurzeniu)
Napęd	dwa silniki wysokoprężne Sulzera o mocy 7600 KM; dwa silniki elektryczne o mocy 3400 KM
Zapasy paliwa	309 t
Prędkość	18–19 w. (na powierzchni); 8,5–9 w. (w zanurzeniu)
Zasięg	10 000 Mm z prędkością 10 w.
Autonomia	90 dni
Głębokość zanurzenia	80 m (bezpieczna)
Załoga	118 marynarzy, w tym ośmiu oficerów



WODNOSAMOLOT MB-411

Masa startowa	1140 kg
Długość	8,25 m
Wysokość	2,85 m
Rozpiętość skrzydeł	12 m
Powierzchnia skrzydeł	12 m²
Napęd	silnik Salmson 9 ND o mocy 175 KM
Zasięg	345–400 km
Pułap	5000 m
Prędkość maksymalna	185 km/h
Załoga	dwie osoby

Francuzi zmienili klasyfikację „Surcoufa”, który wszedł do służby 3 maja 1934 roku, na „okręt podwodny obrony kolonii”. Wybuch II wojny światowej zastał go na patrolu. W pierwszych tygodniach wojny „Surcouf” eskortował na Atlantyku konwoje zmierzające do Wielkiej Brytanii. W październiku 1939 roku powrócił do Brestu, gdzie rozpoczął się jego remont. Zgodnie z harmonogramem okręt miał wrócić na morze 5 lipca 1940 roku, jednak 10 maja 1940 roku Niemcy zaatakowali Francję, która poniosła w następnych tygodniach klęskę.

18 czerwca 1940 roku, gdy czołgi gen. Edwina Rommla zbliżyły się do Brestu, „Surcouf”, wraz innymi okrętami, opuścił port. Początkowo kapitan zamierzał płynąć do Casablanki, ale potem, ze względu na stan techniczny jednostki, zmienił decyzję. 20 czerwca „Surcouf” wszedł do brytyjskiego portu Plymouth. Dwa dni później rząd marsz. Philippe’a Pétaina podpisał zawieszenie broni z Niemcami. Sytuacja okrętów francuskich w portach Wielkiej Brytanii stała się niejednoznaczna, załogi były podzielone na chcące dalej walczyć pod wodzą gen. Charles’a de Gaulle’a i zwolenników podporządkowania się rządowi Vichy. Brytyjczycy mieli zaś obawy, że rząd Pétaina może zostać zmuszony do przekazania swych jednostek III Rzeszy i zdecydowali na przejęcie siłą kontroli nad okrętami niedawnych sojuszników. Operację „Catapult” rozpoczęto 3 lipca 1940 roku. Na pokładzie „Surcoufa” doszło wówczas do strzelaniny.

Kilka tygodni później okręt wszedł w skład floty Wolnej Francji. Ponieważ nie miał odpowiednich torped, rozważano zamontowanie brytyjskich wyrzutni kalibru 533 mm. Ostatecznie „Surcouf” dostał torpedy po francuskim niszczycielu „Maille Brézé”, na którym 30 kwietnia 1940 roku w Greenock w Szkocji doszło do wybuchu. Przy okazji jednego z remontów wymieniono karabiny maszynowe. Nowe były kalibru 12,7 mm.

W 1941 roku okręt eskortował atlantyckie konwoje oraz patrolował ocean. Od sierpnia 1941 roku był znowu w remoncie, tym razem w USA, po którym 27 listopada przybył do kanadyjskiego Halifaxu. 24 grudnia 1941 roku „Surcouf” był częścią ekspedycyjnych sił Wolnej Francji, które bezkrytycznie przejęły kontrolę nad znajdującymi się pod administracją Vichy niewielkimi wysepkami Saint-Pierre i Miquelon u wybrzeży Nowej Funlandii. Okręt opuścił Halifax 2 lutego 1942 roku i popłynął w kierunku Bermudów, gdzie uzupełnił zapasy. 12 lutego „Surcouf” wyruszył w stronę Kanału Panamskiego, gdyż postanowiono wysłać go na Pacyfik.

TAJEMNICA ZATONIĘCIA

„Surcouf” zatonął w nocy z 18 na 19 lutego 1942 roku około 130 km na północny wschód od panamskiego portu Cristobal. Zderzył się z amerykańskim frachtowcem „Thomson Lykes”. Spekulowano jednak, że „Surcoufa” mogły zniszczyć przez omyłkę amerykańskie samoloty, ponieważ była informacja o ataku w tym czasie na duży okręt podwodny w rejonie Karaibów. Według innej wersji napotkał niemieckiego U-Bootu i obie jednostki zostały zniszczone przez amerykańskie okręty podwodne lub sterowiec straży przybrzeżnej. Niektórzy nawet sugerowali, że francuski krążownik stał się jedną z ofiar Trójkąta Bermudzkiego.

Spekulacjom sprzyjał fakt, że nie uratował się żaden z członków załogi „Surcoufa”, a jego wraku nie odnaleziono. Najczęściej jest podawane, że w momencie katastrofy na pokładzie było 130 osób, choć pojawiają się też informacje, że nawet 150. Niezależnie od tego jest to dotąd największa w historii liczba ofiar zatonięcia okrętu podwodnego. Na pokładzie USS „Tresher”, który poszedł na dno w 1963 roku, zginęło 129 marynarzy, a na rosyjskim „Kursku” w 2000 roku było 118 osób. ■

”



WŁODZIMIERZ
KALETA

Pechowy dubler

MAJOR, KTÓRY NIE
UMIE PŁYWAĆ?
WSTYD
I KOMPROMITACJA!

”

To była największa tajemnica pułkownika K.A. Wstydzi się o tej historii opowiadać nawet teraz, kiedy od lat jest w rezerwie. Jako jeden z przodujących dowódców pododdziału w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku został skierowany do Akademii Sztabu Generalnego. Dla oficera była to przepustka do kariery. Tym pewniejsza, im lepsze wyniki osiągał student. Na egzaminie liczyła się zatem każda ocena. K.A. uczył się zatem pilnie i sumiennie. Jako przeciwnik miał mniejszą wiedzę na przykład na temat taktyki jednostek ogólnowojskowych niż jego koledzy dowodzący batalionami w pułkach zmechanizowanych czy pancernych. Musiał nadrobić te braki i robił to z powodzeniem. W indeksie miał niemal same piątki.

W pewnym momencie stanął jednak przed nie lada problemem. Zbliżał się egzamin z pływania. A to nie była najmocniejsza strona K.A. Wizja słabej oceny, a może nawet niezaliczenia tego egzaminu, nie dawała mu spać po nocach. Major, który nie umie pływać? Wstyd i kompromitacja. W końcu znalazł rozwiązanie. Młodszy o dwa lata brat, podobny do niego niczym bliźniak, pływał znakomicie. Mógł go zatem zastąpić na egzaminie. Pochwalił się jednak swoim pomysłem najlepszemu koledze z grupy, który pływał jeszcze gorzej od niego. Ten ubłagał go, by brat przyjechał na egzaminę ze swoim kolegą umiejącym pływać.

I tak się stało. Pomysł wypalił. Tak przynajmniej obu oficerom wydawało się tuż po sprawdzianie. Brat majora K.A. zdał pływanie na piątkę, podobnie jak dubler jego kolegi, chociaż całkiem do niego niepodobny – był dużo wyższy i rudy, a nie blondyn. Bomba wybuchła, kiedy sędziowie jeszcze raz przejrzeni wyniki. Okazało się, że dubler kolegi A.K. wyrównał rekord uczelni w pływaniu na tym dystansie. Kierownik wuefu w akademii natychmiast wezwał mistrza przed swoje oblicze. Zapytał pływaka, jak ukończył szkołę i poprosił o podanie panieńskiego nazwiska matki. Wówczas mistyfikacja wyszła na jaw. Brat A.K. na wszystkie pytania o rodzinę odpowiedział prawidłowo, ale trener akademików szybko rozszyfrował i tę zamianę.

Jak ta niefortunna przygoda się skończyła? Sprawę ostatecznie zamieciono pod dywan i A.K. oraz jego kolega ukończyli akademię. Zajmowali potem wysokie stanowiska wojskowe, wprowadzali naszą armię do NATO. ■

PODPULKOWNIK W STANIE SPOCZYNKU
WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ
W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.





PAULINA GLIŃSKA

| P A S J E |

LOTNICZE ŚWIRY NA POLOWANIU

W poszukiwaniu najlepszych ujęć samolotów przemierzają nie tylko Europę. Byli w bazie Andrews pod Waszyngtonem, na lotnisku Żukowski pod Moskwą i w norweskiej bazie w Bodø za kołem polarnym.

→ LOTNICZE ŚWIRY NA POLOWANIU

Stowarzyszenie Polskich Fotografów Lotniczych Air-Action liczy około 60 członków, kobiet i mężczyzn, w różnym wieku i z różnych miast całej Polski. Na co dzień są między innymi inżynierami, przedsiębiorcami, developerami, żołnierzami, lekarzami i prawnikami. Wszystkich łączy pasja do lotniczej fotografii.

„Początki naszej działalności sięgają 2004 roku. Killkoro z nas działało wtedy na forum użytkowników nikonu, gdzie zamieszczaliśmy zrobione przez siebie zdjęcia i gdzie dorobiliśmy się przydomka świrów lotniczych. Z czasem grupa pasjonatów powiększyła się i w 2009 roku założyliśmy własne, sprofilowane Stowarzyszenie Polskich Fotografów Lotniczych Air-Action”, mówi Sławek „hesja” Krajniewski, pomysłodawca inicjatywy i dziś prezes stowarzyszenia.

DWA W JEDNYM

Na początku dla jednych pierwsza była fotografia, dla innych lotnictwo, ale z czasem wszyscy połączyli jedno z drugim. „Wcześniej moją pasją było zwiedzanie i fotografowanie zamków. Jeździłam ze znajomi do Czech, ale w końcu zamki nam się skończyły. Któregoś weekendu wybrałam się na pokazy lotnicze. Ciarki, które przeszły mnie wtedy na widok latających maszyn, pamiętam do dziś”, mówi Katarzyna Skonieczna „Kate”, jedna z kilku kobiet w stowarzyszeniu.

Początki fotograficznej przygody Leszka Kujawskiego to czasy podstawówki. Zdjęcia samolotom zaczął robić w 1997 roku, gdy po raz pierwszy pojechał na pokazy w Dęblinie. „W rękę pożyczony pentax, ogromne oczekiwania, pełna kieszeń filmów. Co mogło pójść źle? Później z przejęciem tłumaczyłem oglądającym odbitki, że ta kropka na zdjęciu to samolot Tornado. Ale wtedy połknąłem bakcyła i zacząłem regularnie jeździć na lotnicze imprezy. Samoloty, szczególnie wojskowe, ich niebezpieczne piękno, moc i wdzięk, z jakim unoszą się w powietrzu, są dla mnie hipnotyzujące”, mówi Leszek Kujawski „Imk”. I tak fotografia stała się częścią jego życia. W 2003 roku kupił pierwszą cyfrową lustrzankę, pierwszy teleobiektyw i w końcu kropki na zdjęciach zamieniły się w samoloty.

Tomasz Chochół „Qna” interesuje się lotnictwem od kiedy pamięta: „Latałem na szybowcach. Potem z aparatem w rękę zacząłem przesiadywać w okolicach lotniska i tak jakoś naturalnie wyszło, że zacząłem łączyć pasję do lotnictwa z fotografią”.

Dla „hesji” przygoda z fotografią zaczęła już w końcu lat siedemdziesiątych od słynnego aparatu marki Smiena. Potem był zenit i licealne koło fotograficzne. W tym samym czasie fascynował się „Dywizjonem 303” i hukiem dopalaczy samolotów Su-7. Choć pilotem nie został, skończył studia na kierunku lotniczym.

Fotografowie z Air-Action są niemal wszędzie tam, gdzie się na niebie coś dzieje. W swoim portfolio mają między innymi ujęcia samolotów F-16, Typhoon, Gripen, Rafale, Eurofighter,

KONRAD KIFERT / SPEL AIR-ACTION



Mirage, ale też Airbusa A-380 czy Boeinga 747. „Na co dzień nie mamy latających maszyn na wyciągnięcie ręki. Niekiedy trzeba pokonać wiele przeszkód, by móc je sfotografować”, mówi „hesja”.

Rzadko udaje im się wyjechać całą ekipą. „Każdy z nas ma pracę, więc siłą rzeczy nie da się być na każdym pokazie. Jeździmy więc tak często, jak pozwalają możliwości finansowe i wolny czas. W moim wypadku to około dziesięciu pokazów w ciągu roku, ale każdy wyjazd i każdy kontakt z lotnictwem jest dla mnie niesamowitym przeżyciem”, mówi Katarzyna Skonieczna.



Choć ich zdjęcia inni uważają za profesjonalne, oni sami nie myślą o sobie jako o zawodowcach. Z własnej pasji chcą przede wszystkim czerpać przyjemność, dobrą zabawę, a nie profity.



MICHAŁ WJNCHOLD / SPFL AIR-ACTION

SLAWOMIR KRAJNIEWSKI / SPFL AIR-ACTION

PRACE CZŁONKÓW AIR ACTION WZBUDZAJĄ ZACHWYTY ZARÓWNO W KRAJU, JAK I ZA GRANICĄ

C-295 w Balicach oraz śmigłowce należące do 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej, również stacjonujące w Balicach. Chwałą współpracę z wojskiem. „Samo złapanie kontaktu trochę trwało. Musieliśmy się nawzajem poznać i zaufać sobie, a także przekonać wojsko, że nie jesteśmy bandą rozpuszczonych ludzi, którzy rozbiegną się po lotnisku, zapominając o tym, jak ważne w takich miejscach są względy bezpieczeństwa. Teraz jesteśmy chętnie zapraszani”, mówi Tomasz „Qna”.

Polskie siły powietrzne nie pozostają dłużne w komplementach. „To ludzie pełni pasji. Czasami, by sfotografować samoloty, przyjeżdżają do nas z odległych zakątków Polski. My udostępniamy lotniska i maszyny do fotografowania, a oni przekazują nam zdjęcia na naprawdę bardzo wysokim poziomie. Z całą pewnością robią świetną promocję polskim siłom powietrznym”, przyznaje mjr Miroslaw Guziel, rzecznik prasowy 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim.

„Lotnicze świry” odwiedzają też siły powietrzne innych państw. W bazie wojskowej w Volkel świętowali 100. rocznicę powstania Królewskich Holenderskich Sił Powietrznych. Brali też udział w zorganizowanych z okazji stulecia tureckich sił powietrznych pokazach w bazie lotniczej w Çiğli, w pobliżu Izmiru. Członkowie Air-Action goszczą też na niemal wszystkich ważniejszych imprezach lotniczych w Europie. Są stałymi bywalcami między innymi Luchtmachtdagen w Holandii, austriackich Airpower czy największych na świecie, organizowanych w angielskiej bazie RAF w Fairford Royal International Air Tattoo.

„Takie pokazy to dla nas prawdziwa gratka – w jednym miejscu możemy fotografować różne statki powietrzne. Poza tym panuje tam niesamowita atmosfera. Możemy też spotkać się z ludźmi z całego świata o podobnych zainteresowaniach. Wrażenia pozostają na długo”, mówi Sławek Krajniewski. Na stałe do ich kalendarza weszły dni NATO – Ostrava NATO Days – organizowane co roku w czeskiej Ostrawie czy pokazy odbywające się w hiszpańskim Albacete – Tactical Leadership Programme.

Jeżdżą w wiele wyjątkowych miejsc. W poszukiwaniu najlepszych ujęć regularnie odwiedzają jednostki sił powietrznych. W 2012 roku nawiązali bliską współpracę z kilkoma polskimi bazami lotniczymi, głównie z 1 i 2 Skrzydłem Lotnictwa Taktycznego. Bo większość członków stowarzyszenia upodobała sobie wojskowe maszyny. „Choć znamy typy samolotów, które fotografujemy, to nie przywiązujemy aż tak dużej wagi do ich numerów bocznych, serii czy modeli”, mówi Mariusz Suwalski „MarS”, wiceprezes Air-Action.

Fotografowali między innymi samoloty MiG-29 w Mińsku Mazowieckim, F-16 w Łasku i Poznaniu, Su-22 w Świdwinie,

Dla większości członków stowarzyszenia ukochanym miejscem są jednak szwajcarskie Alpy w pobliżu miejscowości Axalp, gdzie mieści się poligon szwajcarskich sił powietrznych i gdzie co roku odbywają się pokazy lotnicze połączone z treningiem strzeleckim sił powietrznych Szwajcarii. „Ta impreza to ewenement na skalę światową. Punkty widokowe znajdują się na szczytach gór otaczających dolinę strzelniczy, samoloty często więc latają poniżej naszego poziomu. Dzięki temu nasze zdjęcia wychodzą tak, jakbyśmy robili je z pokładów innych statków powietrznych”, mówi „MarS”.

„Qna” podkreśla, że każdy, kto był w tym miejscu, marzy by tam wrócić. „Dźwięk latających myśliwców jest spotęgowany echem odbijającym się od gór. Tam nie tylko słyszy się odrzutowce, tam się je czuje całym swoim organizmem. Sam szczyt ma prawie 3 tys. m, a hornety i F-5 »pokonują go« w locie odwróconym tuż nad naszymi głowami. Niesamowite wrażenia i niezwykła sceneria do fotografowania”.

Członkowie stowarzyszenia byli też poza Europą, na przykład w amerykańskiej bazie lotniczej w Nellis, leżącej nieopodal stolicy hazardu – Las Vegas. To tam podczas pokazów Aviation Nation sfotografowali ultranowoczesne: F-22 Raptor i B-1B Lancer, a także oldtimery F-86 Sabre i P-51 Mustang. Te zdjęcia to dziś perełki w ich zbiorach. Ale, jak przyznają członkowie SPFL, z przyjemnością jeżdżą też na polski Airshow w Radomiu. „To pokazy, którymi możemy się pochwalić. Widziałem sporo i mogę powiedzieć, że ani organizacyjnie, ani widowiskowo nie odbiegają one poziomem od podobnych tego typu pokazów europejskich”, przyznaje „Qna”.

OBRAZ WART TYSIĄCA SŁÓW

W każdą podróż fotografowie zabierają ze sobą całą masę sprzętu. Gdy podróżują samochodami, fotograficzny ekwipunek – aparaty, obiektywy, statywy – waży nawet 25 kg. Podczas podróży samolotem waga niezbędnych fotografowi przedmiotów musi zostać jednak ograniczona do 15 kg. „W takich sytuacjach najczęściej rezygnujemy z dodatkowych obiektywów, kabelków, baterii, czyli z rzeczy, które nie są aż tak konieczne”, tłumaczy Leszek Kujawski.

Gdy są już na miejscu, wypakowują sprzęt i oddają się największej przyjemności. Każdy na własny sposób stara się oddać piękno lotu podniebnych maszyn. Ich prace to nie tylko dokumentacyjno-techniczne zdjęcia ukazujące sylwetki samolotu. Każdy z nich przede wszystkim stara się oddać atmosferę danej chwili. „Dobry fotograf patrzy na świat obrazami. Najlepsze zdjęcie to takie, z którym wiąże się jakieś emocje i jakaś opowieść. Wtedy ma ono dla nas większą wartość niż dziesiątki innych, nawet lepszych technicznie”, mówi „hesja”.

Tomasz Chochół lubi fotografować maszyny na tle zachodzącego słońca, burzowych chmur, a także nocą. „Nigdy nie skupiam się tylko na głównym obiekcie, ale staram się go »wpleść« w otaczającą przestrzeń tak, by wszystko razem tworzyło harmonijny obraz”, mówi „Qna”.

Swoje zdjęcia może liczyć w tysiącach. „Nie wiem, czy trafiłbym wybrać jedno jedyne ulubione. Może wytypowałbym z dziesięć. Na pewno byłyby tam fotografie podchodzącego do lądowania o zachodzie słońca puchacza, zrobione w Axalp, i przede wszystkim zdjęcie z 2007 roku z Łasku przedstawiające widowiskowego »breaka« naszego F-16”.

Leszek Kujawski „Imk” na koncie ma ponad 15 tys. zrobionych zdjęć. Najbardziej lubi fotografować tornada, vulcany



Sama pasja nie wystarczy

Jak się dostać do Air-Action?

Dla pasjonatów ze Stowarzyszenia Polskich Fotografów Lotniczych Air-Action liczy się przede wszystkim jakość fotografii. Dlatego zdjęcia zrobione przez kandydata i wysłane jako załącznik do aplikacji muszą przejść przez sito rady artystycznej stowarzyszenia. Najlepsi, którzy dołączą do Air-Action i dadzą od siebie coś więcej niż tylko składkę członkowską, otrzymują szansę na udział we wszelkich wyjazdach, imprezach, zlotach, plenerach, warsztatach, szkoleniach, fotowizytach w bazach lotniczych, organizowanych przez SPFL.

i śmigłowce. „Lubię zdjęcia, które pokazują dynamikę. Często jest tak, że samoloty łapią się w obiektyw w podobnych ujęciach. Zadaniem fotografa jest, by uchwycić najlepszy moment. Mam jedno ulubione zdjęcie vulcana zrobione na pokazach w Wielkiej Brytanii w ubiegłym roku. Udało mi się po prostu podobne ujęcie sprzed kilku lat. Uważam, że to najfajniejsze zdjęcie tego samolotu, jakie dotychczas zrobiłem”, mówi „Imk”.

„Kate” fotografuje od czterech lat. Uwielbia odrzutowce. „Być może właśnie dlatego, że robią tyle hałasu”, mówi. Obiektywem „ustrzeliła” między innymi hornety, Su-22, Su-27, F-16. „Najbardziej lubię jednak zdjęcia zespołu akrobacyjnego Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii – Red Arrows. Podniebne ewolucje w ich wykonaniu, w połączeniu z kolorowymi dymami, zapierają dech w piersiach”, mówi Katarzyna Skonieczna. Dzięki zdjęciom zrobionym brytyjskim maszynom wrażenia towarzyszące pokazowi wciąż może przeżywać na nowo. „Nie wszyscy lubią mozolną pracę już po zebraniu materiału, czyli całą tę obróbkę, przeglądanie, kadrowanie. Dla mnie to ogromna satysfakcja i powrót do chwil, gdy byłam na pokazie”, mówi Katarzyna.

W ZESPOLE SIŁA

Choć ich zdjęcia inni uznają za profesjonalne, oni sami za zawodowców się nie uważają. Od samotnego wyczekiwania na doskonałe ujęcie wolą pracę zespołową. „Nic nie robimy na siłę i niczego z góry nie zakładamy. Działamy w grupie i każdy z nas wnosi w naszą działalność cząstkę siebie. Dzięki temu każdy może się od drugiego czegoś nauczyć”, mówi „hesja”.





MAREK STACIWA / SPFL AIR-ACTION

W GRUPIE SIŁA, TO FILOZOFIA LOTNICZEJ FOTOGRAFII CZŁONKÓW STOWARZY- SZENIA POLSKICH FOTOGRAFÓW LOTNICZYCH

Bez wątplenia jednak członkowie SPFL to znawcy techniki fotografii. Ich forum to nie tylko wymiana zachwyty nad zrobionymi już zdjęciami, lecz także merytoryczna dyskusja o ich mankamentach. Dlatego członkowie stale podnoszą swoje umiejętności. Cyklicznie w Białowieży, Tomaszowie Mazowieckim i na górze Żar w Beskidach organizują zloty i spotkania z ludźmi z lotniczego świata. Nie rywalizują jednak ze sobą. Na zdjęciach obok nazwiska fotografa umieszczają też logo stowarzyszenia. „Portfolio jest naszą wizytówką. Składa się na nie praca nas wszystkich” podkreślają. „Wiadomo, że każdy z nas chce zrobić jak najlepsze zdjęcia, ale nie chcemy się ścigać. Pomagamy sobie, staramy się wzajemnie inspirować i wciąż wspólnie szukać nowych pomysłów”, mówi Mariusz Suwalski. „Qna” dodaje: „Jak oglądam moje zdjęcia, to widzę, jak wiele osób udzieliło mi wsparcia – ktoś pożyczył obiektyw, ktoś inny pomógł w logistyce czy podpowiedział »przesuń się dwa metry dalej«”.

Ta sympatia, optymizm i radość są, zdaniem samych pasjonatów, najfajniejsze, bo dla wielu z nich spotkania z innymi ludźmi i klimat towarzyszący lotniczym imprezom są równie ważne, jak samo robienie zdjęć. „Uwielbiam atmosferę pokazów, zapach nafty lotniczej. Cieszę się, mogąc być blisko samolotów i między podobnymi do mnie »świrami«”, mówi Leszek Kujawski. „Nikt nie narzeka, zarazamy się wzajemnie optymizmem, każdy cieszy się chwilą. To jest taka dziedzina, która przynosi wiele satysfakcji. Sprawia mi radość, gdy uda mi się zrobić dobre zdjęcie i ktoś mnie za nie pochwali. Trzy dni spędzone z ludźmi o podobnych zainteresowaniach, to dla mnie jak dwa tygodnie urlopu”, mówi „Kate”. ■

BOJĘ SIĘ DOPIERO TERAZ

Z Marią Wiernikowską o reporterskich relacjach z pierwszej linii frontu, pytaniach, jakie zadałaby na Majdanie, i nowej wojnie, która napędza biznes, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

„Widziałam wojny. Wiem, jak łatwo i jak głupio się zachowują. Faceci uwielbiają stroszyć piórka, paradować w bojowym rynsztunku, machać sztandarami, przeżyć muskuły. [...] A potem, jak już się zacznie, nikt nie lubi wojny, a zwłaszcza nikt nie lubi umierać” – to z Pani ostatniej książki „Widziałam”. Dlaczego pacyfistka jeździ na wojny?

Już nie jeżdżę. To czas przeszły, dokonany i zakończony. Nigdy jednak nie interesowała mnie wojna, lecz rewolucje, strajki i powstania. Chciałam obserwować, jak naród walczy z władzą, opisywać ludzi, którzy toczyli bój o wolność.

Pochodzi Pani z wojskowej rodziny – ojciec był lekarzem w stopniu pułkownika, brat oficerem. Czy miało to wpływ na Pani reporterskie wybory?

Nigdy nie lubiłam wojskowego osiedla, na którym mieszkaliśmy, ani wojskowych rodzinnych wczasów, na jakie jeździliśmy. Mam do armii krytyczny stosunek. Choć muszę przyznać, że gdy podczas moich wypraw trażałam na polskich żołnierzy, okazywali się pomocni. W Jugosławii naprawili mi samochód, kiedy indziej oferowali nocleg i pełną miskę. Krytycznie patrzę na działania „błękitnych hełmów” na Bałkanach w latach dziewięćdziesiątych, a także wojsk koalicyjnych w Iraku. W tym ostatnim państwie byłam trzykrotnie, ale gdy armia twojego kraju jest zaangażowana w działania wojenne, korespondent staje się jej częścią, jest żołnierzem propagandy tej armii. Dlatego ja się z tego wypisuję.

Kobiecie było trudniej?

Myszę, że łatwiej. Kobieta nie wywołuje w żołnierzach agresji, lecz budzi zaciekawienie i zdziwienie, czasami śmiech. Gdy starym polskim fiatem wjeżdżałam na linię frontu w Mostarze, żołnierze z osłupienia opuszczali karabiny. Mój samochód musiał być dla nich reliktem odległej epoki. Ostrzegli mnie, że mają rozkaz ostrzelać moje auto i abym nie igrała z ogniem. Czasem nie dało się przekroczyć frontu. Gdy w Czeczenii chciałam dostać się na rosyjską stronę, musiałam wsiąść w samolot we Władykaukazie, dolecieć do Moskwy i na płycie lotniska przesiąść się biegiem do maszyny leżącej z powrotem na Kaukaz, tylko po drugiej stronie frontu.

Bała się Pani?

Pewnie tak, ale nie pamiętam. Dziki, atawistyczny strach jest naturalnym sposobem obrony organizmu. Jest mądry, bo podpowiada jak przeżyć. Mnie tego trochę brakuje, to taki defekt.

Pisze Pani w książce, że nie wie, o co chodzi na Majdanie i nie rozumie, o co chodzi w tej wojnie.

A Pani wie?

Media, które relacjonowały ten konflikt...

To była relacja tylko z jednej strony. Na Majdanie był jeden młody polski dziennikarz, który biegał z mikrofonem między dwoma stronami i pytał berkutowców, o co im chodzi. Został

wyśmiany. Nikt nie zapytał, po co ta wojna ani kto i dlaczego ją zaczął. A przypomnę, że nie byli to Rosjanie.

W Polsce były podziemna prasa i radio Solidarność, byli Kuroń i Balcerowicz, a na Ukrainie? Co my wiedzieliśmy o ich opozycji czy społeczeństwie obywatelskim, zanim zaczęła się uliczna walka? Tylko teraz już nikt tych pytań nie zadaje, bo przysłoniła je wojna domowa, która zaczęła się przecież na Majdanie.

Kogo i o co pytałaby Pani na Majdanie?

Chciałabym poznać kilku ukraińskich oligarchów, ludzi, którzy zrobili wielkie biznesy. Chciałabym wiedzieć, z kim oni współpracują, kto z Europą, kto z Ameryką, kto z Rosją. Chciałabym rozmawiać z ludźmi będącymi kluczem tych wydarzeń, bo przypuszczam, że któremuś z nich zależało na odsunięciu od władzy prezydenta Janukowycza. Ale żeby poznać kulisy, trzeba by rozmawiać w gabinetach albo pałacach, a ja jestem reporterem, nie lubię salonów. Zresztą nie sądzę, aby oni chcieli ze mną gadać.

Na ile relacje naszych mediów różniły się od doniesień zachodnich dziennikarzy?

W tym czasie, gdy polska telewizja raczyła nas propagandą, reporterka francuskiej telewizji chodziła po Kijowie i pokazywała życie wielkiego miasta. Gdy napisałam na Facebooku, że oglądam także telewizję rosyjską, odezwały się pełne oburzenia głosy znajomych: „jak możesz!?”.

Możliwa jest bezstronna relacja z wojny?

To szkolny ideał. Zazwyczaj dziennikarz ma serce z jednej strony. Kierujemy się własnym nosem. W Mostarze przechodziłam z jednej strony miasta, chorwackiej, do muzeumńskiego getta, ostrzeżliwanego z góry przez Serbów, a przez rzekę przez Chorwatów, którzy przeprowadzali we własnym mieście czystkę etniczną, wyrzucając za wodę swoich sąsiadów. Trudno mi było sympatyzować z Chorwatami, choć mieszkałam po stronie chorwackiej u polsko-chorwackiej rodziny. Dziennikarz ma jednak obowiązek przekazywać informacje z obu stron.

Czasem więcej można dowiedzieć się z telewizji niż z pierwszej linii frontu. Tak jak Pani na Litwie w 1991 roku.

Gdy rosyjskie wojsko szturmowało w Wilnie wieżę stacji telewizyjnej, była tam włączona kamera przemysłowa, która na żywo pokazywała ten atak. I ja wtedy – o ironio! – sprzed telewizora nadawałam na żywo do radia i ta relacja była ze środka akcji, bliżej i szybciej, niż gdybym była pod wieżą. Im reporter jest bliżej jakiegoś wydarzenia, tym krótszą ma perspektywę, ale ta relacja będzie bardziej autentyczna. Jednak to się kończy. Zjada nas technologia.

No właśnie. Jaki sens mają dziś relacje reportera, skoro telefonem komórkowym każdy może zarejestrować wydarzenie w dowolnym miejscu na świecie? Pani czekała cztery dni na połączenie telefoniczne, aby nadać korespondencję z wojny domowej w Gruzji...



Technologia zmienia świat. Dziennikarskie relacje splecają się i tabloidyzują. Ale cóż z tego? Możemy ubolewać nad ociepleniem klimatu, a także nad tym, że jest coraz więcej mediów, przez co ich relacje stają się coraz bardziej skrócone, ale czy to przeszkadza myśleć i zadawać pytania? Dziś jest potrzebny reporter, który dąży temat, ale niekoniecznie taki, który nadaje na żywo relację, ubrany w hełm i kamizelkę kuloodporną z emblematami swojej firmy.

„Byłam na końcu świata. Pociągiem, samolotem, helikopterem, czołgiem, konno...”. Ile było tych wyjazdów?

Nie liczyłam. Czeczenia, Bośnia, Kosowo, Afganistan... Wycofałam się już z bojowego dziennikarstwa. Śmierć Waldka Milewicza w Iraku uświadomiła mi, jaka jest cena takiego wyścigu. Przez kilkanaście lat konkurowaliśmy: kto szybciej wpadnie na pomysły?, kto pojedzie dalej?

Które wojny najbardziej utkwiły w pamięci?

Każdy wyjazd pod jakimś względem był niepowtarzalny. Armenia na początku lat dziewięćdziesiątych, bo była pierwsza. Podróż do Konga, dokąd pojechałam szukać śladów zamordowanego polskiego misjonarza, była z kolei najdalszą wyprawą. Jednym z trudniejszych wyjazdów był ten do Korei Północnej. Obrazki jak z Orwella – wieżowce w centrum miasta bez światła, studenci, którzy chodzą się uczyć pod pomnik idei dżucze, bo to jedyne dobrze oświetlone miejsce, ciemnoszarzy ludzie zdążający po pracy na musztrę. Gdy przez kilka lat robiłam w telewizji cykl reportaży „Widziałam”, co miesiąc wyjeżdżałam z kamerą na inną wojnę czy w miejsce katastrofy. Jedną z takich wypraw była do Kosowa, skąd ludzie masowo uciekali przed zagładą. Staliśmy na granicy i bezradnie obserwowaliśmy ten exodus. W półgodzinnym reportażu pokazałam tylko nogi. Czasem milczące twarze. Nie miałam siły już na te ich płacze i historie, wciąż te same. Przestraszyłam się, że zaczyna się wkradać rutyna.

Gdzie było najbardziej niebezpiecznie?

Bywają takie momenty, że dusza jest na ramieniu i dygocze. Zdarzało się, że osoby, które mi towarzyszyły, wycofywały się, a ja szłam dalej. W Czeczenii udało nam się załapać do samochodu bojowników, którzy po negocjacjach z Rosjanami wracali w góry. To była rzadka okazja. Gdy zatrzymaliśmy się i zaczęła się strzelanina, operator uciekł. Zostałam, bo nie mogłam zrezygnować z nocy spędzonej z Czeczeńcami w górach. Pojechałam dalej bez kamery. Podobnie było, gdy próbowałam dostać się do Kurdów. Wcześniej jeździłam do Hagi, aby nawiązać kontakty z partyzantami z tureckiej części Kurdystanu. Pojechałam do ich bazy w Iraku, aby dostać pozwolenie. Gdy już mogliśmy jechać, chłopaki z ekipy stwierdzili, że skończyła się delegacja i muszą wracać do Polski. Więc pożyczylam od partyzantów kamerę...

W takich sytuacjach łatwiej reporterowi piszącemu niż pracującemu dla telewizji.

Tak, długopis jest lżejszy. Lżejszy kaliber, ale też mniejsza moc rażenia. Bo taśma jest dowodem. Wiele razy zabierano nam taśmę. Na pierwszą linię jest wystawiony operator czy fotograf, bo on ma taśmę. W Bośni, gdzie byłam z Krzysztofem Millerem, to w niego celował żołnierz, bo to on miał aparat. Ten, kto ma zdjęcia, ma dowody, jest więc groźniejszy niż reporter, który tylko pisze.

Dziennikarze też płacą cenę za udział w wojnie. Jak głęboko pozostają takie obrazy, jak zmasakrowana kobieta ze śladami gąsienic na nogach pod wieżą telewizyjną w Wilnie?

Nie powiem nic ciekawego o traumie. Nie miałam traumy i już. Niedawno śniły mi się karabiny. Bodaj po raz pierwszy. Boję się dopiero teraz.

Czego?

Wojny.

Czy to będzie nowa wojna, taka, o jakiej pisze Pani w książce „Widziałam”? „Nie trzeba już zdobywać przyczółków ani bombardować miast. Nikt się nie ruszy z koszar, bo wiadomo, że wojna klasyczna, na pociski, to był Armagedon. [...] Wystarczy zakręcić kurki z gazem i ropą, odstrzelić satelitę informacyjnego, zablokować internet na giełdzie i w bankach. Paliwo i informacja są dziś krwiobiegiem naszego świata, który dziś groźnie – pro forma – poszczękuje starą bronią”.

Boję się także „prawdziwej” wojny. Koncerny zbrojeniowe ostrzą zęby, potrzebują ujścia dla swojej produkcji. Wojna jest też siłą napędową dla biznesu. Taki charakter ma dla mnie konflikt na Ukrainie. Nie o wolność chodzi, lecz o kasę. Zewsząd otaczają nas obrazy wojen: telewizje karmią widzów konfliktem izraelsko-palestyńskim, rocznica powstania warszawskiego i wybuchu I wojny światowej.

Jak Pani rozumie pracę reportera? Głośno mówić w imieniu tych, którzy sami mówić nie mogą? Wierzy Pani, że relacje dziennikarzy mogą powstrzymać przemoc?

Ile było obrazów z Ruandy? Co mógł dziennikarz wobec watahy, która szła wyrząć swoich sąsiadów? Dziś prasa czasem służy do tego, aby napędzać przemoc, na przykład na Ukrainie jedna ze stacji telewizyjnych (spółka ukraińsko-polsko-amerykańska) zaczęła nadawać jednocześnie z wybuchem wydarzeń na Majdanie. Organizacja Human Rights Watch uważa, że to wewnętrzny konflikt i krytycznie wyraża się na temat działań armii ukraińskiej wobec własnych obywateli. Ale jej opinie pojawiają się tylko w telewizji rosyjskiej. Zamyka się jej usta w arogancki sposób – w dyskusji nie dopuszcza się do głosu jej przedstawiciela, bo wyraża on inny pogląd na wydarzenia na Ukrainie.

Czy wróci Pani jeszcze na wojnę?

Nie mam już tamtej ciekawości. Inaczej dawno już byłabym w Doniecku, a wcześniej na Krymie. Dziś chcę zrozumieć. ■

WIZYTÓWKA

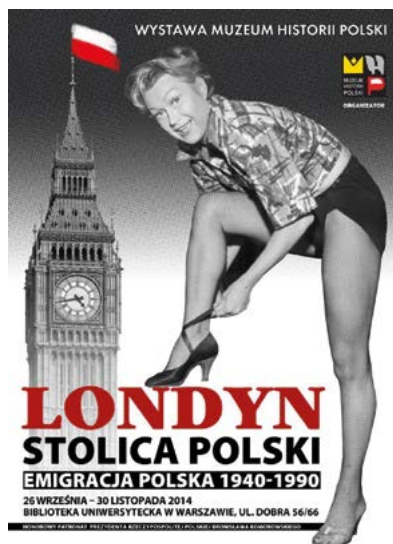
MARIA WIERNIKOWSKA

Dziennikarka, przez lata tworzyła reportaże dla Telewizji Polskiej z punktów zapalnych na całym świecie (Jugosławia, Czeczenia, Rosja, Afganistan). Autorka książki „Widziałam. Opowieści wojenne”.

Brytyjska perspektywa

Wystawa o polskiej powojennej emigracji.

Gabinet prezydenta Rzeczypospolitej na uchodźstwie, meble ze słynnej redakcji „Wiadomości”, prowadzonych przez Mieczysława Grydzewskiego, pracownię plastyczną Marka Żuławskiego czy gen. Władysława Andersa grającego w karty zobaczymy na wystawie „Londyn – stolica Polski. Emigracja polska 1940–1990”, przygotowanej przez Muzeum Historii Polski. Jak podkreślają organizatorzy, to pierwsza ekspozycja, która kompleksowo przybliży historię emigracji londyńskiej oraz Rządu RP w Londynie od 1940 do 1990 roku. Po wojnie w stolicy Wielkiej Brytanii znaleźli się przede wszystkim żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i pracownicy rządowi. Wy-



stawa opowiada o początkach emigracji, o tym, jak londyńczycy oceniali rzeczywistość w Polsce w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku oraz o stanie wojennym widzianym z Wysp. Ekspozycja w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie jest otwarta codziennie od 26 września do 30 listopada. A D ■

Dar z Genewy

Sala Tradycji Dowództwa Garnizonu Warszawa ma nowe eksponaty.

Claude Bonard, historyk wojskowości i były pracownik Instytutu Historycznego Sił Zbrojnych Szwajcarii, przekazał gen. bryg. Wiesławowi Grudzińskiemu, dowódcy Garnizonu Warszawa, rozkaz dzienny szefa sztabu armii napoleońskiej marsz. połowego Alexandra Berthiera z 19 stycznia 1807 roku, czyli z czasu pobytu cesarza w Polsce. Sala Tradycji DGW otrzymała też dziewiętnastowieczną rycinę przedstawiającą polskiego oficera, uczestnika walk o Warszawę podczas powstania listopadowego. Gość z Genewy zajmuje się popularyzowaniem tradycji polskiego oręża i współpracuje z dowództwem. Dwa lata temu podarował raport komendanta warszawskiego garnizonu napisany po bitwie wojsk francuskich z Rosjanami pod Pułtuskim w styczniu 1807 roku. A D ■

Powrót do przeszłości

Miłośnicy historii odtworzyli bitwę pod Mławą.

Blisko 400 rekonstruktorów z 26 grup z całej Polski wzięło udział w inscenizacji bitwy z września 1939 roku. Widowisko rozgrywano w scenarii oryginalnych bunkrów z II wojny światowej. Widzowie obejrzeli też rekonstrukcję nalotu bombowego na miasto, podczas której mieszkańcy Mławy wcielili się w ludność cywilną z września 1939 roku. Dodatkowymi atrakcjami uroczystości były wojskowa defilada i pokaz umiejętności komandosów z jednostki specjalnej Formoza. Organizujące obchody władze miasta odebrały odznakę honorową i medal pamiątkowy „Kustosza Tradycji, Chwały i Sławy Oręża Polskiego”. Wyróżnienie nadał Mławie minister obrony Tomasz Siemoniak za działalność związaną z upowszechnianiem tradycji wojskowych. A D ■

Lot nad wodą

Powstała superłódź dla morskich jednostek specjalnych.

„Ghost”, czyli „Duch”, to konstrukcja amerykańskiego milionera Gregora Sancioffa. Prace nad nią trwały 14 lat i pochłonęły 15 mln dol. Skonstruowano ją w taki sposób, aby dzięki wykorzystaniu efektu superkawitacji mogła rozwijać dużą prędkość. Jak podano na stronie businessweek.com, kadłub łodzi opiera się na rozpórkach, które umożliwiają jednostce unoszenie się nad wodą,

niwelując jej opór. Zamontowane w niej dwa silniki o mocy 2 tys. kM rozprędzają maszynę do ponad 90 km/h. Konstruktor łodzi liczy, że zainteresuje się nią Departament Obrony i marynarka wojenna. Jego zdaniem mogłaby ona być idealną szybką jednostką transportową dla sił specjalnych. A D ■



JULIET MARINE



Generał na Maczudze

Delegacja Czarnej Dywizji wzięła udział w obchodach 70. rocznicy walk w Normandii.

Za tę najwyższą wartość, jaką jest wolność, walczyli i umierali żołnierze 1 Polskiej Dywizji Pancerniej generała Maczka”, mówiła marszałek sejmu Ewa Kopacz podczas sierpniowych obchodów bitwy pod Falaise i Chambois. Na wzgórzu 262, nazwanym Maczuga, pani marszałek odsłoniła popiersie Stanisława Maczka, będące repliką jego pomnika wzniesionego w 2005 ro-

ku w Żaganii. W uroczystościach uczestniczyli żołnierze 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej z dowódcą, gen. dyw. Jarosławem Miką. Pancerniacy oddali też hołd poległym Polakom na cmentarzu Grainville-Langannerie, największej w północnej Francji nekropoli naszych żołnierzy, oraz odwiedzili grób gen. Maczka w holenderskiej Bredzie. A D ■

MotoCud nad Wisłą

Żandarmi nietypowo upamiętnili walki 1920 roku.



Ponad tysiąc uczestników uczciło na rynku radzymskim zwycięską bitwę z bolszewikami w sierpniu 1920 roku i 111. rocznicę pierwszego na zie-

miach polskich wyścigu motocyklowego, który odbył się w sierpniu 1903 roku wokół Radzimina. W akcji MotoCud wzięli udział także członkowie działającego od kilku miesięcy Żandarmskiego Klubu Motocyklowego. Pięciokilometrowa kolumna motocykli odwiedziła cmentarz radzymski, gdzie złożono wieńce na grobach żołnierzy poległych w Bitwie Warszawskiej oraz posadzono kolejne drzewo w Alei Dębów Katyńskich. Poświęcono je pamięci Stanisława Perguła, aspiranta radzymskiej policji i uczestnika bitwy pod Radziminem. A D

Kulturalny garnizon

Klub Dowództwa Garnizonu Warszawa chce rozszerzać swoją działalność.

Marzę, aby kultura w Dowództwie Garnizonu Warszawa się rozwijała, a nasz klub był miejscem rozpoznawanym w Warszawie. Dlatego musi się on otworzyć na nowe pomysły”, mówił dowódca Garnizonu Warszawa gen. bryg. Wiesław Grudziński podczas uroczystego podpisania porozumienia o współpracy klubu z Fundacją Garnizon Sztuki. „Fundacja i zebrane przez nią pieniądze dadzą nam siłę do działania”, zaznaczył generał. Projekty mają obejmować między innymi upowszechnianie kultury i sztuki w środowisku wojskowym, popularyzację amatorskiego ruchu artystycznego, podtrzymywanie tradycji narodowej i budowanie współczesnego patriotyzmu. Wśród wspólnych planów wymieniano wystawienie sztuki Aleksandra Fredry „Damy i huzary”, noworoczny koncert z udziałem orkiestr wojskowych oraz przegląd filmów wojennych.

„Celem powstałej w maju tego roku fundacji jest także wspieranie działalności kulturalnej, upowszechnianie tematyki proobronnej, promocja dziedzictwa Wojska Polskiego i organizowanie przedsięwzięć służących łagodzeniu stresu pourazowego, szczególnie u osób wracających z misji”, wyliczała prezes fundacji Grażyna Wolszczak-Sikora. Jak z kolei zaznaczył kierownik klubu ppłk Tomasz Cholewiński, ich priorytetem jest zachęcanie do uczestnictwa w imprezach klubu także środowiska cywilnego. „Chcemy pokazać, że wojskowe ośrodki mogą funkcjonować według nowoczesnych zasad, a dzięki fundacji ściągniemy do nas artystów i ludzi kultury”, mówił.

Wojskowy ośrodek kultury w swojej ofercie ma przedstawienia teatralne, wystawy, projekcje filmów i koncerty. Bierze też udział w organizacji memoriału gen. dyw. Kazimierza Gilarського w ramach Ogólnopolskich Zawodów w Skokach przez Przeszkodę, Święta Kawalerii Polskiej czy Capstrzyku Niepodległości. A D ■

Test z historii

Żołnierze Czarnej Dywizji sprawdzili wiedzę o jednostkach, których tradycje dziedziczą.



ARCH. 11 DKPANC

Sierż. Paweł Marcinek z 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świętoszowa, mjr Szymon Czerwiński z 23 Śląskiego Pułku Artylerii z Bolesławca

i chor. Piotr Marczenia z 11 Batalionu Dowodzenia z Żagania to zwycięzcy konkursu wiedzy historycznej zorganizowanego w 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Do rywalizacji z wiadomości o 1 Korpusie Pancernym, istniejącym w latach 1944–1945, oraz 1 Polskiej Dywizji Pancernej stanęli żołnierze ze wszystkich jednostek Czarnej Dywizji. Celem konkursu było między innymi uczczenie 70. rocznicy bitwy o Normandię, stoczonej przez żołnierzy gen. Stanisława Maczka z 1 Dywizji Pancernej. A D ■



Cenni ułani

Powstał pierwszy w Polsce złoty pomnik.

Obelisk ku czci polskiej kawalerii walczącej w II wojnie światowej ufundował w Kałuszynie biznesmen z Londynu Jan Żyliński, syn rotmistrza Andrzeja Żylińskiego, który we wrześniu 1939 roku walczył pod Kałuszyńcem z 11 Pułkiem Ułanów. Złotego Ułana, jedyny w Polsce pomnik wykonany z pozlacanego brązu, zaprojektował rzeźbiarz Robert Sobociński. Ośmiometrowy, ważący ponad 30 t ton obelisk, przedstawia ułana na koniu z wzniesioną do góry szablą. Jego fundator marzy teraz o stworzeniu w Kałuszynie centrum pamięci polskiej kawalerii. A D ■

POD NASZYM PATRONATEM

Centralny Ośrodek Analizy Skażeń
oraz Stowarzyszenie Ruch Wspólnot Obronnych i Wojskowa Akademia Techniczna
zapraszają na

I Konferencję Naukową

„Funkcjonowanie Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania w świetle aktualnych zagrożeń skażeniami”.

Tematyka konferencji:

- współczesne zagrożenia naturalne i cywilizacyjne;
- wpływ proliferacji broni masowego rażenia na aspekty prawne i organizacyjne systemu bezpieczeństwa państwa;
- rola i misja Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania w systemie zarządzania kryzysowego RP;
- aspekty prawne, organizacyjne i ekonomiczne funkcjonowania systemów wykrywania i alarmowania oraz systemów wczesnego ostrzeżenia;
- możliwości wykorzystania nowych technik i technologii rozpoznania, identyfikacji i monitorowania zagrożeń chemicznych, biologicznych i radiacyjnych w Krajowym Systemie Wykrywania Skażeń i Alarmowania;
- narzędzia teleinformatyczne wspomagające proces prognozowania i wymiany informacji o skażeniach promieniotwórczych, chemicznych i biologicznych.

W ramach spotkania nastąpi uroczyste otwarcie laboratorium chemiczno-radiometrycznego na terenie Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń.

Organizatorzy zapewniają możliwość zapoznania się z najnowszą aparaturą do detekcji, identyfikacji i monitorowania skażeń promieniotwórczych, chemicznych i biologicznych.

Konferencja odbędzie się 28–29 października 2014 roku w Klubie WAT,
ul. Kaliskiego 25A, Warszawa.

Pancerna perełka

Unikatowy niemiecki zabytek militarny można oglądać w Kołobrzegu.

Eksponat – przewoźne stanowisko Edla karabinu maszynowego MG Panzernest ze zbiorów Muzeum Oręża Polskiego – przeszedł gruntowną konserwację. Zrekonstruowano w nim brakujące wyposażenie: klapę wejściową, osłonę strzelnicy, urządzenia wentylacyjne, lawetę pod karabin, półki na amunicję oraz piecyk grzewczy. Dołożono również oryginalne peryskopy, które sprowadzono specjalnie ze Skandynawii. Dodatkowo stanowisko pomalowano farbą w kolorze panzergrau. Eksponat można oglądać na muzealnej ekspozycji plenerowej. A D ■



PIOTR BERNABIUK

PIOTR BERNABIUK

Cywilny oddział specjalny

Dla piętnastolatka „Śliwy” udział w obozie „Commando 2014” jest początkiem drogi do jednostki wojskowej GROM.

Po sześciu dobach nieustannego treningu na najwyższych obrotach uformowany z cywilów zespół specjalistów wyrusza na swe pierwsze zadanie bojowe. W wyćwiczonym szyku wchodzą na pokład śmigłowca i maszyna startuje. Nie jest to jednak lot widokowy. Po kilku minutach „pasażerowie” desantują się w rejonie działań, daleko od swoich, w terenie zajęтым przez wojska przeciwnika. Trwająca dobę misja nie będzie łatwa, gdyż przygotowujący operację instruktorzy zadbali o to, by wszystko było jak w realnej operacji. Jest więc również przeciwnik, i to nie byle jaki.

Prowadzący szkolenie Sylwester Winiarski zaprosił do udziału w „podgrywce” sprawdzonych w boju wojowników, między innymi z grup Task Force „Zeus” i „Dzikie Gęsi”. To

gracze MilSim, symulacji militarnych, zorganizowani na wzór wojskowy – z dowództwem, sztabem, łącznością... Ich „zabawy w wojnę” mają wymiar niemalże profesjonalny, oparty na doświadczeniach autentycznych jednostek. Tym razem wzięli na siebie zadanie wykrycia i likwidacji naszych bohaterów.

Doba okazuje się ogromnie długa. „Byku”, „Piasek”, „Śliwa”, „Zacny” i ich koledzy oraz jedyna koleżanka „Zuska” muszą dotrzeć w rejon bazy przeciwnika, rozpoznać teren, przeprowadzić akcję. Ruszają objuczeni bronią i wyposażeniem... I już na początku popełnili błąd, bo założyli, że zespół manewrujący powinien działać „na lekko”. Swoje plecaki schowali zatem w krzakach. Efekt? Przeciwnik nie zdołał wprowadzić namierzyć grupy, ale znalazł jej dobytek. Wówczas zaczął

OBÓZ POKAZAŁ, ŻE DROGA DO ARMII JEST BARDZO TRUDNA I KRĘTA, ALE TO JESZCZE BARDZIEJ MOTYWUJE

się dla zespołu survival, czyli kolejne cenne doświadczenie. A co najważniejsze, mimo tych przeszkód wykonali zadanie bojowe! Operacja kończy się sukcesem.

WISIENKA NA TORCIE

O swoim sukcesie mówi również Sylwester Winiarski, szef Młodzieżowej Sekcji Wojskowej przy XII Oddziale Związku Polskich Spadochroniarzy w Łodzi, organizator i dowódca obozu szkoleniowego „Commando 2014”: „Po raz kolejny udało się przeprowadzić bardzo atrakcyjne zajęcia, takie z »wisienką na torcie«, którą był lot śmigłowcem, zakończony wejściem do działania w terenie przygodnym. Uczestnicy szkolenia mogli się poczuć jak szturmanci z kawalerii powietrznej, ale cały tydzień musieli na to ciężko zapracować. Przekonali się na własnej skórze, że nie wystarczy kupić sobie mundur i kamizelkę taktyczną, wziąć do ręki replikę broni, by zostać żołnierzem. Procedury śmigłowcowe ćwiczyli cały dzień na sucho, i już wówczas dowiedzieli się, jak wiele trzeba ciężkiej pracy, uporu i cierpliwości”.

Winiarskiego cieszą znakomite relacje z wojskiem. Od lat współpraca dobrze się układa, zarówno na linii 25 Brygada Kawalerii Powietrznej – Związek Polskich Spadochroniarzy, jak i kawaleria powietrzna – Sylwester Winiarski. W efekcie już po raz trzeci organizatorzy obozu mogli skorzystać ze śmigłowca oraz dostali wsparcie logistyczne (transport, amunicja ćwiczebna, karabinki i środki pozoracji). „Dzięki środkom pozoracji mogliśmy przeprowadzić na przykład fantastyczne zajęcia z ratownictwa taktycznego”, opowiada Winiarski. „Uczestnicy działań ewakuowali, a następnie opatrywali swoich rannych w scenarii bitewnej. Realistyczne tło taktyczne wywołuje mocne przeżycia. Bez tego powstają zajęcia, które nie tylko nie bu-

dują atmosfery, lecz wręcz śmieją, bo nie ma stresu koniecznego do działania”.

DOJRZEĆ DO SŁUŻBY

Jest więc wsparcie wojska i wspaniała zabawa, ale co z niej wynika? Sylwester Winiarski w odpowiedzi przytacza jeszcze całkiem świeżą historię: „»Polo« prowadził dobrze prosperującą hurtownię warzyw. Posmakował jednak u nas wojska i zapragnął coś zmienić w swoim życiu. Po trzecim obozie wrócił do domu, porozmawiał z żoną i poszedł na kwalifikację. Dziś służy w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej”.

Na temat pożytków płynących z „Commando 2014” mają już ugruntowaną opinię uczestniczący w obozie po raz kolejny członkowie Młodzieżowej Sekcji Wojskowej ZPS. Zdaniem „Piaska” obóz stanowi okazję do treningu na wysokich obrotach, doskonalenia umiejętności i nabywania nowych. Jego szczególnie przyciągają niedostępne dla zwykłych śmiertelników ćwiczenia w tunelu aerodynamicznym czy desantowanie ze śmigłowca. A co do służby wojskowej: „Tydzień intensywnego szkolenia zachęca ludzi zmotywowanych, a zniechęca tych ze słabą wolą. A armia potrzebuje ludzi gotowych do pracy nad sobą”.

WOJSKOWY FILTR

Wśród debiutantów szczególny przypadek stanowi „Zacny”, wkrótce doktor biotechnologii, którego do wojska zaczęło ciągnąć pod koniec studiów. Zainspirowała go sztuka prowadzenia wojen, między innymi dzieła Sun Tzu. Podczas pobytu za oceanem, dzięki dostępowi do anglojęzycznych książek, zainteresował się jednostkami specjalnymi i służbami wywiadowczymi. W efekcie, jako naukowiec, postanowił sprawdzić na sobie, jak literatura ma się do rzeczywistości: „Po doktoracie chcę włożyć mundur. Moje zgłoszenie do służby przygotowawczej czeka w WKU na rozpatrzenie, a otrzymane na zakończenie obozu certyfikaty niewątpliwie wzbogacą moją aplikację”.

Zdaniem „Zacnego” obóz był imprezą najwyższych lotów: „Gdzie indziej można robić tak ekscytujące rzeczy, jak desant ze śmigłowców, skoki spadochronowe w tunelu aerodynamicznym? Gdzie można uczyć się ratownictwa taktycznego i zielonej taktyki według patentów jednostek specjalnych, ćwiczyć strzelanie na elektronicznych symulatorach Śnieżnik, Czantoria i Cyklop, desantować się do wody z pędzącej motorówki? Do tego alpinistyka, techniki interwencyjne, konwojowanie, wszystko pod opieką instruktorów z doświadczeniem bojowym i w bardzo realistycznych okolicznościach. Początkowo byliśmy bandą cywilów, po tygodniu staliśmy się zgraną ekipą, która wykonała wszystkie zadania w trakcie dobowej symulacji misji specjalnej. Mieliśmy też okazję rozmawiać z wieloma żołnierzami kawalerii powietrznej, tak zwyczajnie, po koleżeńsku. Dzięki temu wyklarowało się moje myślenie o armii”.

Entuzjastą służby wojskowej stał się po obozie również „Śliwa”, piętnastolatek przyjęty na szkolenie warunkowo. Interesują go wojska specjalne: „Było ciężko, ale bardzo mi się podobało. Obóz pokazał, że droga do armii jest bardzo trudna i kręta, ale to mnie jeszcze bardziej zachęca i motywuje do służby. Moim marzeniem jest dostać się do jednostki wojskowej GROM”.

Organizatorzy obozów ZPS starają się oddzielić miłośników jedynie dobrej zabawy od tych, którzy chcą służyć w armii. Tylko najbardziej zaangażowani dostają certyfikat i idą z nim na kwalifikacje do jednostki. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

SKAZANI NA SIEBIE

Przez kilka godzin wytrzymałość zawodników poddawano próbie zbliżonej do tej, z jaką muszą poradzić sobie kandydaci na komandosów.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



Bieg Skazańca zaczął się od porwania jego uczestników. Zawodnicy wystartowali dopiero po całonocnych przesłuchaniach.



Dochodzi szósta. Poranną rutynę w leżącym pod Lublińcem Kokotku przerywają warkot silników oraz krótkie, wojskowe komendy. Chwilę później grupa zmarniętych, lekko zdezorientowanych biegaczy przedziera się przez pobliskie pola i znika w rosnących przy brzegu jeziora szuwarach. Zaczyna się dziesiąta edycja Biegu Katorżnika.

Kilka godzin wcześniej ci sami ludzie przygotowywali się do jednego z najtrudniejszych biegów w Polsce, którego trasa prowadzi przez tereny podmokłe. Coroczna formuła zawodów po raz drugi została wzbogacona o bieg z elementami SERE.

W tym wypadku nie wystarczy pokonać ponad 10 km przez bagna, wodę sięgającą po szyję i przecinające las strumienie. Organizatorzy z Wojskowego Klubu Biegacza „Meta” razem z Jednostką Wojskową Komandosów oraz Stowarzyszeniem Żołnierzy Wojsk Specjalnych „Grupa Raptor” postarali się, by wielogodzinne brodzenie w błocie było najmniejszym zmartwieniem zawodników.

Bieg Skazańca, bo o nim mowa, przyciąga tych sportowców, którzy chcą sprawdzić nie tylko swoją kondycję fizyczną, ale przede wszystkim psychiczną. Większość zawodników dba o to, by na linii startu zameldować się w dobrej formie i z pozy-



Organizatorzy postarali się, by trasa obfitowała w niekonwencjonalne przeszkody terenowe.



Jubileuszowa edycja Biegu Katorżnika to ponad 10 km prowadzących przez lodowatą wodę i błoto. Test nawet dla najtwardszych

W PIERWSZYCH MINUTACH BIEGU POMAGA ADRENALINA. ZWYCIĘSTWO ZALEŻY JEDNAK OD WYTRZYMAŁOŚCI PSYCHICZNEJ

tywnym nastawieniem, bo w najcięższych biegach silna psychika jest znacznie ważniejsza niż praca mięśni. Co jednak, jeżeli wcześniej ktoś dołoży starań, by złamać ich morale? Czy mimo braku snu i dużego stresu będą w stanie sprostać postawionym sobie celom? Nawet jeśli okażą się wystarczająco silni, słabym ogniwem może się stać biegnący z nimi partner.

Od pierwszych chwil uczestnikom towarzyszy niepewność. Wiedzą, gdzie i o której godzinie powinni się stawić oraz to, że określony dystans będą musieli pokonać parami. Reszta informacji została utajniona.

Wśród zebranych czuć niepokój. Kilku zawodników dodatkową warstwą taśmy izolacyjnej okleja buty. Niektórzy nerwowo poprawiają okrywające nogi ochraniacze. Gdzieś z boku grupa Holendrów, dodając sobie otuchy, skanduje bojowe hasła. Chwilę później pod zgrupowanie podjeżdżają dwa wojskowe stary. Śmiałkowie zajmują miejsca na pace i ruszają w nieznaną.

Scenariusz biegu zakłada symulację porwania uczestników. Oznacza to, że przez kilka godzin wytrzymałość zawodników zostanie poddana próbie zbliżonej do tej, z jaką muszą poradzić sobie kandydaci na komandosów. W pierwszych minutach pomaga adrenalina, z czasem organizm męczy się, a umysł wymyka spod kontroli. To właśnie wtedy dla każdego uczestnika zaczyna się prawdziwa walka z własnymi słabościami. Granice między realnym zagrożeniem a sprawnie wyreżyserowanym przedstawieniem się zaciera. Ogłuszający hałas, brak możliwości ruchu, dyskomfort, stres, totalna cisza – poddawani gwałtownym zmianom zawodnicy czasami są o krok od paniki.





DARIUSZ POROSIŃSKI (2)



**JEDNOSTKA WOJSKOWA
KOMANDOSÓW RAZEM Z FUNDACJĄ
BYŁYCH ŻOŁNIERZY
I FUNKCJONARIUSZY SIŁ
SPECJALNYCH „SZTURMAN” ZBIERA
ŚRODKI NA SPECJALISTYCZNE
PROTEZY DLA AFGAŃSKIEGO
ANTYTERRORYSTY, KTÓRY ZOSTAŁ
CIĘŻKO RANNY PODCZAS JEDNEJ ZE
WSPÓLNYCH OPERACJI W RAMACH
TASK FORCE-50. W TEJ SAMEJ AKCJI
ZGINAŁ „MIRON”, OPERATOR JWK**



MICHAŁ ZIELIŃSKI

**Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego,
kibicował uczestnikom Biegu Katorżnika.**

Wpłaty można dokonywać na konto: Alior Bank nr 18 2490 0005 0000 4600 6874 5845

Fundacja Byłych Żołnierzy i Funkcjonariuszy Sił Specjalnych „Szturman”, ul. Sobieskiego 35, 42-700 Lubliniec.

W opisie proszę umieścić: „Dla Afgańskiego Tygrysa”.

„Przygotowując scenariusz, po części opieraliśmy się na tym, czego sami doświadczaliśmy podczas selekcji”, mówi jeden z żołnierzy Wojskowej Jednostki Komandosów. „Nie jest to bieg dla tych, którzy przyjechali po doznania czysto sportowe. Te znajdą jutro, w Biegu Katorżnika. Dzisiaj stawili się ci, którzy chcą się sprawdzić, w kontrolowanych warunkach przekonać, na ile ich stać i kiedy będą musieli powiedzieć dość”.

Po całonocnych przeżyciach najgorsze, czyli niepewność, już za nimi. Teraz muszą pokonać ogarniające ich zmęczenie i jak najszybciej zameldować się na mecie. Do tego czasu krok w krok będzie im towarzyszył na stałe partner. Z jednej strony jest to kompan, który w chwili kryzysu dopilnuje, by brnąć przed siebie. Z drugiej – zwycięstwo zależy od wypadkowej sił i słabości dwóch organizmów. Większość z 23 par poradzi sobie z przygotowaną trasą w ciągu trzech–czterech godzin, kilka jednak zrezygnuje. Niektórzy będą walczyć do późnych godzin popołudniowych. Do samego końca.

IMPREZA Z RENOMĄ

Dziesiąta edycja Biegu Katorżnika to przede wszystkim wydarzenie sportowe i wokół niego skupia się największe zainteresowanie. W tegorocznych zawodach udział wzięło 1200 dorosłych uczestników, a limit miejsc został wyczerpany w ciągu kilku godzin od rozpoczęcia zapisów. Nic dziwnego, że impreza jest nie tylko atrakcją dla polskich sportowców, lecz także

cieszy się coraz większą popularnością za granicą. Wśród uczestników znaleźli się przedstawiciele Niemiec, Holandii, Stanów Zjednoczonych, Słowacji, Belgii, Czech, Wielkiej Brytanii i Ukrainy.

Mocną reprezentację mają również kobiety, łącznie z prawdziwymi weterankami, które nad jezioro Posmyk przyjechały już ósmy raz z rzędu. Organizatorzy nie zapomnieli także o młodszych zawodnikach. To właśnie dzieci i młodzież mogły sprawdzić swoje siły w Mikro-, Mini- i Małym Katorżniku. Najmłodszy z nich, w wieku przedszkolnym, pokonywał trasę z rodzicami. Starsi rywalizowali niemal jak dorośli.

Impreza organizowana przez komandosów z Lublińca nie bez przyczyny jest uważana za jeden z najcięższych biegów ekstremalnych w Polsce. Z roku na rok nie tylko obrasta w legendy, ale zyskuje na prestiżu. Świadczy o tym również zainteresowanie, które wzbudza wśród przedstawicieli organów państwowych, między innymi Stanisława Kozieja, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, który wraz z gen. dyw. Jerzym Michałowskim, zastępcą dowódcy generalnego, i gen. broni w st. spocz. Lechem Konopką, prezesem Wojskowej Federacji Sportu, osobiście składali gratulacje i wręczali nagrody zwycięzcom. To uznanie nie wzięło się z niczego. Zarówno wprowadzony niedawno Bieg Skazańca, jak i sam Bieg Katorżnika poddają uczestników prawdziwej próbie, a ich ukończenie pozwala doświadczyć, jak to jest być elitą. ■

Seminarium

25 lat polskiej armii w wolnej Polsce



pod patronatem Prezydenta RP
Bronisława Komorowskiego

- siły zbrojne RP
- polska polityka bezpieczeństwa
- przemysłowy potencjał obronny
w perspektywie 25 lat wolności

Ożarów Mazowiecki, 8 października 2014 r.

wstęp za zaproszeniami | dodatkowe informacje: seminarium@wb.com.pl

Organizator: WB Group

WB Group

25
LAT
wolności

Patronat medialny: Polska Zbrojna

Polska Zbrojna

ANNA DĄBROWSKA

Żołnierskie wzgórze

Leżą obok siebie – polscy żołnierze z kampanii wrześniowej i wojskowi z armii Berlinga.

Ranikiem 1 sierpnia 1944 roku oddziały 2 Dywizji Piechoty 1 Armii Wojska Polskiego rozpoczęły forsowanie Wisły między Dęblinem a Puławami. W następną noc przez rzekę przepравили się żołnierze 1 Dywizji Piechoty. Zadaniem Polaków było przejście Wisły, uchwycenie przyczółków na jej zachodnim brzegu i przygotowanie przeprawy dla sił głównych. Plany polskiej armii pokrzyżowała jednak silna obrona niemiecka.

ZADANIE PONAD SIŁY

Ostrzał z dział pancernych, moździerzy i broni maszynowej uniemożliwił przeprawę kolejnych polskich oddziałów. Tylko niewielkiej części żołnierzy udało się przedostać na drugi brzeg, gdzie trafili pod silny ostrzał wroga. Zerwana została łączność. 3 sierpnia, po całym dniu ciężkich walk, dowódca 1 Armii gen. Zygmunt Berling wstrzymał przeprawę i nakazał ewakuację wojsk na wschodni brzeg.

Zdaniem historyków polska armia nie była wówczas przygotowana do tak poważnego zadania, dysponowała też za małą liczbą łodzi desantowych i tratw. Jednak przede wszystkim zawiedli żołnierze z rozpoznania, którzy uznali, że zachodni brzeg rzeki jest słabo broniony. W rzeczywistości stacjonowało tam kilka niemieckich batalionów piechoty i artylerii.

Choć w czasie walk nie udało się opanować przyczółków na lewym brzegu Wisły, starcia odciążyły radziecką 69 Armię i 8 Armię Gwardii, pozwalając im na szersze działania w okolicach Kazimierza Dolnego i Magnuszewa. Jednak walki pod Dęblinem i Puławami kosztowały naszą armię około 1400 zabitych, zaginionych i rannych żołnierzy.

FIZYLIERKA I OFICER

Wśród poległych znaleźli się między innymi szer. Zdzisław Cape z 4 Pułku Piechoty, kpr. Jan Duda z 2 Dywizji Piechoty, st. szer. Jan Gerasimczuk z 6 Pułku Piechoty, kanonier Józef Kowalczyk z 4 Pułku Artylerii Przeciwpancernej i 19-letnia szeregowka kompanii fizylierek Walentyna Zborowska z kobiecej drużyny cekaemów, która wspierała 2 Dywizję Piechoty.



Wszyscy oni, wraz z 215 innymi żołnierzami poległymi podczas forsowania Wisły i walk na tym terenie na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku, zostali pochowani na wojskowym cmentarzu w Puławach.

Nekropolia powstała po II wojnie, kiedy władze zaczęły ekshumacje osób cywilnych i żołnierzy grzebanych w różnych częściach miasta i jego okolicach. Wojskowy cmentarz ulokowano przy ulicy Piaskowej na niewielkim wzgórzu, tuż obok istniejącej nekropolii komunalnej.

Za datę otwarcia cmentarza uważa się wiosnę 1947 roku, kiedy zakończyły się pierwsze ekshumacje i pochówki osób przeniesionych tutaj z mogił na terenie Puław. W następnych latach grzebano ciała osób ekshumowanych z innych miejscowości powiatu puławskiego i kozienickiego. Pochowano tutaj też 236 żołnierzy między innymi z 23 Grodzieńskiej Dywizji Piechoty i 81 Baonu Saperów, poległych w tym rejonie podczas walk we wrześniu 1939 roku. Byli wśród nich ppłk Tadeusz Graff, dowódca 29 Pułku Artylerii Lekkiej, por. Wiktor Świerszcz z pułku strzelców i kanonier Stefan Zasługowicz z 3 Pułku Artylerii Ciężkiej. Upamiętnia ich tablica, która głosi, że to oni jako pierwsi stawili czoła najeźdźcom, oddając życie w obronie ojczyzny.

Miejsce ostatniego spoczynku na cmentarzu przy ulicy Piaskowej znalazło też kilku partyzantów i 90 cywilnych ofiar terroru hitlerowskiego, którzy zginęli w czasie wojny. Ekshumowano ich z różnych miejscowości na terenie powiatu kozienickiego. W sumie na cmentarzu spoczywa około 540 osób, w tym mniej niż połowa z nich jest zidentyfikowana. W 1962 roku liczący blisko 7 tys. m² cmentarz został



WOJSKOWY CMENTARZ ULOKOWANO PRZY ULICY PIASKOWEJ NA NIEWIELKIM WZGÓRZU, TUŻ OBOK ISTNIEJĄCEJ NEKROPOLII KOMUNALNEJ

Na cmentarzu spoczywa około 540 osób, w tym mniej niż połowa z nich jest zidentyfikowana.



Centralnym punktem nekropolii jest stojący na wzgórzu pomnik autorstwa rzeźbiarza Adama Prockiego.

ANNA DĄBROWSKA (2)

uporządkowany i nadano mu ostateczny kształt. Przy wejściu ustawiono tablicę, która informuje, że ma on służyć trwałemu upamiętnieniu czynu zbrojnego polskich żołnierzy w walkach stoczonych nad Wisłą w rejonie Dębina i Puław we wrześniu 1939 roku, partyzantów poległych na terenie powiatu puławskiego oraz żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego, którzy zginęli podczas forsowania Wisły między 27 lipca i 8 sierpnia 1944 roku.

DĄB STRACENI

Centralnym punktem nekropolii jest stojący na wzgórzu pomnik autorstwa znanego rzeźbiarza Adama Prockiego. Przedstawia on na tle splekanej ściany żołnierza z potrzaskanym karabinem w ręku wspartego na ramieniu kobiety. Tło pomnika powstało z betonu, a rzeźby z brązu. Napis na nim głosi: „Poległym i pomordowanym w II wojnie światowej 1939–1945”.

Po obu stronach monumentu zakopano urny z ziemią z 17 miejsc powiatu puławskiego, w których w czasie II wojny toczyły się walki lub okupanci dokonali aktów terroru. Nad każdą z nich stoi krzyż z wykutą nazwą miejscowości. Do pomnika prowadzą szerokie kamienne schody obsadzone zielenią, a u podnóża skarpy ulokowano mogiły żołnierskie. Wierczą je równe rzędy szarych kamiennych płyt.

Na cmentarzu w 1989 roku postawiono charakterystyczny pomnik, upamiętniający harcerzy–żeglarzy z hufca Puławy, poległych w czasie II wojny. Tablica ku ich czci oraz druga, upamiętniająca Ryszarda Towalskiego, harcerza i żołnierza, zostały umieszczone na okrętowej kotwicy. Inny monument, odsłonięty w 1993 roku, przypomina o pomordowanych w czasie

okupacji Żydach puławskich. Pomnik, którego elementem są zniszczone cmentarne macewy, powstał z inicjatywy Fundacji Rodziny Nissenbaumów.

W ostatnich latach, dzięki wsparciu z budżetu wojewody lubelskiego i Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, władze Puław przeprowadziły na cmentarzu prace konserwatorskie. Przede wszystkim wyremontowano pomnik poświęcony poległym i pomordowanym w czasie II wojny. Uzupełniono ubytki w betonowym cokole i pokryto go specjalną zabezpieczającą farbą. W taki sam sposób zakonserwowano po oczyszczeniu brązową rzeźbę.

Naprawiono także cmentarne schody oraz płytę z piaskowca na jednym z żołnierskich grobów. Uporządkowano również zieleni na terenie nekropolii, usunięto przeważnie krzewy i krzewy. W planach są kolejne prace przy odnawianiu krzyży wojennych.

W tym samym czasie tuż obok cmentarza, za głównym pomnikiem, powstało jeszcze jedno miejsce pamięci, pod tak zwanym dębem straceń. To tutaj po wojnie komunistyczne władze rozstrzeliwały działaczy niepodległościowych i żołnierzy Armii Krajowej. Teraz uporządkowano teren wokół pamiątkowego drzewa, otoczono go barierką, powstały też prowadzące do niego schody.

Przy drzewie stanęła także, z inicjatywy Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym, kamienna tablica. Głosi ona, że jest to miejsce straceń żołnierzy Armii Krajowej oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, a także współpracujących z nimi mieszkańców powiatów puławskiego i ryckiego, rozstrzeliwanych przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach w latach 1944–1950. ■

POŻEGNANIA

Poruszeni nagłym odejściem
śp. Renaty Drewniak
składamy wyrazy głębokiego współczucia
gen. bryg. pil. Tomaszowi Drewniakowi,
Rodzinie i Bliskim.

Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ

Panu majorowi Zbigniewowi Szpytce
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
oraz żołnierze i pracownicy Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci
płk. Jacka Połujana,
zastępcy szefa Służby Wywiadu Wojskowego.

Wyrazy serdecznego współczucia składa
Rodzinie i Bliskim
dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu gen. bryg. pil. Tomaszowi
Drewniakowi
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci
Żony
składają szef obrony powietrznej
oraz żołnierze i pracownicy wojska
Szefostwa Obrony Powietrznej
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. dypl. pil.
Eugeniuszowi Gardasowi
i Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Teściowej
składają dowództwo, żołnierze oraz pracownicy wojska
21 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Wyrazy szczerego współczucia
oraz głębokiego żalu
Panu Mariuszowi Drzewieckiemu
oraz Jego Rodzinie
z powodu śmierci
Matki
składają koleżanki i koledzy z Oddziału Planowania
Zabezpieczenia Logistycznego Komendy Głównej
Żandarmerii Wojskowej.

Dowódcy 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej
Panu gen. dyw.
Markowi Mecherzyńskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje
z powodu śmierci
Teścia
składają żołnierze i pracownicy
12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

„W momencie śmierci bliskiego
uderza człowieka świadomość niczym
nie dającej się zapelnąć pustki”.
J.S. Tischner

Panu mjr. Krzysztofowi Adamiakowi
wyrazy głębokiego, szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Teściowej
składają żołnierze i pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 22 684 52 13,
22 684 52 30, 22 684 02 27; CA MON 845 213, 845 230, 840 227

| POŻEGNANIA |

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi,
szefowi Zarządu Wojsk Lotniczych,
zastępcy inspektora sił powietrznych,
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. Andrzejowi Puchale
oraz Jego Rodzinie

słowa wsparcia oraz wyrazy współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają dowództwo, żołnierze oraz pracownicy wojska
21 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Panu mł. chor. Robertowi Kalinowskiemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca Jerzego

składają dowódca, dowództwo, kadra
i pracownicy wojska 22 Ośrodka Dowodzenia
i Naprowadzania w Bydgoszczy.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, kadra i pracownicy
41 Bazy Lotnictwa Szkolnego z Dębina.

Panu generałowi dywizji
Markowi Mecherzyńskiemu,
dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie,
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca 12 Batalionu Dowodzenia Ułanów
Podolskich, żołnierze i pracownicy wojska.

Panu płk. dypl. pil.
Eugeniuszowi Gardasowi
najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają dowódca oraz kadra i pracownicy wojska
1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Pani Bożenie Polak
oraz Jej Rodzinie
wyrazy żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
Resortowego Centrum Zarządzania Sieciami i Usługami
Teleinformatycznymi.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Żony

składają dowódca oraz kadra i pracownicy wojska
Dowództwa 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego
w Świdwinie.

Pani sierż. Ewie Trąbińskiej
wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca i żołnierze
2 Wojskowego Szpitala Polowego we Wrocławiu.

Z głębokim żalem żegnamy naszą Koleżankę
Renateę Drewniak.

Składamy wyrazy serdecznego współczucia
Mężowi i Rodzinie.

Koleżanki i koledzy z 79 Rejonowego
Przedstawicielstwa Wojskowego

POŻEGNANIA

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi,
szefowi Zarządu Wojsk Lotniczych
– zastępcy inspektora sił powietrznych,
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają komendant, kadra i pracownicy wojska Centrum
Szkolenia Inżynieryjno-Lotniczego.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia z powodu
śmierci

Żony

składają inspektor oraz żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Sił Powietrznych.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu nagłej śmierci

Żony

składa komendant Wojskowego Ośrodka Farmacji
i Techniki Medycznej w Celestynowie.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony Renaty

składają dyrekcja i pracownicy Instytutu Technicznego
Wojsk Lotniczych.

Z wielkim bólem i smutkiem oraz w poczuciu
niepowetowanej straty przyjąłem wiadomość o śmierci

Szanownej Małżonki

szefa Zarządu Wojsk Lotniczych, zastępcy
inspektora sił powietrznych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych,

Pana gen. bryg. pil. Tomasza Drewniaka.

W obliczu tak ogromnej straty, jaką jest śmierć najbliższej
osoby, składam wyrazy głębokiego żalu i szczerego
współczucia.

Szanowny Panie Generale, proszę przyjąć moje
szczerze kondolencje.

Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Pani Jadwidze Margusz

z powodu śmierci

Taty

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Pani Iwonie Wysockiej

z powodu śmierci

Taty

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
z powodu nagłej śmierci

Żony

w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz wyrazy
głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
23 Bazy Lotnictwa Taktycznego.

Pani Danucie Drabot
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

POŻEGNANIA

Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony

składają rektor-komendant, kadra, podchorążowie
i pracownicy Wyższej Szkoły Oficerskiej
Sił Powietrznych.

Panu płk. Romualdowi
Krasnoborskiemu,
prezesowi Wojskowego Sądu Garnizonowego
w Olsztynie,
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają sędziowie i pracownicy Wojskowego Sądu
Okręgowego w Warszawie.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego byłego pracownika

ppłk. rez. mgr. Krzysztofa Kumora,
wspaniałego i wyjątkowego Człowieka.

Rodzinie oraz Najbliższym

wyrazy szczerego współczucia i słowa otuchy
składają komendant, żołnierze i pracownicy 109 Szpitala
Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ w Szczecinie.

Panu pułkownikowi
Sławomirowi Filipczakowi
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy wojska
Departamentu Spraw Socjalnych MON.

Panu podpułkownikowi
Januszowi Bąsce

starszemu specjalistcie Oddziału Walki i RE Zarządu
Rozpoznania i WE
w Inspektoracie Rodzajów Wojsk DGRSZ

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składa kadra Oddziału.

Wyrazy głębokiego współczucia
Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Panu ppłk. Mariuszowi Rusjanowi
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają kadra i pracownicy wojska Pionu Szkolenia
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Małżonki

Pana gen. bryg. pil.
Tomasza Drewniaka.

Pogrążeni w głębokim smutku i bólu
składamy Panu Generałowi, Jego Synom i Najbliższym
najgłębsze wyrazy współczucia.

Dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie

Panu st. chor. Michałowi Mazurowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerego żalu z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie.

POŻEGNANIA

Pani Marcie Rusjan

wyrazy głębokiego współczucia w trudnych chwilach
po śmierci

Taty

składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Służby Mundurowej
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

**Panu starszemu chorążemu
Jarosławowi Zaborowskiemu**

oraz Jego Rodzinie

wyrazy współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
wojska 1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu płk. Jackowi Fijołkowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Techniki Lotniczej
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu st. chor. w st. spocz.

Andrzejowi Lewandowskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają koledzy ze Stowarzyszenia Saperów Polskich
Koła nr 19 we Włocławku.

**Panu gen. bryg. pil.
Tomaszowi Drewniakowi,**

Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Panu st. szer. Marcinowi Teślukowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie.

**Panu kmdr. ppor.
Zbigniewowi Grylewiczowi**

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
43 Bazy Lotnictwa Morskiego w Gdyni.

Panu mgr. inż.

Lesławowi Janowi Trzmielewskiemu

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony Małgorzaty Fic-Trzmielewskiej

składają szef inspektoratu oraz żołnierze i pracownicy
wojska Inspektoratu Systemów Informacyjnych.

Panu mjr. Sławomirowi Gawronowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
12 Batalionu Dowodzenia Ułanów Podolskich.

Panu gen. bryg. pil.

Tomaszowi Drewniakowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony Renaty

składają dyrekcja i pracownicy
Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych.

POŻEGNANIA

Najserdeczniejsze kondolencje
oraz wyrazy głębokiego współczucia

Panu ppłk. Zygmuntowi Janiakowi

z powodu śmierci

Żony

składają komendant oraz kadra
2 Wojskowego Szpitala Polowego we Wrocławiu.

Panu ppłk. Zygmuntowi Janiakowi,
szefowi sztabu 2 Wojskowego Szpitala Polowego,
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Niespodziewana śmierć zabrała
z szeregów Żandarmerii Wojskowej

mjr. Marcina Żandarskiego,

szefa Sztabu Oddziału Żandarmerii Wojskowej
w Elblągu.

Szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego żalu

Żonie, Dzieciom i Najbliższym

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Oddziału Żandarmerii Wojskowej.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość
o tragicznej śmierci

**starszego chorążego
Rafała Celebudzkiego**

wykonującego zadania w ramach XV zmiany
Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie.

Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej
straciły Wspaniałego Żołnierza,
który oddał swoje życie w walce
z międzynarodowym terroryzmem.

Rodzinie i Bliskim

składam kondolencje i wyrazy szczerzego współczucia.
Cześć Jego Pamięci!

Dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Marek Tomaszyci
oraz żołnierze i pracownicy

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

st. chor. Rafała Celebudzkiego,

poległego w Afganistanie
żołnierza Wielonarodowego Korpusu
Północno-Wschodniego w Szczecinie.

Cześć Jego Pamięci!

Rodzinie i Bliskim

składam wyrazy głębokiego współczucia.

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
generał Mieczysław Gocuł

Rodzinie

st. chor. Rafała Celebudzkiego,

poległego śmiercią żołnierza na misji w Afganistanie,
przekazujemy wyrazy szczerzego współczucia.

W tych najtrudniejszych chwilach
łączymy się z Państwem w myślach i sercach.

Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych

**Płk. pil. Ireneuszowi Nowakowi
i Jego Rodzinie**

z powodu śmierci

Ojca Stanisława

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ

Czas jest najlepszym lekarstwem na smutek,
a wspomnień nikt nam nie odbierze,
zawsze będą z nami...

Z ogromnym bólem i żalem przyjęliśmy wiadomość
o tragicznej śmierci

mjr. Marcina Żandarskiego,

szefa Sztabu Oddziału Żandarmerii Wojskowej
w Elblągu.

W obliczu tej straszliwej tragedii i niepowetowanej
straty łączymy się w bólu

z Rodziną i Najbliższymi.

Komendant główny gen. dyw. dr Mirosław Rozmus,
żołnierze i pracownicy Żandarmerii Wojskowej

PIOTR BERNABIUK

Militarny początek Polski

Twórcami muzeum i opiekunami zabytków są zakochani w tym zakątku Polski hobbyści zrzeszeni w Stowarzyszeniu „Przyjaciele Helu”.



Wieża kierowania ogniem

Wistniejącym od 2006 roku na Półwyspie Helskim Muzeum Obrony Wybrzeża, jednej z najwspanialszych w Polsce ekspozycji sztuki militarnej, sąsiadują ze sobą dwa niezwykle obiekty artyleryjskie – 4 Bateria im. Heliadora Laskowskiego, zapisana na kartach historii bohaterską obroną półwyspu przed niemiecką inwazją, oraz hitlerowska, największa na świecie bateria artylerii nadbrzeżnej Schleswig-Holstein. Twórcami muzeum i opiekunami zabytków są zakochani w Helu, w jego historii i militariach, hobbyści zrzeszeni w Stowarzyszeniu „Przyjaciele Helu”.

Władysław Szarski, zastępca dyrektora Muzeum Obrony Wybrzeża, opowiada o swym pierwszym spotkaniu z helskimi zabytkami: „Blisko 20 lat temu, gdy wprowadziłem się do Helu, wiedziałem, że w pobliskim lesie znajdują się obiekty militarne. Pewnego dnia wyruszyłem na poszukiwania, a po drodze spotkałem grupę licealistów. »Skąd jesteście?«, spytałem. »Z Helu«. »Czy wiecie, że tu są budowle jednej z największych baterii artyleryjskich świata?«, dążyłem. Nie wiedzieli. »No to kto chce ze mną tam iść, żeby je zobaczyć?«. Kilku odważnych się znalazło. Doszliśmy na B-2, czyli Bruno, jedno z trzech stanowisk baterii nadbrzeżnej Schleswig-Holstein. Obiekt znany mi tylko z rysunków wyglądał dosyć smętnie. Od wojny minęło wtedy już około 60 lat, więc w kręgu działobitni rosły drzewa. Była to konstrukcja niespotykana, ale wówczas opuszczona, brudna, rozrabowana. Zacząłem szukać kolejnych stanowisk tej baterii, napisałem pierwszy artykuł”.

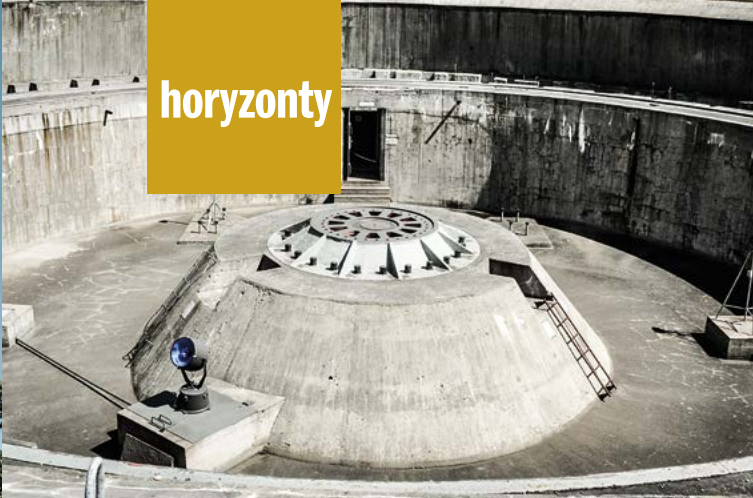
Już wcześniej bateria artylerii nadbrzeżnej Schleswig-Holstein i polskie budowle obronne z 1939 roku, staraniem Sto-

warzyszenia „Przyjaciele Helu”, zostały wpisane do rejestru zabytków. A w roku 2005 burmistrz Helu dostał fundusze unijne na ich odnowienie. Zamówił projekt, dofinansowanie i ruszyły prace restauracyjne. Był jednakże potrzebny ktoś do nadzoru merytorycznego. Gospodarz miasta zwrócił się wówczas do „Przyjaciół Helu”: „Dam wam obiekt, ale zróbcie tak, żeby był fajny, ciekawy, przyciągał ludzi”.

Gdy zimą z roku 2005 na 2006 tam weszli, zastali pustą budowlę, ale już wkrótce prezentowali w niej własne kolekcje oraz oprawione w antyramy plansze, które jednak w ciągu miesiąca niszczyła wszechobecna wilgoć. Zdobywali doświadczenia, uczyli się na własnych błędach. Muzeum jednak cieszyło się nadspodziewanie wielkim powodzeniem, więc przygotowywali kolejne prezentacje. Ekspонатów szybko przybywało. Zbierali kawałki złomu militarnego, jakieś najgorsze rupiecie. Dziś nadal robią zakupy na wolnym rynku, a od entuzjastów, przyjaciół muzeum dostają wiele bezcennych skarbów, zdobiących wystawy bądź... magazyny. „Gdy zakładaliśmy muzeum, nikt z nas nie wiedział, że w każdej prawdziwej placówce tego typu 80% zasobów spoczywa w archiwum i dopiero z nich wybiera się i ekspozuje to, co najciekawsze”, wspomina Szarski.

BOHATERSCY KOMANDORZY

Nazwa Muzeum Obrony Wybrzeża była oczywista, bo przecież w 1939 roku właśnie na Helu najdłużej broniono Polski. Grupy armii gen. Kleberga przesuwają się, a tu trwał broniony z wielkim wysiłkiem teren pod polskim władaniem. Marian Stelmaszczyk, niezłomny wójt, urzędował w Jastarni



Działobitnia największego działa świata, baterii Schleswig-Holstein



Rekonstrukcja dyżurki



Pocisk, ładunek i tuska działa baterii

oficjalnie do 2 października, do dnia kapitulacji Helu. Stano-
wił ostatnią władzę administracyjną RP na terenie Polski.

Patronem muzeum wybrano kmdr. Zbigniewa Przybyszew-
skiego, człowieka wyjątkowego pod każdym względem. Bohat-
terski obrońca Helu, następnie jeden z twórców odradzającej
się po wojnie marynarki wojennej, został niewinnie oskarżony
w „procesie komandorów” i zamordowany w 1952 roku z wy-
roku sądu wojskowego, następnie zrehabilitowany – niestety,
po fakcie. Po długich usiłowaniach muzealnicy helscy nawiąza-
li kontakt z rodziną komandora i do dziś się z nią przyjaźnią
– córka jest w Szwecji, a wnuczka z rodziną w Polsce.

Muzeum Obrony Wybrzeża w Helu powstało dzięki sploto-
wi szczęśliwych okoliczności, ale przede wszystkim dzięki
pasji kilku osób. „Zebrano się czterech panów w poważnym
wieku, hobbystów militarnych...”, opowiada Władysław
Szarski i od razu przy tym zastrzega, by nie mylić badaczy hi-
storii z „militarystami”. O sobie mówi, że jest zdecydowanym
pacyfistą, pasjonującym się między innymi historią artylerii.

„Ojców założycieli”, jak o sobie mówią, było na począt-
ku czterech i tyłu jest nadal, bo zmarłego Romualda Nowa-
ka zastąpił Zbigniew Wiekiera. Po Nowaku została w mu-
zeum unikatowa ekspozycja militariów medycznych. Nowy
członek zespołu kieruje pracownikami muzeum. Jako wie-
loletni działacz harcerski, potrafi bowiem współpracować
z ludźmi, nawet w trudnych warunkach. Wojciech Waśkow-
ski zajmuje się z kolei muzeum głównie od strony finanso-
wej – stara się zapanować nad wszystkimi fakturami, płat-
nościami, należnościami, zatrudnianiem ludzi, a na dodatek
para się edytorstwem.

Wodzem, guru i motorem grupy jest Ryszard Kretkiewicz,
wybiegający z koncepcjami dziesięć kroków do przodu: „Na
jego projekty reagowaliśmy przekonaniem, że to się nie uda,
nie sprawdzi, nie sfinansuje... Po czym się okazywało, że jed-
nak miał rację. Jego dziełem jest między innymi przygotowa-
nie perspektywicznego projektu muzeum regionów i groma-
dzenie niesamowitej liczby eksponatów etnograficznych”.

Władysław Szarski najmniej mówi o sobie: „Kim jestem?
Humanistą, z wykształcenia inżynierem elektrykiem, a przez
większość życia pracowałem jako informatyk. Zainteresowa-
nia miałem zawsze przyrodnicze i humanistyczne”. By dopeł-
nić informacji... jest również kronikarzem, publicystą i „eta-
towym mówcą” na helskich uroczystościach patriotycznych.

HELSKI SZCZERBIEC

Naokoło muzeum znajduje się zbiór eksponatów plenero-
wych, dział, łodzi, torped pozyskiwanych od wojska, od osób
prywatnych, a w części stanowiących do niedawna skansen
marynarki wojennej, który przez lata, do czasu rozwiązania
garnizonu, był w Helu. Dzięki Muzeum MW w Gdyni, z któ-
rym mają znakomite kontakty, mogą pokazać powojenne
uzbrojenie powiązane z Helem.

Nie mają natomiast, niestety, uzbrojenia przedwojennego,
bo to są rzeczy cenne i żadne muzeum mające takie przed-
mioty w magazynie, ze zrozumiałych względów, nie chce ich
udostępnić. Bolesnym dla miłośników Helu przykładem jest
działo, jedno z dwóch ocalałych z baterii im. Heliadora
Laskowskiego. Pokazane wśród innych dział w Muzeum Woj-
ska Polskiego stanowi anonimowy „produkt hutniczy”.
A u nich byłoby perłą, zabytkiem militarnym klasy Szcherb-
ca. Zdaniem Szarskiego, bateria artyleryjska mająca za sobą
tak wspaniałą przeszłość wojenną na całym świecie jest
czymś wyjątkowym.

Marzeniem muzealników z Helu jest odtworzenie na cyplu
stanowiska wrześnieowego dokładnie tam, gdzie kiedyś wal-
czyła najświetniejsza polska bateria. Chcieliby na nim poka-
zywać jedną z dwóch armat, z muzeum warszawskiego lub
z Gdyni, którymi zatrzymano potężną flotę niemiecką, pan-
cerniki „Schleswig-Holstein” i „Schlesien” oraz mnóstwo
mniejszych jednostek (przeciwko czterem armatom kalibru
zaledwie 152,4 mm Niemcy na obu pancernikach mieli
57 takich samych i jeszcze osiem dużo większych).



Plan Rejonu Umocnionego „Hel”

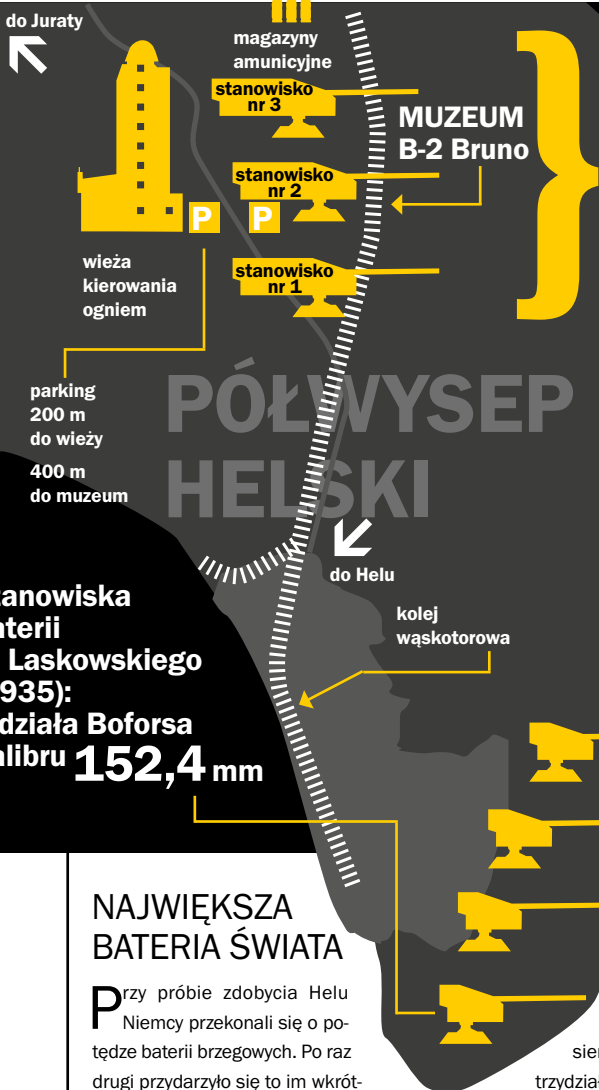
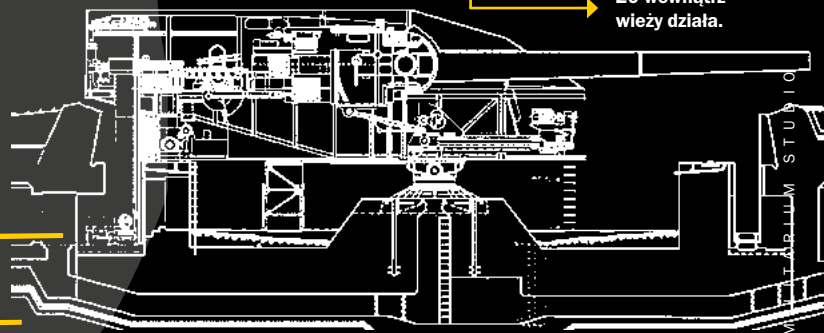
Bateria Schleswig-Holstein z trzema działami kalibru

406,4 mm

Całkowita waga wieży: ok. 400 t
 Grubość pancerza wieży: 5 cm
 Masa dział: 160 t
 Długość lufy: 21,1 m
 Masa lufy: 15,8 t
 Pocisk standardowy: masa około: 1020 kg
 zasięg max: 42,8 km
 długość pocisku: 194,9 cm



Załogę jednego dział stanowi 68 ludzi, z tego 20 wewnątrz wieży dział.



NAJWIĘKSZA BATERIA ŚWIATA

Przy próbie zdobycia Helu Niemcy przekonali się o potężności baterii brzegowych. Po raz drugi przydarzyło się to im wkrótce, podczas ataku na Norwegię, gdzie bateria Oscarsborg na wyspach w Oslofjordzie zatrzymała flotę niemiecką, zatapiając przy tym krążownik „Blucher”. Zbudowali zatem na Helu największą baterię artyleryjską świata. Na cześć walczącego o półwysep pan-

cernika, stanowiącego symbol rozpoczęcia wojny, nazwali ją Schleswig-Holstein. Baterię Laskowskiego natomiast imieniem okrętu „Schlesien”. Schleswig-Holstein była baterią trzydziałową. Każde jej stanowisko artyleryjskie jest oddzielnym schronem. W działobitniach zamontowano największe działa lądowe świata, ważące ponad 400 t. Zaledwie Niemcy oddali z nich próbne strzały, okazało się, że tak świetnie zlokalizowana bateria, strzelająca na odległość 56 km, broniąca całej Zatoki Gdań-

skiej, jest w tym miejscu niepotrzebna. Działa przeniesiono zatem do Francji, w rejon Calais. ■

OBRONA HELU

Obrona Helu w znacznej mierze zawdzięczała oswą skuteczność nieżyjącemu już w 1939 roku kmdr. Heliodorowi Laskowskiemu, inżynierowi-artyleryście. Jego ziszczoną ideą było uzbrojenie cypla. Dzięki staraniom Laskowskiego zakupiono nowoczesne działa Boforsa wz. 35, kalibru 152,4 mm, tworzące 31 Baterię jego imienia, wchodzącą w skład Rejonu Umocnionego „Hel”. ■

HISTORYCZNE PERELKI

Muzeum powstało w wieży kierowania ogniem i na stanowisku artyleryjskim B-2 Bruno. Po latach starań w jego władaniu znalazło się wszystkie sześć obiektów baterii. W tej chwili stanowisko B-3 zostało częściowo wyremontowane i jest przygotowany kompleksowy projekt jego adaptacji na muzeum regionów. Stanowisko B-1 remontują własnymi siłami – tworzą w jego otoczeniu park botaniczny, a we wnętrzach muzealne magazyny.

Przybywa też nowych ekspozycji. Dumą Władysława Szarskiego jest wystawa poświęcona żołnierzom IV Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Hel”. Dowodzeni przez mjr. Jana Wiśniewskiego żołnierze stanowili trzon obrony

Helu od strony lądu. Perłą ekspozycji jest należący do jednego z nich zegarek z inskrypcją „Zawody strzeleckie brygady KOP, I nagroda w 1934 roku”, a największym skarbem – nieustannie uzupełniana lista obrońców Helu. Gromadząc informacje za pomocą dostępnych książek, prasy i rodzin, zebrano blisko 3 tys. nazwisk.

Władysław Szarski podkreśla, że potężne obiekty, z kilkudziesięcioma wystawami i mnóstwem ekspozycji, od 2006 roku gospodarze utrzymują wyłącznie z wpływów za bilety i ze sprzedaży wydawnictw: „Jeżdżę co roku na kongresy naukowe związane z muzealnictwem wojskowym i tam właśnie się dowiedziałem, że pod tym względem jesteśmy ewenementem w skali kraju. Nie tylko się utrzymujemy, ale ciągle staramy rozwijać”. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Przeszłość w zbliżeniu

Zamość to miasto przesiąknięte historią.
I dobre miejsce, żeby o niej opowiadać.

Na pytanie, jak wydarzenia z przeszłości przełożyć na język obrazu, aby powstał dobry film historyczny, Krzysztof Zanussi odpowiada: „Zbudować pomost do widza”. Autorzy obrazów dokumentalnych i reportaży pokazanych na Zamojskim Festiwalu Filmowym „Spotkania z historią” zbudowali takie pomosty, choć czasem opowiadali o wydarzeniach odległych.

WAŻNY BOHATER

Zamość to dobre miejsce na taki festiwal, bo to miasto przesiąknięte historią. Opowiadają ją mieszczańskie i ormiańskie kamieniczki na miejscowym rynku czy wybudowana za rosyjskiego panowania Rotunda – miejsce kaźni miejscowej ludności podczas okupacji. „Nie ma chyba rodziny, która nie doświadczyłaby okrucieństw II wojny światowej”, przyznaje Andrzej Urbański, dyrektor Muzeum Zamojskiego, a jednocześnie członek festiwalowego jury. Nie ma zatem wątpliwości, że w tym mieście jest dobry klimat dla „Spotkań z historią”.

To była druga edycja festiwalu i okazja do obejrzenia 35 filmów, jakie powstały w ciągu dwóch ostatnich lat: 17 dokumentalnych i 18 reportaży. Zainteresowanie tym wydarzeniem jest coraz większe. „W tym roku do festiwalowego konkursu zgłoszono ponad 160 utworów. Historia, jak widać, jest inspiracją dla wielu twórców”, uważa Tadeusz Doroszuk, dyrektor TVP Historia, która wspólnie z Centrum Kultury Filmowej „Stylowy” i miastem Zamość zorganizowała festiwal.

Jedni twórcy sięgają po odległe tematy, nietknięte dotychczas kamerą, inni utrwalają opowieści ostatnich żyjących jeszcze świadków. Przekrój tematyczny festiwalowych filmów był szeroki: od opowieści o królu Stanisławie Leszczyńskim, o Michale Murawiowie „Wieszateliu” czy o historii „Panoramy raclawickiej”, po obrazy o II wojnie światowej, powstaniu warszawskim, Kresach Wschodnich. Te ostatnie miały silny rys martyrologiczny, niejako wpisany w naszą świadomość historyczną. „Trudno nie dostrzec dramatyzmu naszej historii”, dodaje dyrektor Doroszuk. Tematy związane z II wojną światową pojawiały się w różnych kontekstach – przypomnienia wydarzeń („Bydgoszcz 1939”, „Palmiry. Polski Katyń”) lub postaci („Delegat. Jan Piekalkiewicz”, „Gauleiter Erich Koch”).

„Dziś historia w filmach dokumentalnych jest podawana w nowoczesnej formie, z wykorzystaniem współczesnych środków przekazu, dlatego przyciągają one szeroką widownię”, uważa Andrzej Urbański. Jednych widzów zaciekawia zakrety historii i tajemnice pól bitewnych, innych – wspomnienia i przeżycia zwykłych świadków wydarzeń. Andrzej Urbański, oglądając festiwalowe filmy, zwracał uwagę, jak ich twórcy łączą artystyczne podejście z przekazem historycznym. „Tematyka historyczna staje się współczesna, gdy film traktuje o ludziach. Ważny jest bohater”, mówi Miłka Skalska. Jest ona autorką reportażu „Mój ojciec generał”

o dowódcy 2 Korpusu Wojska Polskiego, gen. broni Władysławie Andersie. „W moim domu żywa była pamięć o generale jako o wspaniałym dowódcy”, wspomina. „Dziadek był żołnierzem, walczył w 2 Korpusie. Dom był wypełniony pamiątkami, a jako dziecko bawiłam się biżuterią z końskiego włosia, którą żołnierze zrobili w syberyjskich łągach”.

W filmie o Andersie opowiada córka, Anna Maria. Odkrywa, jakim był człowiekiem na co dzień. Opowieść o generale ma dalszy ciąg już poza kadrem: mąż Anny Marii był oficerem armii amerykańskiej, a w jego ślady podążył syn. „Tradycja woj-

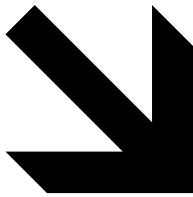
skowości jest kontynuowana. To pokazuje, jak przeszłość wpływa na teraźniejszość”, uważa Miłka Skalska.

OPOWIEŚCI ŚWIADKÓW

Prof. Stefan Pastuszka, historyk, członek jury i Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zwraca uwagę, że przez lata historia była traktowana instrumentalnie. „Po 1989 roku staliśmy się Europejczykami, ale życie w globalnej wiosce sprawia, że chcemy Europy małych ojczyzn. Stąd zwrot ku naszej historii, zapotrzebowanie na rekonstrukcje historyczne, które poszerzają wyobraźnię widza i zmuszają go do dalszych poszukiwań”, mówi profesor. „Mnie urzekła »Legenda 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej«”.

To film niezależnych producentów Marii Wiśnickiej i Andrzeja Wyrozębskiego, zapis wspomnień żołnierzy tej formacji: 6,5 tys. ludzi pod bronią, dwa zgrupowania pułkowe, „Gromada” i „Osnowa”, kilka miesięcy walk w 1944 roku, zarówno z bandami UPA, jak i z Niemcami. „To oni są narra-





„Miasto zatopionych bogów” – rekonstrukcja dziejów wczesnośredniowiecznego Wolina, w okresie, gdy był jednym z największych miast północnej Europy i największym portem Słowian nad Bałtykiem.



ZDZISŁAW COZAC

torami filmu”, podkreśla Maria Wiśnicka. Dla większości widzów to bezimienni bohaterowie. „Opowiedzieliśmy tę historię, żeby oddać tym ludziom honor, ale też chcieliśmy, by poznała ją także młode pokolenie”, opowiada Maria Wiśnicka. To ostatni moment na edukację, ponieważ zostaje coraz mniej świadków wydarzeń, które miały miejsce 70 lat temu na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Takim świadkiem jest Halina Górka-Grabowska, która była telefonistką w dywizji. Na filmie wspomina, jak „pod koniec maja 1944 roku, podczas przejścia przez Prypeć, z jednej strony strzelali do nas żołnierze niemieccy, z drugiej – radzieccy. Ci, którzy polegli na tych zaminowanych łąkach, użyźnili ziemię. Nikt ich nie odkopał, nie wyprawił pogrzebu”.

WE MGLE HISTORII

Ciekawy temat można znaleźć we wszystkich epokach, trzeba mu tylko nadać współczesny rys. Tak robi Zdzisław Cozac, który kręci filmy dokumentalne o początkach polskiej państwowości. Na pytanie, skąd pasja do tak odległej historii, odpowiada, że „z zazdrości”. Bo takie właśnie uczucie towarzyszyło mu, gdy oglądał zachodnie produkcje, na przykład o starożytnym Rzymie. Marzył, by robić kiedyś takie filmy o najdawniejszych dziejach Polski.

Takim filmem jest „Miasto zatopionych bogów” – rekonstrukcja dziejów wczesnośredniowiecznego Wolina, w okresie, gdy był jednym z największych miast północnej Europy i największym portem Słowian nad Bałtykiem. Jak pokazać na ekranie wydarzenia sprzed tysiąca lat, gdy brak materiałów ilustrujących tak odległą historię? Zdzisław Cozac znalazł na to sposób: opinie naukowców i obrazy odkryć arche-

**CIEKAWY
TEMAT MOŻNA
ZNALEZĆ
WE WSZYSTKICH
EPOKACH,
TRZEBA MU
TYLKO NADAĆ
WSPÓŁCZESNY
RYS. TAK ROBI
ZDZISŁAW
COZAC**



„Legenda 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej” jest zapisem wspomnień żołnierzy tej formacji: 6,5 tys. ludzi pod bronią, dwa zgrupowania pułkowe, „Gromada” i „Osnowa”, kilka miesięcy walk w 1944 roku, zarówno z bandami UPA, jak i z Niemcami.

NAGRODZONE FILMY

Jury w składzie: prof. Stefan Pastuszka, historyk, prof. Tadeusz Kowalski, dyrektor Filмотeki Narodowej, prof. Zbigniew Zaporowski, historyk, Janusz Zaorski, reżyser, oraz Andrzej Urbański, dyrektor Muzeum Zamojskiego, przyznało statuetki Zamość Perła Renesansu.

W kategorii najlepszy film dokumentalny otrzymały ją filmy:

„Miasto zatopionych bogów” Zdzisława Cozaca oraz „Mundial. Gra o wszystko” w reżyserii Michała Bielawskiego.

W kategorii najlepszy reportaż statuetka powędrowała do Edyty Maksymowicz za film „Oblicza naszej i waszej wolności”.

Grand Prix za szczególne zasługi dla polskiej kinematografii historycznej odebrali Krzysztof Zanussi oraz Krzesimir Dębki.

Jury przyznało wyróżnienia dla filmu „Kuś – historia zielarek z Gorzuchowa” w reżyserii Tomasza Góralczyka, Radosława Biskupskiego i Krzysztofa Zalaszewskiego oraz dla reportażu „Legenda 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK” Marii Wiśnickiej i Andrzeja Wyrzębskiego.

Nagrodę Publiczności 2. Zamojskiego Festiwalu Filmowego otrzymał film Marka Widarskiego „Medycyna i powstanie. Chcieliśmy żyć”.



ologicznych przeplata z wirtualnymi rekonstrukcjami wczesnośredniowiecznego miasta i inscenizacjami z życia grodu (wiele ujęć kręcił na terenie wolińskiego skansenu Centrum Słowian i Wikingów).

W rekonstrukcji filmowej brało udział kilkaset osób, głównie ze Stowarzyszenia Centrum Słowian i Wikingów Wolin – Jomsborg – Vineta. „W fazie realizacji zdjęć najtrudniejsze były inscenizacje, sceny batalistyczne. W bitwie Mieszka I z plemionami zachodniosłowiańskimi pod wodzą banity saskiego Wichmana II Młodszego uczestniczyło 400 wojów. Mieliśmy do dyspozycji amatorów, ale pasjonatów z bractw rycerskich, i myślę, że znakomicie wywiązali się z tego zadania. W fazie produkcji trudne były natomiast animacje w 3D, rekonstrukcje grodziska z różnych faz jego funkcjonowania”, wspomina Zdzisław Cozac. Tak przygotowywany obraz został potem przetworzony, przepuszczony przez specjalne filtry. Efekt? Pierwsza nagroda na festiwalu.

POWSTAŃCY NA FOTOGRAFIACH

Reportaż „Oblicza naszej i waszej wolności” Edyty Maksymowicz to opowieść o losach ludzi uwiecznionych na fotografiach zdeponowanych w Wilnie w Litewskim Państwowym Archiwum Historycznym. Trzy albumy, pochodzące z połowy XIX wieku, zawierają ponad 800 zdjęć, tak

niezwykłych, że trafiły na Listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Powstały na zlecenie „Wieszatiela” w czasach, gdy koszt jednego zdjęcia równał się wartości konia. Gen. Murawiov polecił uwiecznić na nich powstańców, ofiary represji na Litwie po powstaniu styczniowym. Miały pomóc w ich identyfikacji.

W archiwum w Wilnie zachowały się teczki powstańców, protokoły z przesłuchań i ze śledztwa. Edyta Maksymowicz jest przekonana, że to najbogatszy zbiór materiałów z powstania styczniowego. Może posłużyć do zrobienia jeszcze kilku filmów. Opowiada także, że jeden z litewskich historyków przygotował cyfrową wersję albumu ze zdjęciami powstańców styczniowych. Zabiegał, aby wydać tę publikację pod patronatem prezydentów Polski i Litwy. Niestety, prezydent Dalia Grybauskaitė napisała słowo wstępne o tak antypolskiej wymowie, że trudno było stronie polskiej taki tekst zaakceptować. „Bo jeszcze bardziej by nas podzielił, a przecież powstanie styczniowe to ostatni wspólny element naszej historii”, mówi Edyta Maksymowicz.

Anna Kwiatkowska, kierownik Redakcji Dokumentu i Publicystyki Historycznej TVP Historia, zwraca uwagę na jeszcze jeden walor takich festiwalowych spotkań: „Cenne jest to, co się dzieje w kulturalnych, czyli dyskusyjnych, spotkaniach z autorami, rozmowy na temat tego jak opowiadać o historii. Tak, żeby było najpełniej i najpiękniej”.



ZAMKI

Warownia na Kruczej Skale

Na wapiennej górze na Szlaku Orlich Gniazd wznoszą się ruiny średniowiecznego zamku.

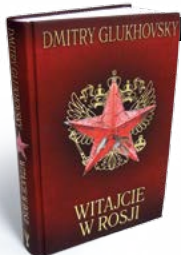
Zniszczony i opuszczony przez lata zamek staje się powoli turystyczną atrakcją. Średniowieczna warownia w Rabsztynie odzyskuje blask dzięki pracom prowadzonym przez gminę Olkusz, do której od 1990 roku należy. Renowacje i konserwacje zabytkowej budowli wspiera Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w tym roku już po raz piąty przekazało gminie dotacje na prowadzone w Rabsztynie prace, badania ar-

cheologiczne i zagospodarowywanie terenu warowni.

Dzięki tym środkom władze samorządowe odgruzowały i uprzątnęły znaczną część zamku, uzupełniły, odtworzyły i zabezpieczyły część murów przed zawaleniem. Na terenie warowni pracują też archeolodzy, którzy odkryli tu między innymi piwnice z fragmentami sklepień, kolumn i posadzek oraz elementy średniowiecznego pieca ogrzewającego twierdzę.

Jednocześnie wzgórze zamkowe jest przygotowywane dla turystów. Powstał parking, mają być budowane toalety i most nad fosą, a w kolejnych latach powstanie rycerska wioska oraz widowiskowa iluminacja ruin. Władze miasta obiecują też, że jeszcze tej jesieni zostanie otwarty taras widokowy, skąd będzie można podziwiać panoramę Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

Prowadzone na zamku prace nie odpowiedziały jednak na pytanie, kiedy



KSIĄŻKA

To jest Rosja właśnie

Tu dodamy, tam odejmiemy, tu zagłusze dom wariatów, tam więzienie poprze nas jednogłośnie, tu kostnica...”, tak zareagował Siergiej Wasiliewicz Czistiakow, prominent z wojskowej prowincji, na wieść o przegranej w wyborach. Nie dopuszczał do siebie myśli, że może odpaść z politycznej gry. Przecież nieraz już się zdarzyło, że wyborcy za-

wiedli. I cóż z tego, skoro są sprawdzone sposoby na skierowanie na właściwe tory „demokratycznego głosu ludu”. Tyle że Moskwa postawiła na automatyzację – sam Bill Gates zainstalował Rosjanom główny automatyczny system „Wybory”. I koniec z majstrowaniem przy kartach wyborczych – wariaci i nieboszczycy stracili prawo głosu...

To tylko jedno z fenomenalnych opowiadań Dmitri’ego Glukhovskiy’ego ze zbioru „Witajcie w Rosji”. Ten dziennikarz, korespondent wojenny i autor postapokaliptycznej powieści „Metro 2033” w formie krótkich obrazków

z wątkami science fiction opowiada o swoich rodakach. Elementy fantastyczne jednak nic nie ujmują tym opowiadaniom, w których – trochę jak w krzywym zwierciadle – znajdujemy odbicie rosyjskiego społeczeństwa. Pełne ironii opowieści wywołują salwy śmiechu, ale jednocześnie zmuszają do refleksji. Z całą pewnością jednak pozwalają lepiej zrozumieć mechanizmy, które ukształtowały to specyficzne społeczeństwo. ■

ANETA WIŚNIEWSKA
Dmitry Glukhovskiy, „Witajcie w Rosji”, Insignis, 2011A



Vademecum

Do Rabsztyna, leżącego 2 km od Olkusa, dojedziemy autobusem komunikacji miejskiej lub PKS-em. Zmotoryzowani mogą zaparkować samochód poniżej zamkowego wzgórza. Zamek jest czynny od kwietnia do końca października we wtorki i środy oraz od piątku do niedzieli w godzinach 10–16. Jednak w tym roku z powodu remontu od sierpnia jest zamknięty do odwołania. Co roku w pierwszy weekend lipca Bractwo Rycerskie „Kruk” Starostwa Rabsztyńskiego organizuje tu turniej rycerski. Ponad setka współczesnych rycerzy z całej Polski bierze udział w zmaganiach łuczników, walkach na miecze, pojedynkach i widowiskowym szturmie na zamek.

warowania powstała i kto był jej założycielem. Pierwsza wzmianka o budowli usadowionej na najwyższej części rabsztyńskiego wzgórza pojawia się pod koniec XIV wieku. Przypuszczalnie jednak drewniana strażnica istniała tu już w XIII wieku, a za panowania Kazimierza Wielkiego zbudowano mury z kamieniem z kamiennym budynkiem mieszkalnym i cylindryczną wieżą obronną. Nazwa zamku wywodzi się natomiast od niemieckiego „Rabenstein” czyli Kruca Skała.

W połowie XV wieku rządzący na zamku starosta Andrzej Tęczyński na polecenie króla Władysława Warneńczyka rozpoczął wzmocnienie fortyfika-

cji. Podwyższono wówczas kamienną wieżę ceglana nadbudówką i wykopano suchą fosę przed bramą wjazdową. Powstał też zamek dolny. Niestety Tęczyński zginął w 1461 roku zabity w tumultach przez mieszczan krakowskich. Jak mówi legenda, jeden z nich odsiadywał potem wyrok w lochach Rabsztyna.

Czasy największej świetności tej budowli to okres rządów rodu Bonerów, bogatych krakowskich mieszczan, którzy od 1515 roku objęli funkcje tutejszych starostów. Rozbudowali warownię, wznosząc w miejscu zamku dolnego renesansową rezydencję, w której w 1574 roku nocował król elekt Henryk Walezy.

Niestety, podczas potopu, tak jak wiele innych polskich warowni, zamek został splądrowany i spalony przez Szwedów. Odbudowy podejmowali się kolejni starostowie z rodu Radziwiłłów, Sapiehów i Wielopolskich. Warownia została też zmodernizowana na potrzeby XVII-wiecznej sztuki wojennej – powstały szańce artyleryjskie i ziemne bastaje. Mimo to zaczęła powoli popadać w ruinę. Według opisu z 1791 roku zamek był już spustoszony, a połowa jego murów zniszczona.

Na początku XIX wieku został całkowicie opuszczony. Salety z zaprawy jego murów używano do produkcji prochu strzelniczego podczas powstania listopadowego, a okoliczni mieszkańcy rozbierali mury, traktując je jako tani materiał budowlany. Na początku XX wieku zawałiła się też zamkowa wieża, prawdopodobnie wysadzona przez poszukiwaczy skarbów. Dopiero teraz warownia ponownie ma szansę tętnić życiem. ■

ANNA DĄBROWSKA

KSIĄŻKA

Podróż bez końca

Jeśli bóg umarł na zachodzie, to w Indiach ma nadal tysiąc adresów”, napisał Tiziano Terzani w książce „W Azji”. „Nie ma w Indiach miejsca, w którym człowiek by nie wpadał na wyznawców jakiejś religii, czcicieli jednej z wielu postaci tego samego bóstwa, na tłumy pielgrzymów zmierzających do sanktuariów pieszo lub na rowerze, autobusem albo w lektyce”. Cytat ten w pewnym sensie definiuje głównego bohatera powieści Mateusza Czarneckiego. Jego historia to opowieść o pielgrzymce – fizycznej i duchowej – która jednak nie ma celu, więc nie ma też końca. Teo na co dzień nosi wygodny kostium wielkomiejskiego korporawiera. Romans z muzulmanką Amirą, który nawiązuje w Indiach, zmienia jego dotychczasowe życie. W Warszawie traci wszystko i decyduje się na wyjazd do Indii. Tam okazuje się, że przyszłość, jaką sobie wymyślił, się nie spełni. Rozpoczyna więc podróż, która pomoże mu odnaleźć sens w życiu.

Teo nie wzbudził mojej sympatii. Jest w tej postaci fałsz, który odbiera mu wiarygodność. W gruncie rzeczy duchowa przemiana Teo też wcale się nie dokonuje. Pozostaje egocentrycznym chłopcem, który bawi się w dorosłość. Jego podróż po Indiach momentami przypomina grecką tragedię, z antycznym chórem w pociągu, który pokazuje mu różne aspekty własnego życia. Prawdziwym bohaterem powieści Czarneckiego są Indie. Urzekające pod każdym względem, krwiste, kolorowe. I piękne, i straszne. Przypominają te z reportaży Terzaniego – wprowadzają w pewien stan oderwania. W tym kontekście postać Teo nabiera zupełnie nowego wymiaru. Jego prawdziwa tragedia polega na tym, że on tego stanu doświadczyć nie może, mimo że bardzo tego pragnie. W tłumie pielgrzymów, zmierzających do świątyni Teo wciąż nie jest jednostką, lecz masą. Odbiciem wielu jemu podobnych, którzy nie wiedzą do końca, czego szukają. I koło się zamyka. Bo jeden kostium Teo zamienia na drugi. I w tym sensie jego historia nie ma końca. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Mateusz Czarnecki, „Otwórz oczy, zaraz świt”, Al Revés, 2014



PROGRAM TV

Bokser w koszarach

W programie stacji telewizyjnej National Geographic Channel słynny mistrz boks i kick-boxingu zmierzy się z najtrudniejszymi zadaniami różnych profesji. Przemek Saleta będzie zatem pracował w kopalni, stoczni lub odlewni. Na początek zajmie się wyrębem drzew w Nadleśnictwie Cisna w Bieszczadach. W jednym z odcinków programu pozna też smak służby wojskowej. Najpierw wyczyści lufy czołgu

i wymieni gąsienice. Będzie też musiał załadować jedną ręką pocisk ważący 25 kg. To jednak nie wszystko, bo Przemek Saleta zmierzy się również z saperskim rzemiosłem. AW ■



„Przemek Saleta: najcięższe zadania”
(pierwszy z dziesięciu odcinków
8 października 2014 roku, o godz. 22:00;
następne w kolejne środy)

KSIĄŻKA

Życie obok wojny

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie w znanej reporterce – Marii Wiernikowskiej rozbudziły dawną ciekawość wojny.

Babcia opowiadała jej nie bajki, lecz historie z powstania warszawskiego. „Jej męża rozstrzelali, ją brali kilka razy na gestapo, moją mamę też, bo wyglądała jak Żydówka. Plus te wszystkie filmy, którymi byliśmy karmieni. Ja mam do tego tęsknotę. Ciekawość wojny. Więc jeżdżę”, opowiadała Maria Wiernikowska w wywiadzie, który ukazał się w „Gazecie Wyborczej” w 1995 roku, tuż po powrocie dziennikarki z Czeczenii. Ta ciekawość ciągnęła ją wszędzie tam, gdzie się coś działo. Zdawała więc relacje z rozpadającego się Związku Radzieckiego, serbskich obozów koncentracyjnych, tymczasowych osiedli osaczonych z dwóch stron Kurdów czy z Groznego. Nie lubi jednak, gdy nazywa się ją korespondentką wojenną. Z przekonania jest pacyfistką i denerwuje się, gdy ktoś mówi o romantycznych aspektach wojny. Według niej, śmierdzi skwaśniałym ubraniem, niemytym ciałem i śmiercią.

Od wielu lat Maria Wiernikowska nie podąża ścieżką wytyczoną przez kon-

flikty zbrojne. Wydarzenia na Ukrainie chyba jednak obudziły w niej dawną ciekawość wojny i sprowokowały do uporządkowania swoich archiwalnych materiałów. I tak powstała świetna książka „Widziałam. Opowieści wojenne”. Zaczyna się wzbudzającym wiele emocji tekstem o najnowszych wydarzeniach za naszą wschodnią granicą. Pozostała część to korespondencje, które Wiernikowska przesyłała od 1990 roku, między innymi do „Gazety Wyborczej”, „Tygodnika Powszechnego” czy Radia Zet. Jak sama twierdzi: „Wygrzebałam moje reportaże, korespondencje, notatki – niby z wojen, ale z życia tak naprawdę. Z życia obok wojny, której nikt nie chce”. ■



ANETA
WIŚNIEWSKA
Maria Wiernikowska,
„Widziałam. Opowieści
wojenne”,
Zwierzciadło, 2014

➤ Rozmowa z Marią
Wiernikowską
na str. 122

POD NASZYM
PATRONATEM

Jubileuszowe spotkanie

W Oborach koło Konstancina-Jeziorny 24–25 października 2014 roku odbędzie się spotkanie z okazji XXX-lecia wojskowego ruchu literackiego, organizowane przez Departament Wychowania i Promocji Obronności MON oraz Centralną Bibliotekę Wojskową im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jubileuszowe spotkanie będzie uroczystym podsumowaniem wyników organizowanego corocznie w Siłach Zbrojnych RP konkursu literackiego. Zgodnie z regulaminem jego uczestnikami mogły być osoby związane z Wojskiem Polskim. Podczas spotkania laureaci odbiorą z rąk Marka Wawrzkiwicza, prezesa Związku Literatów Polskich, przewodniczącego jury konkursu, oraz przedstawicieli DWiPO i CBW nagrody, dyplomy, wyróżnienia i podziękowania.

Jubileusz uświetnią wystawa okolicznościowa, podsumowująca 30 lat istnienia ruchu literackiego w Wojsku Polskim, oraz występ Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego WP. Z tej okazji organizatorzy zaplanowali również promocję almanachu „Światłocienie” – antologii utworów nagrodzonych w konkursach literackich w latach 2010–2014. ■

KSIĄŻKA

Inkaska tajemnica

To, że wszyscy myślą o skarbie, nie znaczy, że wszyscy chcą skarb znaleźć.

Ukryty gdzieś w zamku w Niedzicy inkaski skarb od lat rozpala wyobraźnię poszukiwaczy przygód. Według legendy, do Polski przywiózł go Sebastian Berzewiczy, którego córka Umina była żoną legendarnego Tupaca Amaru III, ostatniego potomka królewskiego rodu. Swoje prawa do skarbu, którego nigdy nie odnaleziono, zgłosił Andrzej Benesz, wicemarszałek sejmiku PRL. Zanim jednak zdążył odnaleźć to,

co ukryli Inkowie, zginął w wypadku samochodowym w 1976 roku. Jego śmierć do dziś jest łączona z klątwą, która ponoć dosięgnie każdego, kto zechce odnaleźć skarb.

Legenda o tajemniczych bogactwach Inków ukrytych w Polsce już sama w sobie jest przygodowo-sensacyjną opowieścią godną największych mistrzów pióra. A jeśli jeszcze opakuje się ją w wartką akcję i współczesne wątki, wyjdzie ciekawa historia z dreszczykiem. Robert Kilen zaczerpnął z legendy najbardziej ciekawe elementy i wciągnął czytelnika w przygodę z bohaterami, wśród których są niebogaty niemiecki arystokrata, sztyryński blondpięknok i potomkowie inkaskiego rodu – strażnicy skarbu. Wszyscy spotykają się w przerobionym na

hotel zamku Kliczków w Bolesławcu. Każdy przyjechał tam w sobie tylko znanym celu, jednak szybko ścieżki bohaterów zaczynają się krzyżować, aby przez gąszcz intryg i niespodziewanych zwrotów akcji poprowadzić nas, czytelników, coraz bardziej rozemocjonowanych lekturą, w kierunku rozwiązania zagadki. Wszystko dzieje się w pięknej scenarii Dolnego Śląska, który wciąż kryje wiele mrozących krew w żyłach historii. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Robert Kilen, „Krew Illapa”, Bellona, 2014



Z A B Y T E K

Tajemnica olbrzyma

Chociaż od zakończenia II wojny światowej minęło niemal 70 lat, do dziś mnożą się hipotezy i domysły, jakie tajemnice III Rzeszy kryją Góry Sowie.

Nieco ponad kilometr na północny wschód od miejscowości Kolce i w takiej samej odległości od Sierpnicy, w gminie Głuszycza na Dolnym Śląsku znajduje się podziemny kompleks Osówka – jeden z najciekawszych obiektów tego typu wybudowanych na rozkaz Hitlera w Górach Sowich od jesieni 1943 roku do wiosny 1945 roku w ramach operacji „Riese” („Olbrzym”), największego przedsięwzięcia budowlano-górniczego II wojny światowej. Do dziś odnaleziono siedem takich kompleksów: Włodarz, Rzecznka, Jugowice, Soboń, zamek Książ, Gontowa i Osówka.

Wewnętrzny układ wyrobisk składa się z czterech ciągów korytarzy i hal biegnących poprzecznie względem sztolni wylotowych oraz mniej regularnego układu hal i korytarzy równoległych do tychże sztolni. Ślepe przodki świadczą o tym, że ten system miał być powiększany. Ogrom przestrzeni (jedna z hal ma 8 m wysokości!), perfekcyjne rozwiązania techniczne, systemy odwadniające i napowietrzania zadziwiają każdego zwiedzającego. I nieuchronnie pojawi się pytanie: do czego miało służyć to podziemne miasto? Obecny stan

rozpoznania tego obiektu jest jednak ciągle niezadowolający. Nie wiadomo, czy Osówka nie kryje innych korytarzy, może nawet celowo tak zamaskowanych, żeby nigdy do nich nie dotrzeć. Pytań, na które nikt dziś nie znalazł odpowiedzi jest więcej. Dlaczego nie zachowały się plany tak wielkiej budowy? Co chcieli ukryć Niemcy? A może Rosjanie? Albo polskie służby bezpieczeństwa? Z danych, do których udało się dotrzeć polskim naukowcom, między innymi ze wspomnień Alfreda Speera, ministra uzbrojenia III Rzeszy, zaufanego Hitlera, którzy sporządzał dla niego raporty z budowy, wynika na przykład, że na całą inwestycję zużyto znacznie więcej betonu, niż wskazują na to obiekty, do których udało się dotrzeć. Do czego zatem został wykorzystany pozostały? Czy to oznacza, że najważniejsze miejsca są gdzieś ukryte? Według niektórych historyków budowano tu podziemne fabryki zbrojeniowe. Do prac zatrudniano robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych.

Oprócz podziemnych korytarzy na kompleks składają się liczne naziemne fundamenty i gruzowiska, między in-

nymi tak zwane kasyno i siłownia. Pod względem zaawansowania wykonanych tu prac obiekty te należy zaliczyć do najbardziej wykończonych na tle pozostałych. „Siłownia” i „kasyno” to niejedynie fragmenty naziemnej części budowli kompleksu Osówka. Znajdziemy tu jeszcze dziesiątki rozmaitych gruzowisk, w większości w pełni nierozpoznanych.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku kompleks Osówka został udostępniony do zwiedzania. To najdłuższa i najciekawsza trasa. Warto się tam wybrać. Świetnie przygotowani przewodnicy zainteresują historią tego miejsca nawet tych, u których II wojna światowa nie budzi ciekawości. Docenili je także twórcy filmowi. To właśnie tu między innymi kręcono serial „Tajemnica twierdzy szyfrów” na podstawie książki Bogusława Wołoszańskiego. Podziemne miasto można zwiedzać przez cały rok: od kwietnia do października w godzinach 10.00–18.00, od listopada do marca od 10.00 do 16.00. Do Głuszyczy można dojechać autobusem z Wałbrzysza. Dla zmotoryzowanych jest też przygotowany duży parking. ■

RENATA GROMSKA



ANDRZEJ GROMSKA

Wrocławską synagogę z 1826 roku jest nie tylko miejscem praktyk religijnych, lecz także siedzibą Centrum Edukacji i Kultury Żydowskiej.

WYSTAWA

Historia odzyskana

Ponad 850 lat liczy historia Żydów na terenie Dolnego Śląska. Wrocław był niegdyś jednym z najważniejszych, oprócz Pragi, ośrodków żydowskich w centralnej części Europy. Dzieje tamtejszej gminy żydowskiej prezentuje wystawa w synagodze Pod Białym Bocianem, zatytułowana „Historia odzyskana. Życie Żydów we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku”. Można na niej zobaczyć także albumy fotograficzne przygotowane przez Bronisława Eidlera, byłego więźnia obozów w Krakowie-Płaszowie, Dachau i Gross-Rosen. Zgromadzone na ekspozycji zdjęcia przedstawiają życie żydowskie we Wro-

clawiu, Wałbrzychu, Dzierżonowie i innych miejscowościach Dolnego Śląska w latach 1945–1946.

Od 1941 roku do wyzwolenia wyjechało z Wrocławia w kierunku Kowna, Sobiboru, Bełżca, Izbicy, Auschwitz i wielu innych miejsc kilkanaście transportów z ludnością żydowską. Gdy skończyła się wojna, pojawiło się pytanie, gdzie mają zamieszkać Żydzi ocaleni z Holocaustu, wyzwoleni z obozów czy powracający z przymusowej emigracji. Wielu z nich zdecydowało się osiedlić na Dolnym Śląsku. Dla jednych była to ziemia obiecana, dla innych tylko przystanek w powojennej tułaczce.

Wrocław stał się w ten sposób wówczas największym ośrodkiem osadnictwa żydowskiego w Polsce. W 1946 roku, po pogromie kieleckim, nastąpiła kolejna fala emigracji Żydów. Zanim do tego doszło, społeczność żydowska organizowała sobie codzienne życie, które można dziś zobaczyć na unikatowych zdjęciach.

Wart uwagi jest już sam budynek synagogi z 1826 roku. Od połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku, po burzliwych i dramatycznych doświadczeniach z przeszłości, obiekt odzyskał dawną świetność i znowu należy do gminy żydowskiej. Jest nie tylko miejscem praktyk religijnych, lecz także siedzibą Centrum Edukacji i Kultury Żydowskiej, które organizuje tu między innymi wystawy, projekcje filmów, koncerty, warsztaty i wykłady.

RENATA GROMSKA

POD NASZYM PATRONATEM

Obcy mundur – dola taka...

O Polakach z zaboru pruskiego, którzy wbrew swojej woli zostali żołnierzami armii niemieckiej podczas I wojny światowej, opowiada najnowsza wystawa w Wielkopolskim Muzeum Wojskowym.

Militärpass – książeczka wojskowa Stanisława Gawareckiego z Rataj pod Poznaniem, wystawiona w 1915 roku



Ekspozycję otwiera pokaz pamiątek z służby w wojsku pruskim do 1914 roku – książeczek wojskowych dokumentujących wojenne losy ich właścicieli, fotografii czy pocztówek wysyłanych z garnizonów do domu. Polski dom rodzinny symbolizuje aranżacja przedstawiająca wnętrze mieszkalne, miejsce, skąd szli na wojnę, dokąd pisali listy i wracali Polacy – żołnierze armii niemieckiej. Ich życie na froncie ilustrują liczne fotografie prze-

syłane do rodzin jako pocztówki. Pokazują one nie tylko żołnierzy, lecz także sprzęt bojowy, warunki, w jakich żyli na wojnie, a także ich samych w otoczeniu rodziny podczas urlopów.

Wystawa prezentuje także broń i oporządzenie – karabiny, pistolety, bagnety, pałasze, charakterystyczne nakrycia głowy, czyli pikielhauby, hełm (wzór z 1916 r.), ładownice, lornetki, maski przeciwgazowe, manierki i tyżki. Na dwóch słupach ogłoszeniowych można

przeczytać informacje zamieszczone w ówczesnej prasie poznańskiej, plakaty, ogłoszenia, nekrologi, listy poległych oraz fragmenty poezji. Kurtka mundurowa żołnierza niemieckiej marynarki wojennej z białą-czerwoną kordką przypomina o tym, że po zakończeniu walk, powracający do domu Polacy, dawni żołnierze armii niemieckiej, raz jeszcze chwycili za broń. Tym razem, w powstaniu wielkopolskim walczyli już o własną sprawę. ET



Ostatni korespondent

Nowa wersja słynnego dokumentu „Korespondent Bryan”. Film zawiera niepublikowane wcześniej zdjęcia z prywatnego archiwum amerykań-

skiego dziennikarza Juliana Bryana, pokazujące koszmar oblężonej Warszawy we wrześniu 1939 roku. ■

3 października, godz. 19.35

TVP
HISTORIA

Inny świat

Wspomnienia polskiej aktorki

Poruszająca opowieść wybitnej aktorki Danuty Szaflarskiej o jej życiowych doświadczeniach. Narratorka wiele uwagi poświęca dzieciństwu i przeżyciom z czasów II wojny światowej. Dlaczego „inny świat”? Czy dlatego, że bohaterka opowiada o odległych czasach międzywojnia i dramacie II wojny światowej, kiedy nikomu nie śniło się o telewizji, komputerach i telefonach

komórkowych, a z okazji przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej dzieciom nie dawano żadnych prezentów? Czy może owa „inność” dotyczy świata wartości? Według Szaflarskiej wartość człowieka można poznać po tym, jak radzi sobie z przeciwnościami losu. Tylko morderczy upór, żelazna konsekwencja i ciężka praca wiodą na szczyt. ■

25 października, godz. 21.40

TVP
HISTORIA

Jaster

Film przedstawia wstrząsającą historię, jaka wydarzyła się w Warszawie latem 1943 roku. 22-letni Staszek Jaster, pseudonim „Hel”, został niesłusznie posądzony o kolaborację z gestapo i w trybie nagłym, bez pisemnego

wyroku, skazany, a następnie rozstrzelany. Staszek Jaster „Hel” był członkiem oddziałów Osa-Kosa i osobistym emisariuszem Witolda Pileckiego po ucieczce 20 czerwca 1942 roku z obozu Auschwitz-Birkenau. Do skazania i rozstrzelania „Hela” doszło na skutek tragicznego splotu okoliczności. ■

6 października, godz. 23.50

Opowieść o Żydach polskich

Transmisja zorganizowanej przez Muzeum Polin niezwyklej lekcji poświęconej 1000-letniej historii Żydów polskich. Widzowie przeniosą się do XVI-wiecznego Krakowa, staną pod zdobnym sklepieniem XVII-wiecznej synagogi w Gwoźdźcu i trafią na zatłoczoną ulicę międzywojennej Warszawy. Przejdą też przez galerię opowiadającą o Zagładzie. Zwieńczeniem podróży będzie rozmowa na temat współczesnej społeczności żydowskiej w Polsce. ■

23 października; część I godz. 9.00;
część II godz. 11.30

TVP
HISTORIA

Towarzysz Wiesław

Biografia Gomułki



Dokument opowiadający o życiu i działalności politycznej Władysława Gomułki, I sekretarza KC PZPR w latach 1956–1970. Tłem biografii są najważniejsze wydarzenia polityczne tamtych czasów: rok 1956 (objęcie władzy, wielkie nadzieje związane z Gomułką), rok 1968 (zamieszki na uczelniach, wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji, samospalenie Ryszarda Siwca podczas uroczystości dożynkowych), rok 1970 (uznanie przez RFN zachodniej granicy PRL, użycie broni wobec robotników na Wybrzeżu, odwołanie Gomułki). Film ukazuje karierę Władysława Gomułki, ale to też jego portret jako człowieka, ze zwróceniem uwagi na cechy, które niewątpliwie wpłynęły na rządzącego polityka: kompleks związany z brakiem wykształcenia, ascetyzm, apodyktyczność. ■

18 października, godz. 21.45



JERZY
EISLER

Bitwa nad Neretwą

Gdy w październiku 1969 roku „Bitwa nad Neretwą” miała światową prapremię, była najdroższym filmem, jaki kiedykolwiek zrealizowano w państwie rządzone przez komunistów, oczywiście jeśli nie liczyć Związku Radzieckiego. Mimo że na tle ówczesnych wielkich produkcji hollywoodzkich, wynoszący 3 mln dol. budżet filmu mógł się wydawać niezbyt imponujący, to jednak pozwolił na to, żeby reżyser Veljko Bulajić zaangażował najpopularniejszych wówczas aktorów jugosłowiańskich oraz grono międzynarodowych gwiazd, takich jak: Siergiej Bondarczuk, Yul Brynner, Sylva Koscina, Curt Jürgens, Hardy Krüger, Franco Nero i Orson Welles.

Film opowiada o wielkiej antypartyzanckiej ofensywie w styczniu 1943 roku, w którą – wraz ze współpracującymi z wojskami niemiecko-włoskimi czetnikami – było zaangażowanych blisko 200 tys. żołnierzy. W okrażeńiu znalazły się tysiące partyzantów Josipa Broza-Tity, którzy podjęli heroiczną próbę przedostania się w góry przez kluczowy most na Neretwie. Niemcy (wraz ze swoimi sojusznikami) postanowili im to za wszelką cenę udaremnić, bombardując partyzanckie kolumny z samolotów i ostrzeliwując z czołgów, dział i moździerzy. Nawiasem mówiąc, sceny batalistyczne z udziałem tysięcy statystów oraz dziesiątkami konnych wozów, samochodów i pojazdów pancernych robią imponujące wrażenie. Nie ulega wątpliwości, że te zrealizowane z dużym rozmachem inscenizacyjnym sekwencje są największym atutem tego filmu. Jednak niektórym widzom w jego odbiorze może przeszkadzać pewien „drobiazg”. Otóż dużą część „niemieckich czołgów”, użytych na planie filmowym, stanowią opatrzone czarnym krzyżem i nieco tylko „ucharakteryzowane” popularne radzieckie T-34. Nie był to zresztą w owym czasie pomysł wyłącznie jugosłowiański; analogicznie postępowali twórcy obrazów wojennych realizowanych w Polsce, a czasem nawet filmowcy amerykańscy (vide: „Bitwa w Ardenach”).

Wszelako nie jest to w żadnym razie najpoważniejszy zarzut, jaki można postawić pod adresem „Bitwy nad Neretwą”. Przede wszystkim jest to jednak film wyraźnie propagandowy, uwikłany w „politykę historyczną” ekipy Tity. Jednym z głównych jej celów było stworzenie na bazie systemu komunistycznego i tradycji partyzanckiej z lat II wojny światowej nowego narodu jugosłowiańskiego. Naturalnie nigdy się to nie udało, ale przez blisko pół wieku Serbów, Chorwatów, Bośniaków, Słoweńców, Czarnogórców za pomocą ideologii internacjonalistycznej bezskutecznie próbowano przekształcić w Jugosłowian.

Ideologiczne intencje autorów filmu są także widoczne w scenach z udziałem Franco Nero, który wcielił się w rolę włoskiego kapitana wojsk artyleryjskich. Najpierw Michael Riva miał wiele wątpliwości co do słuszności prowadzenia bezwzględnej walki z partyzantami. Następnie zdezerterował z własnej jednostki, a potem trafił do partyzantów i na ochotnika zgłosił się, aby wraz z nimi walczyć o demokratyczne Włochy. Jego los dopełnił się w walce u boku partyzantów. Antyfaszystowskie, a ściślej rzecz ujmując komunistyczne przesłanie jest tutaj aż nadto wyraźnie widoczne. Warto zaznaczyć, że dla polskich widzów, o ile nie liczyć popularnej komedii okupacyjnej „Giuseppe w Warszawie”, była to jedna z pierwszych okazji zobaczenia w kinie żołnierzy włoskich w roli bezwzględnych okupantów i sojuszników Trzeciej Rzeszy. ■

JEST TO FILM WYRAŹNIE
PROPAGANDOWY,
UWIKŁANY W „POLITYKĘ
HISTORYCZNĄ”
EKIPY TITY

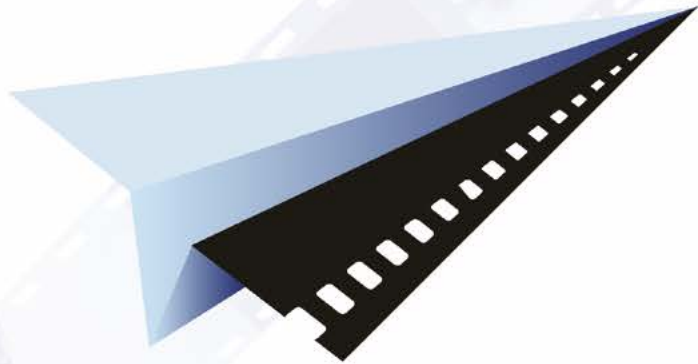


PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ



facebook.com/flyfilmfest



Flyfilm FESTIVAL

V MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMÓW LOTNICZYCH

1-3 października

2014 

KINOTEKA / WARSZAWA
Pałac Kultury i Nauki / pl. Defilad 1



Patronaty Honorowe:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



PREZYDENT
MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY

www.FlyFilmFestival.pl

WSTĘP WOLNY
DARMOWE WSTĘPIENIE DO GOSBIORU W KASACH KINA

Patron merytoryczny
TVP
HISTORIA

Główni Partnerzy

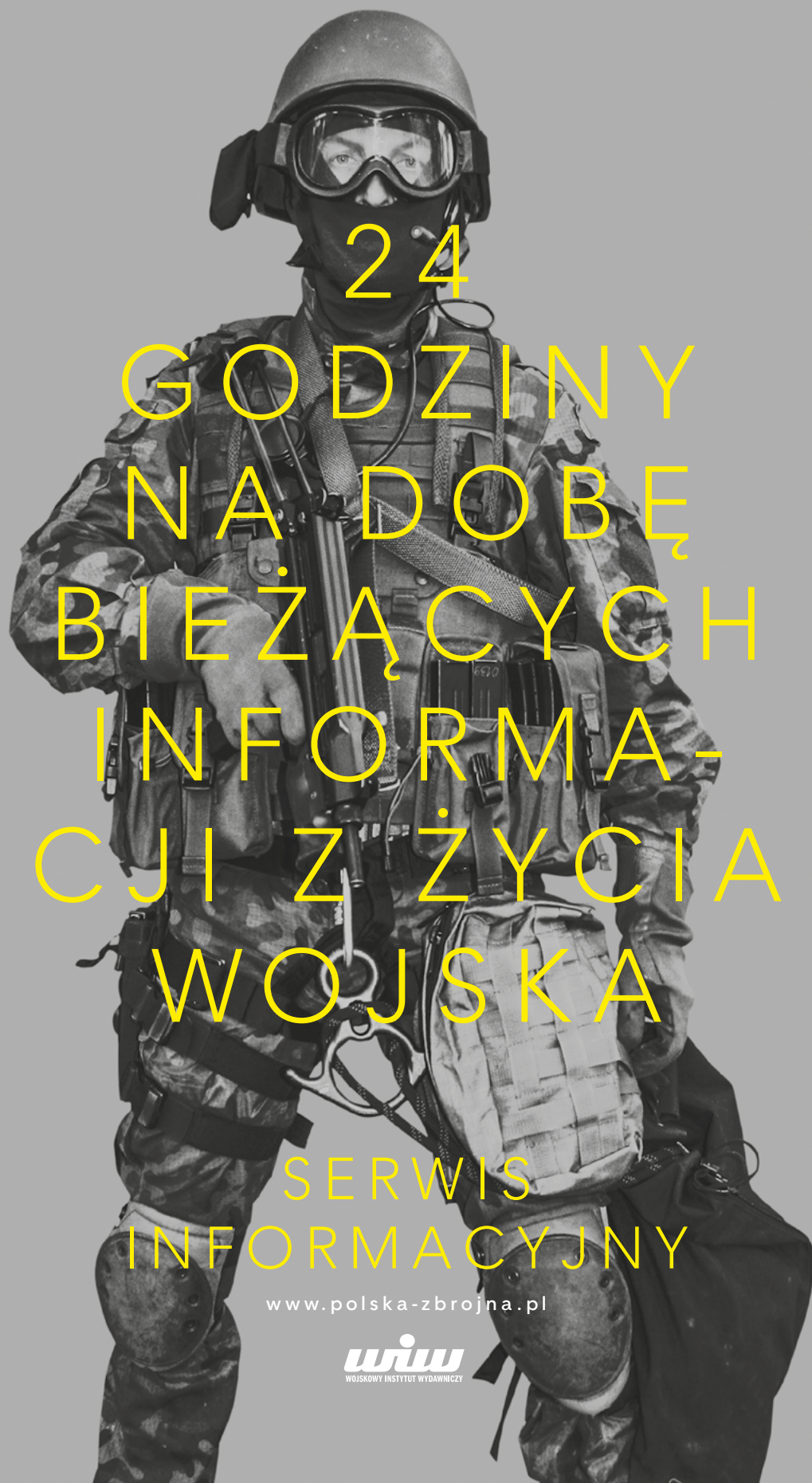


Partnerzy



MICROBRANAL - STERABRAL - ADORBRAL

POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY